

NIE JESTEŚCIE SAME!

Prof. Jarosław Suchoples
Ambasador na celowniku Papierza

Prof. Adam Leszczyński
O ludowej historii Polski

Anna Walentynowicz
Życiorys sfalszowany

Dr Janusz Rudziński
Ponad tysiąc aborcji rocznie



Kto zarabia na szczepionkach?

NASZE ZDROWIE TO NIE TOWAR



TWÓJ EVENT Z TEATREM CAPITOL



STUDIO CAPITOL

profesjonalizm
i innowacyjność



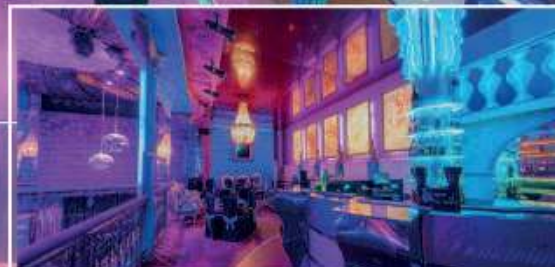
SPEKTAKLE ONLINE

najlepsze komedie
przebojowe farsy
gwiazdorskie obsady



WARSZTATY ONLINE

teatralne i edukacyjne
dla najmłodszych



WYJĄTKOWE WNETRZA

Teatru i Klubu Capitol idealne
do wykorzystania w planach
zdjęciowych i filmowych

ZAPRASZAMY DO WSPÓŁPRACY

SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI JUŻ TERAZ:

e-mail: eventy@teatrcapitol.pl

tel. (+48) 884 777 570 / tel. (+48) 606 963 385

WIĘCEJ INFORMACJI: WWW.TEATRCAPITOL.PL



Fikcja narodowa

Co i rusz spadają na nas nowe plagi. Nieudolność tej władzy sprawia, że nawet najprostsze rzeczy stają się wielkimi problemami. Nieudolność stała się wręcz znakiem firmowym rządzącej partii. Brakuje tylko logo, które by ostrzegało interesantów przed kontaktem z ludźmi, którzy na posady trafili narodową ścieżką kumoterstwa. Na niczym się nie znają, więc i w niczym nie pomagają, a zaszkodzić mogą.

Symbolem ostatnich lat jest niezwykle pomieszenie świata realnego z fikcyjnym. Kompletną fikcją był tzw. kompromis aborcyjny. Co sprawiło, że większość Polek i Polaków dobrowolnie udawała, że aborcji w Polsce nie ma? Że te ponad 100 tys. zabiegów rocznie dzieje się w jakiejś równoległej rzeczywistości? Teraz też milionom ludzi opowiada się o równie fikcyjnym zakazie aborcji. Nie wiedzą, jak jest?

Na to nakładają się fikcyjne instytucje. Prawie wszystkie kiedyś niezależne instytucje i bezpieczniki przed władzą udało się PiS sprowadzić do roli atrap z fikcyjnymi uprawnieniami. Telewizja nie jest już w najmniejszym stopniu publiczna. A z Trybunału Konstytucyjnego został tylko szyld i elegancki pałacyk. Co oznacza, że protestujemy przeciwko oświadczeniu mgr Przyłębskiej, a nie orzeczeniu Trybunału.

Czy mamy legalnie działający Trybunał Konstytucyjny? Czy został on wybrany zgodnie z ustawą? I czy orzeka

w sposób prawnie niekwestionowany? Zadaję te pytania, choć wiem, że wydawane przez Trybunał wyroki są słusznie kwestionowane. Brak kompetencji pani Przyłębskiej ośmieszyłby zaś każdą instytucję, a co dopiero Trybunał.

Co z tego opisu wynika? Pewność, że Polska pod rządami PiS przestała być krajem dla wszystkich. Widzimy, jak władza skupia się na interesach własnego, stale zmniejszającego się elektoratu i na utrzymaniu wpływów w instytucjach, które z założenia powinny być ponadpartyjne. Taka strategia może się PiS opłacić pod jednym warunkiem. Że dojrzej zmiany nie zastąpią siły polityczne zdecydowane na głębokie cięcia. I na pełną odbudowę zagrabionych instytucji.

Potencjał do buntu na dużą skalę jest w Polsce coraz większy. Wiadomo, jaka jest władza i że może się zmienić tylko na gorsze. Trudno też o złudzenia co do potencjału opozycji. Największy paradoks tego etapu zmierzchu partii postsolidarnościowych polega na tym, że głównym atutem PiS jest stan bezradności, w jakim znalazła się opozycja parlamentarna. 20 lat temu PO zaczynała od hasła „Uwolnić energię Polaków”. A kończy na wezwaniu do działaczy: „Obudźcie się. Sztandar pora wyprowadzić”.

Prawica ma taką zręczność w zmienianiu szyldów, że przeżyje pod nową nazwą. I z nowymi liderami.

BAKOWSKI



CYTATY

DARIUSZ ROSIAK,

Dziennikarz Roku 2020

Jako środowisko dziennikarskie jesteśmy pełni złych emocji.

I dotyczy to obu stron.

„Press”

JAN KLATA, reżyser

Ludzie teatru w czasach pandemii.

Łyżwiarze pustyni.

„Tygodnik Powszechny”

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Nasze zdrowie to nie towar**
Koncerny farmaceutyczne igrają z ludzkim życiem
- 12 Rejestracja kompromitacja**
- 13 Kolejna bitwa Obywateli RP**
Kasprzak walczy z wyrokami nakazowymi
- 16 Będę pomagał Polkom**
Dr Rudziński i ponad 1000 aborcji rocznie
- 18 Na dno**
Jak „ratowano” przemysł stoczniowy
- 22 MSZ od środka – cd.**
– rozmowa z prof. Jarosławem Suchoplesem
- 27 Jaka jest przyszłość Platformy Obywatelskiej**

ZAGRANICA

- 14 Nowa dawka nierówności**
Więcej niż 140 krajów bez szczepień
- 28 Barwny ptak inauguracji**
Amanda Gorman podbiła Amerykę
- 30 Bunt rolników w Indiach**
Kompromis bez postępu
- 52 Arabski szejek w Beitarze**
Zmiana właściciela izraelskiego klubu

HISTORIA

- 34 Wyzysk rodzi bunt**
– rozmowa z prof. Adamem Leszczyńskim
- 38 Anna Walentynowicz:**
życiorys sfalszowany
Nazwisko jak ideologiczna pałka
- 42 Zamek Królewski z ruin odbudowany**

KULTURA

- 44 Zimerman – samotny zawodnik muzyki**
Bezkompromisowy na estradzie
- 48 Niezbędnik czeskiego ateisty**
– rozmowa z Filipem Remundą
- 51 Kulturalia**
- 66 Małgorzata Mirga-Tas**

PSYCHOLOGIA

- 54 Umysł lubi zaskoczenia**
Gry poprawiają pamięć

EKOLOGIA

- 56 Ptasi król**
Mysikrólika najłatwiej spotkać zimą

ZDROWIE

- 58 Słodyczoholicy**
– rozmowa z Mikołajem Choroszyńskim

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Fikcja narodowa
- 21 Jan Widacki**
Nadużycia semantyczne
- 33 Andrzej Romanowski**
Donos na Jędraszewskiego
- 37 Roman Kurkiewicz**
Prawdziwy Polak, jeszcze albo już, nie żyje
- 41 Tomasz Jastrun**
Sztuka życia
- 47 Wojciech Kuczok**
Podsiadło bez wahania



28
ZAGRANICA

BARWNY PTAK
INAUGURACJI
Amanda Gorman
podbiła Amerykę



48
KULTURA

NIEZBĘDNIK CZESKIEGO ATEISTY
– rozmowa z Filipem Remundą



56
EKOLOGIA

PTASI KRÓL

Mysikrólika najłatwiej spotkać zimą

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI





✉ Misja „Osiecka”

Takich seriali się nie robi. Nie powinno się robić. Potoczyście, zamaszycie, pięknie napisany felieton Wojciecha Kuczoka o serialu „Osiecka” (PRZEGŁĄD nr 4) może i przekonał przekonanych,

walczących z PiS, o słuszności i zasadności podjętej ideologicznej „roboty”. Ale gdzie tu interes Agnieszki Osieckiej? Kto postanowił się na niej zemścić? TVP przyszła mu z pomocą. Założeniem ani celem scenarzysty do filmu o artystce czy artyście nie może być wyłącznie chęć detalicznego przedstawienia jej/jego codziennego życia. Tak ceniona przez pana Kuczoka solidność serialu przełożyła się na prymitywną narrację: wstał, wyszedł, zamknął drzwi, ale też nachlał się, wyrzygał itp. A co najgorsze, nic oprócz tego. Nie pomogły wetknięte piosenki Osieckiej. Jestem jej wielbicielek. Mam większość wydanych o niej i z jej tekstami książek. Kilka razy zasiadałam, żeby obejrzeć serial, i za każdym razem musiałam wyłączyć w trakcie... Toporność tej produkcji powoduje, że kreowana postać w niczym nie przypomina Osieckiej, to zniestawienie tej poetki. Na potwierdzenie przytoczę słowa sąsiadki, bywalczyń teatrów muzycznych i sal koncertowych: „Idzie taki serial o Osieckiej, ale nie będę oglądać, bo to alkoholizm i prostytutka”. Zamurowało mnie... Powiedziałam, że pożyczę jej „Listy na wyczerpanym papierze”, niech lepiej nie ogląda.

Wanda Z., wielbicielek Osieckiej

✉ Nie mam ani jednego dobrego wspomnienia

Wstrząsający jest fragment książki „Molestowane” (PRZEGŁĄD nr 4). W państwie o normalnym systemie edukacji to nie mogłoby się zdarzyć. Dzieci już w przedszkolu są uświadamiane,

na czym polega zły dotyk, jak się zachować i komu o tym powiedzieć. Edukacja seksualna funkcjonuje od najmłodszych lat, dostosowana do wieku. Męki tej dziewczynki nie ciągnęłyby się latami. Nie doszłoby do ruiny psychiki i konieczności wieloletniej terapii. Od paru lat słyszymy o potrzebie lepszej opieki psychologicznej dla dzieci. Niestety, system szkolny funkcjonuje coraz gorzej, zawiadują nim coraz bardziej nieodpowiedni, za to kościółkowi ludzie. Chyba po to, żeby ciągle nie brakowało zera dla pedofilów. Wstyd. Nic dziwnego, że dzieci mają zaburzenia psychiczne. Nasi mędrcy w rządzie w ogóle tym się nie przejmują. A używane w Polsce słowo molestowanie nie jest słowem odpowiednim na określenie gwałtów, o których przecież mowa.

Teresa Jakubowska



f Ostatnie dni KL Auschwitz

Tak się kończy faszyzm i nacjonalizm. Niech to będzie nauczka na przyszłość, dokąd ludzi może zaprowadzić nienawiść.

Paweł Maćkowski



Nienawiść, degeneracja, fanatyzm, arogancja, chamstwo, agresja wobec innych, brak tolerancji. Brak moralności. Brak uczuć wyższych. Egoizm i egocentryzm. Roszczeniowość. To są cechy osób, które idą w kierunku faszyzmu i nacjonalizmu.

Wiesław Jaszczurkiński

ZDJĘCIE TYGODNIA



Nocą 27 stycznia opublikowano w Dzienniku Ustaw wyrok TK zaostrzający prawo antyaborcyjne. Zbiegło się to z setnym dniem protestu. Tysiące ludzi wychodzą na ulice, walcząc o prawo do samostanowienia, a policja znów stosuje represje.



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Jaki powinien być polityczny los Emilewicz i Girzyńskiego?

DR KATARZYNA DE LAZARI-RADEK,
etyczka, Uniwersytet Łódzki

Zacznijmy od tego, że te przypadki znacznie się różnią. Z relacji medialnych wynika, że w sprawie licencji narciarskich pani Emilewicz dokonała oszustwa, natomiast pan Girzyński jedynie przytknął oko na niestosowność swojego szczerzenia, do którego jako pracownik uniwersytetu miał prawo. Powszechne oburzenie, jakie wywołały te osoby, wynika z przekonania, że jeśli ktoś jest odpowiedzialny za tworzenie prawa, powinien świecić przykładem w jego przestrzeganiu. Tymczasem politycy nie różnią się niczym od współobywateli, zwłaszcza w kwestii naginania zasad w obawie o własne zdrowie. Gdybym powiedziała, że wspomniana dwójka powinna stracić stanowiska, to ten sam los powinien spotkać znakomitą większość polityków formacji rządzącej, i to dużo ważniejszych. Proszę mnie dobrze zrozumieć: zachowanie pani Emilewicz było karygodne i dobrze, że dziennikarze wychwytyją

i nagłaśniają takie sytuacje. Jednocześnie martwi mnie przykładanie aż tak dużej wagi do indywidualnych zachowań (innym przykładem są szczerzenia celebrytów), podczas gdy w życiu publicznym są poważniejsze patologie. Wolabym, żebyśmy bardziej się oburzali na inne sprawy.

AGATA SZCZĘŚNIAK,
OKO.press

Reglamentowane dobra w dzisiejszej Polsce to odpoczynek, „jak kiedyś”, i szybka ścieżka po szczepionkę. Jadwiga Emilewicz i Zbigniew Girzyński zrobili to, o czym marzą miliony. A brytyjskie badania, robione w czasie pierwszego lockdownu, pokazują, że ludzie bardziej ochotczo łamią covidowe zakazy, kiedy widzą, że obchodzą je ci na górze hierarchii społecznej. Zły przykład idzie z góry, a w czasie pandemii jest to wyjątkowo niebezpieczne. Nie wierzę w żadne polityczne kary, np. oddawanie mandatów. Ale jako społeczeństwo powinniśmy domagać się od takich

osób zadośćuczynienia. Jednak nie wolontariatu w szpitalu pod osłoną anonimowości. Niechby pojechali do restauracji, które łamią obostrzenia, porozmawiali publicznie z właścicielami i gośćmi. Przekonali ich do solidarności.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Minimum przyzwoitości nakazywałoby oddanie mandatu, tak jak w podobnych przypadkach zdarza się za granicą. Ale znając brak honoru i godności naszych polityków, można się spodziewać, że spokojnie będą szli w zaparte, a w przypadku pani Emilewicz przeprosiny z powołaniem się na macierzyństwo uzna ona za ostateczne załatwienie sprawy. Co więcej, zapewne już za chwilę usłyszymy, że ta dwójka bohaterów znowu oscyluje w okolicach ważniejszych stanowisk. Po prostu: jaka władza, takie reakcje władzy.

Not. Michał Sobczyk



Prace nad szczepionką w laboratorium francuskiej firmy farmaceutycznej Sanofi w Val de Reuil.

Nasze zdrowie to nie towar

Koncerny farmaceutyczne igrają z ludzkim życiem. Dla zysków

Beata Igielska

Styczeń 2021 – w Europie i na świecie szaleje covid, ba, szaleją ludzie – wykryto nową odmianę wirusa. Silnie zakaźną i bardziej śmiertelną. Rządy też szaleją. We Francji obywatele mają być pozamykani w domach. Izrael zamyka przestrzeń powietrzną i odgradza się od reszty świata. Mimo że szczepi najskuteczniej na świecie, zмага się z falą zakażeń po pierwszej dawce szczepionki Pfizera. Ostatnio jednak donosi, że druga dawka chroni rzeczywiście w 95%. Koncerny farmaceutyczne, mimo wcześniejszych zapewnień, nie są w stanie wyprodukować potrzebnej liczby dawek. Amerykański Pfizer informuje o opóźnieniach w dostawach spowodowanych przebudową fabryki w Belgii. Brytyjsko-szwedzka AstraZeneca ogłasza, że dostarczy do Unii Europejskiej mniej szczepionek, niż przewidywano – w lutym 17 mln

dawek. W tym samym czasie Wielka Brytania zgodnie z planem otrzymuje 2 mln dawek tygodniowo. UE żąda, aby koncern skierował część swojej produkcji z Wielkiej Brytanii na kontynent. 27 stycznia AstraZeneca odwołuje zaplanowane spotkanie z Komisją Europejską. Problemy ma też Moderna, ale to dzięki szczepionce AstrZeneki akcja szczepień miała przyspieszyć. Pascal Soriot, prezes koncernu, tłumaczy, że opóźnienia w dostawach biorą się ze skali produkcji. Dostawy do UK idą zaś zgodnie z planem, bo, jak twierdzi Soriot, fabryka obsługująca brytyjski rynek jest efektywna. Ponadto, jego zdaniem, Bruksela też mogła wcześniej podpisać umowę z koncernem, tak jak Wielka Brytania. Sęk w tym, że AstraZeneca otrzymała 1,2 mld dol. od rządu USA, 336 mln euro z UE, a 750 mln dol. od organizacji zajmujących się dystrybucją preparatu w krajach niezamożnych. Jednak żaden kraj nie podziękuje wielkim

koncernom farmaceutycznym, zwanym Big Pharmą, za współpracę, bo wszystkie potrzebują szczepionek.

Konflikt z UE po ograniczaniu dostaw eskaluje. Rządy naciskają na koncerny. Naciska na nie Unia Europejska. – Chcemy zadbać, by firmy farmaceutyczne przestrzegały podpisanych przez siebie umów – ogłasza przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel. Grozi, że UE może skorzystać ze środków prawnych. Na takie *dictum* Pfizer, zapowiadający kilkutygodniowe opóźnienia w dostawach, opóźnia się tylko tydzień.

Unia Europejska bez wątpienia popełniła błędy w negocjacjach z firmami farmaceutycznymi – powinna postawić ostrzejsze warunki, skoro dała publiczne pieniądze. Ale błędy pojawiły się już wcześniej, gdy pozwolono, by ponad 60% surowców wykorzystywanych przez europejski przemysł farmaceutyczny pochodziło z Chin i Indii. Pandemia pokazała, że oparcie bezpieczeństwa lekowego na

globalnych łańcuchach dostaw może zawieść. Przerwy w produkcji farmaceutycznej w Azji, zakazy eksportu farmaceutyków i zaburzenia w transporcie powodowały deficyty na rynku i wzrost cen. Dlatego powstała Strategia Farmaceutyczna UE, która ma uniezależnić Europę od importu leków i substancji czynnych.

Niemcy kupują szczepionkę przeciw COVID-19 z pominięciem Brukseli (o nierównościach w dostępie do szczepionki piszemy na s. 14). Najprawdopodobniej nie grożą im za to żadne kroki prawne, mimo że Ursula von der Leyen, szefowa KE, podkreśla, że żaden kraj Unii nie może zawierać równoległych kontraktów. Jak widać, są równi i równiejsi. Także Dania kupuje dodatkowe szczepionki.

Egzotycznie w tej złożonej sytuacji poczyni sobie polski rząd. W ubiegłym tygodniu ogranicza się do zaproszenia opozycji, bez ruchu Polska 2050, na konsultacje na temat programu szczepień. Po co? By ją obarczyć częścią winy za klęskę? Narodowy Program Szczepień, jak wszystko, co ostatnio narodowe, tuż po starcie okazał się fiaskiem. Seniorzy marli po kilka godzin w gigantycznych kolejkach. Teraz są wysyłani na szczepienia kilkadziesiąt kilometrów od domu (więcej na s. 12). Michał Dworczyk, pełnomocnik rządu ds. szczepień, donosi tymczasem, że system działa świetnie, tylko szczepionek brak. Ponoć do końca marca nie ma terminów, co nie jest prawdą. Szukajcie,

prezydent Joe Biden w sprawie szczepionek też zgrabnie milczy.

Koncerny dostały publiczne pieniądze na badania. I to niemałe – 6,5 mld funtów (ponad 7 mld euro) bez finansowania badań podstawowych (za analitykami z firmy Airfinity). Czy więc choćby z powodu tych publicznych funduszy covidowe szczepionki nie powinny zostać objęte swobodnym dostępem i otwartą

Unia Europejska powinna postawić ostrzejsze warunki, skoro dała publiczne pieniądze.

licencją, by można było zwiększyć ich produkcję? Niewykluczone, że wówczas zniknęłyby problemy ze zbyt małą liczbą dostępnych szczepionek. Mogłoby je produkować więcej firm. Taka sama procedura powinna dotyczyć skutecznego leku na covid.

Big Pharma jest zaprzeczeniem uczciwej konkurencji. Koncerny tylko na niby konkurują ze sobą, bo wiedzą, że na wytwarzany przez nie produkt jest wręcz kosmiczny popyt. Już w roku 2017 KE ponaglała koncerny, by zajęły się lekami na koronawirusy. Bezsukces. Potentaci nie dostrzegali w badaniach... dolarów.

Jakkolwiek patrzeć, lek czy szczepionka są dobrem publicznym, tak samo jak szkoły czy niektóre rodzaje transportu. Nikt nie pyta, czy są one opłacalne. Czy zatem rynek farmaceutyczny nie powinien być również usługą publiczną? W październiku ub.r.

Jednak art. 31 pozwala władzom państwowym w sytuacji „zagrożenia zdrowia publicznego” na udzielenie „przymusowej licencji” na dany lek firmie, która nie jest właścicielem patentu. W 2001 r. WTO w tzw. deklaracji z Ad-Dauhy dodała w art. 5, że kraje członkowskie mają swobodę w określaniu podstaw nadania licencji przymusowej w epidemii HIV, gruźlicy, malarii czy innych chorób.

Uwolnienia patentu na szczepionki oczekują ONZ i papież Franciszek. Bo jeśli tego nie zrobimy, stała odporność na covid będzie na razie mrzonką.

Big Pharma straszy, że bez ochrony patentowej nie będą powstawać nowe leki. I dopiero wtedy wszyscy zobaczymy, co to znaczy.

Covid dance

Sytuacja ze szczepionką pokazuje, jak ważny jest krajowy przemysł farmaceutyczny. W czasach kryzysów lokalna produkcja gwarantuje bezpieczeństwo kraju.

– Nasze firmy farmaceutyczne byłyby w stanie uczestniczyć w łańcuchu produkcji szczepionki na covid pod warunkiem dodatkowych, niezbędnych inwestycji i współpracy z właścicielem patentu co do otrzymania i wdrożenia licencji. Poza tym na uruchomienie takiej produkcji potrzeba minimum sześciu miesięcy oraz środków na inwestycje. Przymusowa licencja do tej pory nigdy w Polsce nie była stosowana – mówi Krzysztof Kopeć, prezes Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego, zrzeszającego firmy produkujące leki w Polsce. – Zarówno polski rząd, jak i Unia Europejska mogłyby negocjować z producentami szczepionek, którzy nie są w stanie dostarczyć zakontraktowanych ilości, aby w poczuciu odpowiedzialności zdecydowali się na licencyjną produkcję szczepionki w naszych zakładach.

Jest i kolejny problem z zamkniętą licencją: mnożą się niebezpieczne ataki hakerskie, np. w grudniu na Europejską Agencję Leków. W Niemczech ▶

Przedkładanie prawa własności intelektualnej nad prawo do zdrowia i życia ludzkości jest nikczemnym wariactwem.

a znajdziecie. Mateusz Morawiecki zaliczył więc kolejną rysę wizerunkową. Żeby przekierować emocje, opublikowany zostaje wyrok Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. Kobiety znów wychodzą na ulice.

Uwolnić szczepionkę

Wielkie koncerny farmaceutyczne szczepionkę na koronawirusa opatentowały. Kiedy problemy z jej dystrybucją zaczęły narastać, portal Euractiv zapytał wprost Komisję Europejską, czy planuje coś z patentami zrobić. Nie planuje. Nowy amerykański

Indie i RPA, które pamiętają jeszcze, jak koncerny blokowały prace nad lekami na AIDS, zaproponowały, by ograniczyć ochronę własności intelektualnej szczepionki wynikającą z TRIPS (Trade Related Intellectual Property Rights), międzynarodowej umowy zobowiązującej wszystkie kraje należące do WTO (Światowej Organizacji Handlu), a więc i Polskę, do przestrzegania surowych zasad prawa patentowego. Ochrona nowych lekarstw ma trwać minimum 20 lat. O tę twardą ochronę zabiegał od lat 80. XX w. nie kto inny jak Edmund Pratt, wtedy szef... Pfizera.



Fabryka koncernu AstraZeneca w Anagni we Włoszech.

i zdrowia ludzkiego oraz ochrony środowiska naturalnego". Chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie ma wątpliwości, że pandemia COVID-19 jest kryzysem zdrowia publicznego. I że Adrian Zandberg może mieć rację.

Zmiana paradygmatu w kwestii zdrowia

Zamrażarki do przechowywania szczepionki Pfizera w mieście Sagamihara w Japonii.

– Bez pieniędzy podatnika tych szczepionek by nie było. Mam w tej sprawie takie samo zdanie jak sekretarz generalny ONZ. To największy kryzys zdrowotny od stu lat. Szczepionki powinny być traktowane jako dobro publiczne. Im szybciej się zaszczepimy, tym szybciej świat wróci do normalności. I nie umrze tak wielu ludzi – uważa Zandberg. – Kwartałne zyski koncernów nie mogą być ważniejsze od ludzkiego życia. Dziś trzeba zwiększyć produkcję. Jeśli wyłączność produkcji to utrudnia, powinniśmy ją w Unii Europejskiej zawiesić na czas pandemii.

Zandberga dziwi atak liberałów z Koalicji Obywatelskiej. Firmy farmaceutyczne zdążą jeszcze na szczepionkach zarobić. A dziś walczymy z czasem. – Mam spory żal do polskiego rządu, że tę sprawę zlekceważył. Dużo jest wymachiwania szabelką o bzdety, a kiedy trzeba powalczyć na poziomie międzynarodowym o sprawy ważne, Polska milczy. To nie była niespodzianka, że będzie szczepionka i że będą problemy z zaopatrzeniem. Przez rok można było zrobić sporo, żeby zwiększyć nasz, polski, potencjał produkcyjny – podkreśla. – Posłanka Marcelina Zawisza alarmowała o tym rząd już na początku pandemii. Ale premier Morawiecki nie znalazł na to czasu. Poza tym jeśli nie rozluźnimy systemu ochrony patentowej, miną lata, zanim szczepienia obejmą kraje biednego Południa. Nie zgadzam się, by ludzie tam umierali, jeśli można tego uniknąć. To po prostu nieludzkie – konkluduje Zandberg.

Sytuacja, gdy prywatne koncerny zarabiają wielkie pieniądze na produkcji szczepionki, na którą dostały środki publiczne, jest nieetyczna i świadczy o tym, jak silnie tkwimy



Zieloni pytają Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, czy rząd nie obawia się ataków na siedziby koncernów, punkty szczepień, transporty i magazyny szczepionek. Tak, obawia się. I pisze, że „ujawniono kilka domniemyanych prób szpiegowania niemieckich producentów szczepionek”. Niebezpieczeństwo cyberataków jest wysokie. Gdyby uwolniono licencję, nie byłoby wojenek podjazdowych. Niebezpieczeństw, bo łatwo sobie wyobrazić, co może się stać, gdy padną serwery agencji badawczych.

Gdy jednak w Polsce zdjęcie patentu zasugerował Adrian Zandberg z Lewicy Razem, posypały się na niego gromy, że urwał się z komunizmu (posłanka KO i Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer), że Pfizer wydał 2 mln dol.

autostrad (...). Jeśli władza uzna, że tędy ma przebiegać droga, to cię wykupuje i koniec. (...) Czyjaś własność zabrać zezwala także polski Kodeks karny, albowiem zgodnie z jego art. 26 (...) można zabrać ci auto, drogi liberalne, w celu odwiezienia mdlejącego dziecka na pogotowie”.

Koncerny dostały pieniądze na badania: 6,5 mld funtów (ponad 7 mld euro), bez finansowania badań podstawowych.

na badania, a teraz ma oddawać patent (Ula Ma na Twitterze). Ktoś miał chęć zaatakować własność prywatną – wrzeszczą głównie liberalni obrońcy konstytucji. Ciekawe, czy doczytali, że art. 21 mówi, że wyłączenie jest dopuszczalne, gdy jest „dokonywane na cele publiczne i za słusznym odszkodowaniem”. Mówiąc wprost, nasza konstytucja dopuszcza sięgnięcie po cudzą własność. Jak zauważa Galopujący Major, komentator z Krytyki Politycznej, „przecież dokładnie tak to wygląda w przypadku

W sytuacji kryzysu zdrowia publicznego można, a nawet trzeba, zawiesić ochronę patentową szczepionki bądź leku. Jak widać, zapewniają to i międzynarodowe umowy o ochronie własności intelektualnej, i polskie ustawodawstwo. W ustawie Prawo własności przemysłowej czytamy o udzieleniu licencji przymusowej: „Jest to konieczne do zapobieżenia lub usunięcia stanu zagrożenia bezpieczeństwa Państwa, w szczególności w dziedzinie obronności, porządku publicznego, ochrony życia

w globalnym kapitalizmie. W sprawie zdrowia potrzebna jest zmiana paradygmatu.

Dr Łukasz Polowczyk, filozof, etyk, zauważa, że wolne licencje umożliwiają to, czego nie dają licencje zamknięte – jeżeli wszyscy zainteresowani mogą pracować nad szczepionkami i swobodnie wymieniać dane, znacznie rośnie prawdopodobieństwo uzyskania szczepionki wyższej jakości, niż gdy każdy ukrywa potencjał badawczy w imię zysków.

– Korporacyjne maszyny do robienia pieniędzy i nacjonalistyczne egoizmy są ewidentną przeszkodą w walce z pandemią również na poziomie dystrybucji szczepionek. Przedkładanie prawa własności intelektualnej nad prawo do zdrowia i życia ludzkości jest nikczemnym wariactwem, na które godzimy się albo bezmyślnie, albo byle nie zostać skrytykowanym jako heretyk względem kapitalizmu – twierdzi dr Polowczyk.

Otwarta licencja na produkcję szczepionki nie musiałaby być niekorzystna dla producentów. Będą jednak potrzebne kolejne serie preparatu, bo wirus mutuje i będziemy musieli się szczepić co jakiś czas, podobnie jak w przypadku grypy. Uwolnienie licencji nie jest wcale pomysłem „lewackim”. Spójrzmy

na to z punktu widzenia kapitalizmu – szybsze zaszczepienie większej populacji pozwoliłoby odmrozić gospodarkę.

Światelko w tunelu?

Pandemie zawsze łamały zastany porządek, a ponieważ świat w obecnej formule jest nie do zaakceptowania, coś musi się z nim stać. Tylko co? Czy dla przeciętnych zjadaczy chleba jedynie wirtualna rzeczywistość stanie się bezpieczna, a swobodnie poruszać się będą tylko superbogacze po wykupionych na własność wyspach? Dziś to głównie oni szczepią się na potęgę.

Uwolnienia patentu na szczepionki oczekują ONZ i papież Franciszek.

Sytuacja z Big Pharmą jest odzwierciedleniem tzw. doktryny szoku, czyli taktyk stosowanych przez prawicowe rządy do wzmocnienia swojej władzy lub wykorzystania dezorientacji społeczeństwa. Do zawieszenia demokracji, forsowania wolnorynkowych polityk służących dalszemu wzbogacaniu 1% mieszkańców Ziemi kosztem biednych i klasy średniej. Najbogatsi, tacy jak

założyciel Amazona Jeff Bezos czy szef Tesli Elon Musk, w pandemii powiększyli swój majątek, gdy tymczasem na całym świecie miliony ludzi popadają w ubóstwo – alarmuje międzynarodowa organizacja humanitarna Oxfam w raporcie „Wirus nierówności”. Ten rodzaj wirusa szczególnie boli w przypadku szczepionek. Naomi Klein, kanadyjska autorka i aktywistka, udowodniła, że doktryny szoku mają się świetnie w momentach ogromnych kryzysów.

Naukowcy już dawno przewidywali możliwość wystąpienia pandemii – w 2002 r., gdy w prowincji Guangdong w Chinach pojawił się pierwszy przypadek SARS, zaczęto mówić, że może być jakiś jego modyfikacja. A jednak nie zadbanie ani o leki, ani o medyczne zabezpieczenie.

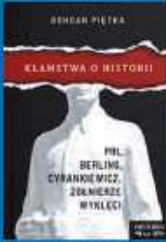
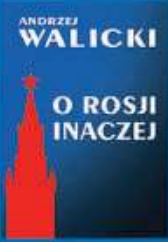
Bo firmy farmaceutyczne myślące o bieżących zyskach wolą robić kosmetyki, zamiast budować systemy produktów i usług na zapowiadane przez specjalistów trudne czasy. Nie zrobiły więc nic, by ochronić ludzi przed potencjalną pandemią, podobnie jak nic nie zrobili politycy i rynki. Dopiero przyciśnięte do muru koncerny w ciągu kilku miesięcy wyprodukowały szczepionkę. W nerwach, pod ogromną presją.

BĄDŹ OCZYTANY

RABATY
-20%

Przeżyj pandemię mądrze i czytaj książki PRZEGLĄDU

2 książki ~~89 zł~~ **75 zł**




45 zł 36 zł
67 zł 53 zł
49 zł 39 zł
45 zł 39 zł
44 zł 38 zł

5 książek ~~210 zł~~ **159 zł**



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Promocja ważna do 28.02.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.

► Janis Warufakis, grecki ekonomista i polityk, podkreśla, jak bardzo potrzebne jest zjednoczenie się – wspólny manifest, wspólna polityka. Już widzimy, że raczej nie stanie się nim europejski kontrakt na zakup szczepionki, skoro bogate kraje UE kupują na stronie. Przydałby się The New Green Deal, nowy zielony porządek, przejście na ekologiczną gospodarkę i na publiczną służbę zdrowia. Powinniśmy docenić jej rangę, bo prywatne firmy medyczne przypominają teraz szczury wyskakujące z tonącego okrętu. Żaden kraj nawet nie dyskutuje o dofinansowaniu prywatnych szpitali. Przed pandemią ciągle mówiło się w mediach o prywatno-publicznym partnerstwie. Dziś te same media mówią o publicznej służbie zdrowia, która ratuje nasze życie.

Obecnie kapitalizm to polityka sprywatyzowania zysków i uspołecznienia kosztów. Firmy farmaceutyczne nie dość, że korzystają z dorobku intelektualnego wielu współczesnych, to jeszcze sięgają po wiedzę pokoleń, a następnie prywatyzują zyski. I niestety pozwoliliśmy na to. Tymczasem oświata, zdrowie, bezpieczeństwo i niektóre gałęzie transportu muszą być publiczne. Tak samo jest z prawem do wody, mieszkaniem, czystego powietrza. Jeśli w dalszym ciągu będziemy to oddawać wolnemu rynkowi, zginiemy. Sytuacja ze szczepionkami to dobry moment, żeby się o to upomnieć. Musimy powiedzieć stop.

Zniesienie patentu na produkcję szczepionki mogłoby być pierwszym krokiem do nowego ładu. A może problem z ilością i ceną szczepionek zlikwidowałaby większa konkurencja, np. wpuszczenie na rynek europejski szczepionek rosyjskiej lub chińskiej? Wielka depresja w latach 30. XX w. doprowadziła w USA do New Dealu, socjaldemokratycznego nowego ładu. Może coś podobnego udałoby się dla całego świata? Pojawiła się pierwsza jaskółka – francuska firma Sanofi pomoże w produkcji szczepionki Pfizerowi. Ta współpraca przyspieszy szczepienia w krajach UE. Wyprodukowanych zostanie dodatkowo ponad 125 mln dawek.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Rejestracja – kompromitacja

Dość szczepionkowej partaniny

Od dwóch tygodni nie ma dnia, żeby nie pisali i nie dzwonili rozgoryczeni i rozeźnieni czytelnicy, którzy posłuchali ministrów Dworczyka i Niedzielskiego i chcieli zarejestrować siebie lub kogoś bliskiego na szczepienie przeciw covidowi.

„Próbowałam zarejestrować tatę (80+) przez infolinię od północy 15 stycznia. Najpierw był sygnał zajętości, potem usłyszałam, że nie ma takiego numeru. Około godz. 1 w nocy automat poinformował mnie, że jest powyżej 50 osób w kolejce i trzeba czekać. Czekałam bez skutku ze 40 minut, rozłączyłam się i zadzwoniłam ponownie. Znow to samo. Za którymś razem sukces! Usłyszałam, że mój numer został zarejestrowany i że wkrótce ktoś się odezwie. Czekałam do godz. 4, potem dałam spokój, bo musiałam rano iść do pracy. Tata nie wytrzymał, o świcie poszedł zapisać się w przychodni. Dostał termin dopiero pod koniec marca. Nie doceniłam systemu, już po czterech dniach faktycznie oddzwoniła jakaś pani, ale niestety bliższego terminu dla taty nie było. Cóż, przynajmniej ma cel w życiu – dotrwać do szczepienia”, pisze z goryczą pani Anna.

Problem z terminami wskazuje pan Maciej: „Najwcześniejsze proponowane przez system terminy były po upływie ważności skierowania na szczepienie. Pewnie dlatego rzutem na taśmę przedłużono ważność skierowań do 90 dni”.

„26 stycznia próbowałam zarejestrować na szczepienie przeciw covidowi teściową, rocznik 1938. Mieszka w Nowych Bielicach pod Koszalinem, lecz się w przychodni w Koszalinie – pisze pan Adam. – Zaczęłam od rządowej strony internetowej. Dostałam 11 lokalizacji – w Mścicach, Bobolicach, Sianowie, Sarbinowie itd. Najbliższe w odległości pół godziny jazdy samochodem, najdalsza – 45 km od nas, w Polanowie. Nie było miejsca w Koszalinie, choć podobno jest tu 13 punktów szczepień. Spróbowałam więc wysłać SMS. Aplikacja wskazała punkt szczepień w odległych od miejsca zamieszkania o 174 km Dolicach na 23 marca. Wysłanie wiadomości: NIE sprawiało, że dostawałam inne godziny w tym samym punkcie. Kto opracował taki algorytm dla zgłoszeń SMS-em? O godz. 23.23 szybko połączyłam się z konsultantem numeru 989. Brak możliwości rejestracji, brak szczepionek, proszę czekać na informację o możliwości rejestracji”.

„Znajomej zaproponowano szczepienie w miejscowości odległej o 40 km od domu. Tymczasem u nas, w Krzeszowicach, są dwa punkty szczepień – dziwi się pan Krzysztof. – Teraz znajoma szuka kogoś z samochodem, bo taksówka kosztuje ponad 150 zł w jedną stronę, a ona jest z bardzo starego portfela emerytalnego”.

I telefon z Torunia. 93-letnia pani Maria zapisała się na szczepienie przez swoją przychodnię. Dostała termin na 25 stycznia. Kiedy jednak zjawiła się na szczepienie, dowiedziała się, że nic z tego nie będzie. Ma się rejestrować przez internet albo przez infolinię. Udało jej się dodzwonić i zaproponowano jej szczepienie w marcu w wojskowym sanatorium w Ciechocinku, ponad 25 km od domu. Nie ma jej kto zawieźć, więc podkładała. Teraz ma czekać, aż zwolni się miejsce w Toruniu. Jak długo, nie wiadomo.

Pan Marek, 70-latek z Warszawy, może się zaszczepić już na początku marca. W Siedlcach. Pani Bożena, też z Warszawy, system proponował wolne miejsca również w Siedlcach, poza tym w Białymstoku i Radomiu. Pan Leszek z Kielc miał jechać do Włoszczowy.

Nie tylko starsze osoby sygnalizują problemy z rejestracją. „Pracuję w firmie dostarczającej sprzęt medyczny do szpitali. Instaluję i naprawiam różne urządzenia, uczestniczę w zabiegach operacyjnych. Przynajmniej dwa razy w tygodniu jestem w szpitalu. Początkowo takie osoby jak ja miały być zaszczepione w pierwszej grupie. Potem nas wykreślono – skarży się pan Adrian. – Mam 38 lat, więc na szczepienie doczekam się pewnie jesienią albo później. Jeśli wcześniej niczego nie złapię”.

Tyle historii z ostatnich dni. Strach pomyśleć, co będzie, gdy przyjdzie czas na szczepienia młodszych, liczniejszych roczników. Rządzący wszystkie problemy tłumaczą opóźnionymi dostawami szczepionek. Jednak za bałagan i absurd w rejestracji na szczepienia wyłączną odpowiedzialność ponoszą ministrowie Dworczyk i Niedzielski. To nie jest działanie, to partanina. Ale jeszcze nie jest za późno. Można jeszcze zweryfikować miejsca dostaw i zorganizować punkty szczepień tam, gdzie są ludzie chcący dostać szczepionkę. I uratować nerwy i zdrowie seniorów.

Czekamy na kolejne sygnały od Państwa o szczepionkowych absurdach.

Kolejna bitwa Obywateli RP

Paweł Kasprzak walczy z wyrokami nakazowymi.
Dlatego dwa dni spędził w więzieniu

Robert Walenciak

Bardzo się cieszę z tej swojej odsiadki – deklaruje Paweł Kasprzak, lider Obywateli RP. – Myślę, że dzięki temu nakazówek będzie mniej. Za miesiąc, za dwa, sprawdzimy. Walczymy o to, żeby sędziowie nie byli przedłużeniem państwa policyjnego.

Kasprzak spędził dwa dni w więzieniu. Sam zgłosił się do odsiedzenia kary. Przypina, że jako osoba medialna miał w więzieniu trochę łatwiej. – Obchodzono się ze mną jak z jajkiem – mówi. I dodaje, że jest gotów jeszcze nieraz iść za kratki.

Dlaczego? Kasprzak walczy z wyrokami nakazowymi. Takie wyroki wydawane są na posiedzeniu sądu bez udziału stron. W obecnej sytuacji działają jak dodatkowy środek represji wobec opozycji i tych, którzy uczestniczą w antypisowskich demonstracjach.

Kasprzak opowiada swoją historię. W grudniu 2017 r. brał udział w demonstracji w obronie niezależności Sądu Najwyższego. Gdy wracał z grupą znajomych, przeszedł w niedozwolonym miejscu przez ul. Górnośląską. – Szliśmy w niewielkiej grupie, a za nami szło ze 30 policjantów. Słyszałem ich radiotelefony: idźcie za Kasprzakiem, idźcie za Kasprzakiem. W promieniu kilkuset metrów wszystkie przejścia były zablokowane przez policję. Więc przeszliśmy tam, gdzie było można. Wtedy nas otoczyli i zatrzymali.

Policjanci wypisali Kasprzakowi mandat w wysokości 50 zł. Odmówił jego przyjęcia, sprawa zatem została skierowana do sądu. W protokole zatrzymania policjant napisał, że Kasprzak zachowywał się „arogancko i lekceważąco” – chodziło o to, że odmawiał pokazania dowodu osobistego, zanim policjant nie podał mu powodu interwencji. Sąd, wyrokiem nakazowym, skazał go na 300 zł grzywny i 100 zł kosztów sądowych. Kasprzak nie odwołał się i nie zapłacił. W efekcie sąd zamienił mu karę

na 20 godzin prac społecznych, a potem na 48 godzin aresztu. I wyznaczył dzień, godzinę oraz zakład karny, w którym ma się stawić.

Kasprzak chce ten system, w którym policjanci i sędziowie ramię w ramię wysyłają niepokornego obywatela do więzienia, rozmontować albo przynajmniej mocno osłabić.



W tym konkretnym przypadku napisał na odmowie przyjęcia mandatu, że chce złożyć wyjaśnienia przed sądem, ale zostało to przez sędziego prowadzącą sprawę zignorowane, otrzymał nakazówkę. – Siedziałem w więzieniu, pozbawiony możliwości złożenia wyjaśnień przed sądem, bez procesu – mówi. – Mam nadzieję, że taka sytuacja będzie ostrzeżeniem dla sędziów, żeby wyroki nakazowe ferovali ostrożniej.

Kasprzak nie ma wątpliwości, że nieraz jeszcze trafi w ten sposób do aresztu. Zadeklarował bowiem, że nie będzie przyjmował wyroków nakazowych, nie będzie się od nich odwoływał – że będzie szedł siedzieć.

Nie jest zresztą w tym postanowieniu osamotniony. Tydzień wcześniej dwa dni w areszcie spędził inny aktywista Obywateli RP, Tadeusz Jakrzewski.

Kasprzak jest regularnie zatrzymywany i karany mandatami przez policję. Statystycznie – przynajmniej raz dziennie. Każdego dnia odbiera z poczty kolejne wezwania, pisma dotyczące działań policji, prokuratury i sądów. Czasami nie ma już siły, by wszystko otwierać i czytać. Nie mówiąc już o złożeniu w regulaminowym terminie odwołań. Bo dotąd, jeżeli się odwoływał i sprawa trafiała na wokandę, zawsze był uniewinniany (z wyjątkiem jednego razu, kiedy został skazany za przeklinanie).

Tym razem jednak Kasprzakowi chodzi o nakazówki. Władza może tym narzędziem bardzo skutecznie dokuczać niepokornym obywatelom. Po pierwsze, zawsze sąd może uznać, że zawiadomienie zostało odebrane ze skrzynki, po drugie – termin odwołania od takiego wyroku wynosi siedem dni. Dla obywateli, którzy nie mają doświadczenia w kontaktach z prokuraturą, policją, sądami, to bardzo duży kłopot. Tą metodą można zamknąć im usta.

– Zdaję sobie sprawę, że nikt normalny z własnej woli nie będzie się pchał do więzienia – tłumaczy. – Trzeba więc sędziów uczulić, by dokładnie przypatrywali się kwitom, które do nich spływają. Bo jeżeli w sprawach ewidentnie politycznych będą wydawać nakazówki, będzie to oznaczać, że wróciliśmy do czasów kolegów ds. wykroczeń. Zresztą spójrzmy na praktykę. Policjanci wypisują mandaty za wykroczenia albo wyolbrzymione, albo zupełnie zmyślane. Na przykład za udział w nielegalnej demonstracji, choć nie ma czegoś takiego od czasów PRL. Potem takie odmowy przyjęcia mandatów spływają do sądów. I tam dzieją się różne rzeczy. Sądy nakładają grzywny. Potem ściąga je komornik. Ode mnie niczego nie ściągną, więc trafiłem do więzienia.

– Sędziowie się o tym dowiedzą! – Kasprzak jest optymistą. – Liczba nakazówek spadnie. To będzie kolejne nasze zwycięstwo.

Kolejne, bo wcześniej Obywateli RP wywalczyli sobie prawo do manifestowania podczas rocznic smoleńskich. Później – że sądy zaczęły orzekać wprost z konstytucji. Za parę miesięcy przekonamy się, jak powiodła im się kolejna bitwa.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Z pandemicznego punktu widzenia najlepiej w tej chwili być mieszkańcem Kanady – przynajmniej takim, który ma dostęp do tamtejszej służby zdrowia. Od lat cieszy się ona bardzo dobrą opinią i mianem najlepszej w regionie, choć o to akurat nietrudno – wszelkie porównania z urynkwionym, przepłaconym systemem w USA lub niedofinansowaną opieką zdrowotną w Meksyku są bezcelowe. Teraz do dobrze wyposażonych i dostępnych placówek czy doskonale wykształconego i liczego personelu medycznego dochodzi jeszcze jeden aspekt. Kanada prowadzi w globalnym rankingu kontraktowania dostaw szczepionek na COVID-19. Zgodnie z wyliczeniami rządu federalnego już zapewniła sobie wystarczającą liczbę dawek preparatu Pfizer/BioNTech, żeby każdego mieszkańca Kanady zaszczepić nawet pięciokrotnie.

Wygodna pozycja, w jakiej znalazł się premier Justin Trudeau, nie wynika jednak z jakiejś szczególnej zapobiegliwości, zaawansowania medycznego albo specjalnego kanału negocjacyjnego z koncernami farmaceutycznymi. Kanada kupiła tyle szczepionek, bo zwyczajnie było ją na to stać, a Pfizer/BioNTech i inni producenci chętnie jej swoje preparaty sprzedają. To samo można powiedzieć o Stanach Zjednoczonych i krajach europejskich. Tym zrzeszonym w Unii dodatkowo pomogła Bruksela, która najpierw prowadziła rozmowy w ich imieniu, wzmacniając pozycję negocjacyjną i obniżając koszty, a potem przymknęła oko na indywidualne, zakulisowe umowy i *de facto* handel prawami do dawek na rynku wtórnym. Wyliczenia przygotowane przez Oxfam pokazują jednoznacznie: państwa, w których żyje tylko 14% światowej populacji, już teraz na mocy ustaleń kontraktowych zapewniły sobie 53% dawek dostępnych szczepionek. Mało dobitna statystyka? Na drugim końcu skali nierówności widać jeszcze dokładniej. 67 najuboższych krajów świata, przede wszystkim z Afryki i Azji Południowo-Wschodniej, do końca 2021 r. będzie w stanie zaszczepić najwyżej 10% wszystkich mieszkańców. Preparaty, które miały nas

Nowa dawka nierówności

Ponad 140 krajów na świecie wciąż nie rozpoczęło szczepień na COVID-19



Kanada zapewniła sobie tyle szczepionek, że każdego mieszkańca można zaszczepić nawet pięciokrotnie. Nz. Premier Justin Trudeau w punkcie szczepień w Ottawie, 15 grudnia 2020 r.

uwolnić od wirusa paraliżującego życie na planecie, w zamian przyniosą nam pogłębienie globalnych nierówności, które odbijają się praktycznie na każdej płaszczyźnie życia.

Dysproporcje widać od samego początku prowadzenia kampanii szczepień – i to nawet wśród bogatych. Szybko okazało się bowiem, że same pieniądze lub parasol ochronny organizacji międzynarodowych nie wystarczą do jej sprawnego realizacji. Na Starym Kontynencie państwa zaczęły z pompą, a przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen na przełomie grudnia i stycznia robiła wszystko, żeby rozpoczęcie

procesu szczepień w Unii było również wielkim sukcesem wizerunkowym. Zjednoczona, mówiąca jednym głosem Europa miała wspólnie negocjować, razem rozpocząć szczepienia i sukcesywnie powiększać grono zaszczepionych. Ale jeszcze przed końcem roku Francuzów oskarżono o „szczepionkowy nacjonalizm”, bo mieli próbować blokady zakupu kolejnej transzy od Pfizer/BioNTech. To bądź co bądź producent niemiecki, a Francuzi mają w przygotowaniu własną szczepionkę konglomeratu Sanofi/GSK. Dlaczego więc i nad Sekwanę nie miałyby powędrować ogromne pieniądze z Brukseli?

To jednak zdecydowanie problemy tzw. Pierwszego Świata. Nawet niepokoje związane z zapowiedzianymi opóźnieniami w dostawach ze strony Pfizer/BioNTech nie zmieniają generalnego obrazu sytuacji. Bogate kraje mogły się ustawić w kolejce do pierwszej szczepionki, bo producenci w ogóle usiedli z nimi do stołu rozmów. Poza pieniędzmi Europa i Ameryka Północna dysponują niezbędną infrastrukturą medyczną, co w przypadku preparatu Pfizer jest kluczowe, bo trzeba go transportować i przechowywać w bardzo niskich, sięgających minus 80 stopni

olimpijskich. Nie wiadomo też, czy producentom nie zabraknie dawek, które miały być przeznaczone na Daleki Wschód. W końcu skoro Europejczycy i Amerykanie szybciej akceptują preparaty, szybciej będą w stanie za nie zapłacić. Z rynkowego punktu widzenia widać od razu, komu konkretny farmaceutyczny będzie skłonne zwiększyć limity dostaw, a komu mogą je ograniczyć.

W tle gier bogatych, jak to już bywało wiele razy w czasie pandemii, rozgrywa się dramat ubogich. Najbiedsze kraje dostęp do szczepionek uzyskały na razie wyłącznie

kampanii szczepionkowej marnuje się od 5% do nawet 15% dawek. Po zsumowaniu populacji tych państw wychodzi zatem, że do końca 2021 r. odporność na COVID-19 nabędzie najwyżej co 10. mieszkańców.

Nie znaczy to jednak, że na globalnym Południu farmaceutyczni giganci nie mają nic do ugrania. Wręcz przeciwnie, kiedy cały świat zwrócone były na pierwszych przyjmujących szczepionki pacjentów w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych, w Afryce, Ameryce Południowej i Azji rozpoczynała się walka o szczepionkowe wpływy. Kraje nieco biedniejsze, ale wciąż dysponujące relatywnie dużymi budżetami w ochronie zdrowia (choćby Brazylia), stały się areną walk tych producentów, którzy w Europie i USA nie mieli czego szukać: chińskich i rosyjskich. Dwie firmy z Państwa Środka, Sinovac Biotech i CanSino Biologics, właśnie w Ameryce Łacińskiej (odpowiednio w Brazylii i Meksyku) prowadziły swoje testy kliniczne. Tam też planują rozpocząć dystrybucję. Sinovac ma już zgodę brazylijskiego regulatora farmaceutycznego, a w Argentynie, Boliwii, Paragwaju i Wenezueli dopuszczony do obrotu został rosyjski preparat Sputnik V. Według doniesień Agencji Reutera i „New York Timesa” silna szczepionkowa obecność Chin i Rosji na półkuli zachodniej zaniepokoiła już Białą Dom. I choć Departament

Państwa, w których żyje tylko 14% światowej populacji, zapewniły sobie 53% dawek dostępnych szczepionek.

temperaturach. To kolejny powód, dla którego ubodzy zostali wyeliminowani z tego działania. Nie byli w stanie z miejsca uruchomić wielkich sum na kontrakty, a co dopiero zainwestować w lodówki czy chłodnie medyczne.

Atrakcyjność dla kontrahentów to jedno, krajowe realia – w tym przepisy prawne – drugie. Często to zupełnie inna rzeczywistość. Jak podaje jednostka badawcza na amerykańskim Johns Hopkins University, która monitoruje globalną pandemię, szczepić obywateli zaczęły tylko 52 kraje na świecie. Tutaj znów największą przewagę miała zjednoczona Europa – weryfikację szczepionek w imieniu wszystkich państw członkowskich przeprowadziła Europejska Agencja Leków (EMA), dzięki temu pojedyncze kraje nie musiały same ich certyfikować, tracąc czas, pieniądze i zasoby. Reszta świata na taki przywilej liczyć nie może, nawet jeśli portfele ma wcale nie takie chude. Wśród 142 państw, w których nie wkłuto jeszcze w ani jedno ramię igły ze szczepionką na COVID-19, są bowiem również kraje zamożne, np. Japonia. Tam proces dopuszczania preparatów medycznych na krajowy rynek jest bardzo restrykcyjny, czasochłonny i przede wszystkim kosztowny dla producenta. Japończycy na razie więc testują szczepionki sami, szczepić planują dopiero w połowie lutego – co jest mocno niepokojące chociażby w obliczu zbliżających się letnich igrzysk

dzięki projektowi COVAX Advance Market Commitment (AMC). Prowadzona pod auspicjami Światowej Organizacji Zdrowia inicjatywa ma za zadanie zapewnić dostawy szczepionek tym, którzy sami nie są w stanie ich wykupić. Podobnie jak Unia Europejska w imieniu swoich członków COVAX ma roztoczyć negocjacyjny parasol nad rozmowami z producentami, zmusić ich do zarezerwowania pewnej części ich produkcji dla krajów globalnego Południa, a przede wszystkim zapewnić wsparcie finansowe, również dzięki dotacjom filantropijnym. Na razie, jak wylicza

67 najuboższych krajów świata do końca 2021 r. będzie w stanie zaszczepić najwyżej 10% mieszkańców.

Oxfam, WHO do programu zakwalifikowało 92 państwa. Niektóre, np. Indonezja, swoją pulę z COVAX powiększą o szczepionki wynegocjowane w dwustronnych rozmowach. Pozostałe polegają w całości na międzynarodowej filantropii, więc do Kambodży, Konga czy Jemenu szczepionki trafią tylko wtedy, gdy zrzuci się na nie bogata Północ. A ta nie przejawia zbytniego zainteresowania tematem. COVAX dla 67 krajów zarezerwował w tej chwili 700 mln dawek. Przy konieczności podwójnego dawkowania oznacza to możliwość zaszczepienia 350 mln osób. A w praktyce nawet mniej, bo jak pokazują statystyki WHO, przy każdej

Stanu nalega, by podjąć działania, stanowisko prezydenta – zarówno nowego, jak i starego – jest jasne: najpierw zajmujemy się tym, co się dzieje wewnątrz naszych granic.

Nie istnieje jedno rozwiązanie, które w magiczny sposób wyeliminowałoby szczepionkowe nierówności. Znacznie je zredukować mogłoby uwolnienie patentów na produkcję. Tego jednak nie zapowiedział żaden z producentów, nawet ci rosyjscy i chińscy. Szczepionka na COVID-19 jest więc wielką nadzieją na wyjście z pandemii, ale jeszcze większą szansą na ogromny zarobek dla jej twórców.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Regina Dachówna

Powiatowy szpital publiczny w Forst dotknięty jest pandemią. Duża część personelu została zakażona koronawirusem. Z działalności wyłączone są wszystkie oddziały operacyjne poza ginekologią, gdzie m.in. zabiegi przerywania ciąży wykonuje dr n. med. Janusz Rudziński. Niedawno na posiedzeniu sztabu kryzysowego szpitala padła propozycja, by ginekologię również zamknąć, ale dr Rudziński wyjaśnił zebranym, że aborcji nie można przełożyć na terminy późniejsze, a lista pacjentek zapisanych na zabieg jest pełna.

Forst leży tuż przy granicy z Polską, 70 km od Zielonej Góry. Dr Janusz Rudziński jest wprawdzie emerytem, ale nadal pracuje i na brak zajęcia nie narzeka. Prawie każdego dnia telefonują do niego polskie pacjentki z prośbą o zabieg. Dziennie takich telefonów ma ponad 50. Ta liczba nie zmienia się od lat, chociaż teraz z powodu pandemii zgłoszeń jest mniej niż poprzednio. Operuje raz w tygodniu, w piątki. W dniu, gdy rozmawiamy, na piątek zapisanych jest osiem kobiet, a telefon wciąż dzwoni.

Już jako emeryt dr Rudziński podpisał umowę ze szpitalem w Forst, m.in. na wykonywanie zabiegów ginekologicznych. Szpital udostępnia mu blok operacyjny wraz z wyposażeniem. Pacjentki płacą za zabiegi w kasie szpitala, a nie np. bezpośrednio lekarzowi. Cena wynosi od 500 do 600 euro, zależnie od tego, w którym miesiącu ciąży jest pacjentka.

Na zabiegi zgłaszają się zarówno Polki, jak i Niemki. Dr Rudziński przy aborcji stosuje tzw. metodę próżniową, czyli wprowadza do macicy specjalny, podciśnieniowy przyrząd, rurkę podobną do długopisu, cieńszą lub grubszą zależnie od wysokości ciąży i w ciągu dwóch minut opróżnia zawartość macicy. Cały zabieg trwa kilka minut. Na sali operacyjnej pacjentka dostaje dwuminiutową narkozę, po zabiegu zostaje w szpitalu na obserwacji trzy godziny, po czym wraca do domu.

Aborcję przeprowadza wyłącznie do 12. tygodnia ciąży. Są kraje, np. Holandia, gdzie w trzech szpitalach można usunąć ciążę do 22. tygodnia,

Będę pomagał Polkom

Prawie każdego dnia do dr. Rudzińskiego dzwonią polskie pacjentki z prośbą o zabieg. Dziennie takich telefonów jest ponad 50



Dr Janusz Rudziński przeprowadza Polkom ponad 1000 zabiegów rocznie.

natomiast w pozostałych do 17. tygodnia. Ale dr Rudziński tak wysokich ciąż nie usuwa.

Nastolatki, 50-latki, partnerki księży

Na zabieg przyjeżdżają nastolatki, najczęściej z rodzicami, oraz kobiety dojrzałe do 50. roku życia. Wszystkie boją się nie tyle zabiegu, ile możliwości, że ich tajemnicę pozna środowisko, z którego się wywodzą. Najwięcej pacjentek pochodzi z południowo-wschodniej Polski.

– Panie doktorze, czy na parkingu przed szpitalem jest monitoring? – pytała 50-latka. – Bo gdyby o wizycie dowiedział się nasz ksiądz proboszcz...

– Boi się pani proboszcza, a nie Pana Boga? – zapytał doktor.

– Pan Bóg jest miłośniwy, proboszcz nie – usłyszał w odpowiedzi.

Wśród pacjentek zdarzają się partnerki księży, którzy też z nimi przyjeżdżają. – Musi mnie pan zrozumieć – prosił młody ksiądz. – Gdyby dziecko się urodziło, nie miałbym przyszłości w kapłaństwie.

Dr Janusz Rudziński podkreśla, że nie ma wyrzutów sumienia z powodu wykonywania zabiegów. Proszą o nie zarówno pacjentki, jak i polskie organizacje kobiece. Zresztą w Niemczech ginekolodzy zatrudnieni w szpitalach publicznych mają obowiązek wykonywania aborcji. W minionych latach w Berlinie Niemki usuwały 10 tys. ciąż rocznie, natomiast w całych Niemczech 100 tys.

Żeby poddać się aborcji w Niemczech, pacjentka musi spełnić następujące warunki: dostać orzeczenie lekarskie, które potwierdza, że ciąża zagraża życiu matki lub płód jest ciężko uszkodzony – oraz

gdy ciąża jest wynikiem gwałtu. W innym przypadku usunięcie ciąży także jest możliwe, ale dopiero po rozmowie z psychologiem albo przeszkolonym pracownikiem socjalnym z poradni rodzinnej. Po takiej rozmowie pacjentka ma trzy dni do namysłu i dopiero po tym czasie, z zaświadczeniem o przebytej rozmowie w ręku, może się zgłosić na zabieg.

Każda kobieta, również Polka, ma pełne prawo decydować o swoim życiu.

Dr Rudziński przeprowadza Polkom ponad 1000 zabiegów rocznie i mówi, że jest to niewielka część z tego, czego dokonuje się w Polsce lub w krajach ościennych, m.in. na Słowacji, w Czechach, w Austrii, a przede wszystkim w Holandii. Turystyka aborcyjna rozwija się i nadal będzie się rozwijać.

W ostatnim czasie rozwija się w Polsce inne zjawisko – moda na przeprowadzanie sterylizacji u młodych kobiet. Na taki zabieg zgłasza się coraz więcej kandydatek, a mają od 20 do 30 lat. Są to nie tylko kobiety, które mają już jedno lub kilko dzieci, ale również młode osoby bezdzietne. One mówią, że świat zmierza w złym kierunku, dlatego nie chcą mieć dzieci. Dr Rudziński zdecydowanie odradza takie operacje. – Proszę o telefon za miesiąc albo najlepiej za kilka miesięcy – mówi w nadziei, że kandydatka na pacjentkę rozmyśli się. Sterylizacja u kobiet polega na podwiązaniu jajowodów, zabieg wykonuje się laparoskopowo. Kobieta po sterylizacji może zaisć w ciążę, ale tylko metodą in vitro.

Miejsce do życia

Janusz Rudziński urodził się w Rudzianach koło Wilna, tam skończył podstawówkę, szkołę średnią w Elblągu, a studia medyczne na AM w Gdańsku. 12 maja 1971 r. w Gdańsku odbierał poród pięcioraczków. Pracował wtedy jako adiunkt i asystent w II Klinice Położnictwa i Chorób Kobiety Akademii Medycznej. Pięcioraczki przyszły na świat siłami natury, były słynne na całym świecie, ich sława spadła także na niego. Pamięta, że w nagrodę

dostał wówczas talon na malucha dla siebie i dla kolegi.

Praca na AM w Gdańsku trwała do 1977 r. W tym roku wyjechał do Szwecji, gdzie poznał szwedzką lekarkę z polskimi korzeniami. Ożenił się, założył rodzinę, pełnił kierownicze funkcje w szpitalu w Karlstad. Ale nie podobało mu się w Szwecji, m.in. z powodów obciążeń podatkowych, więc wyjechał do

Niemiec. W latach 1982-1994 pełnił kierownicze funkcje w klinikach ginekologii i położnictwa w Hanowerze, Gelsenkirchen, Bochum, Solingen. W 1992 r. w Bochum przeprowadził pierwsze w regionie laparoskopowe usunięcie macicy.

Dr Janusz Rudziński lubił zmiany i wyszukiwał dla siebie kolejne miejsca pracy. W 1995 r. przyjechał na pogranicze do Schwedt (Brandenburgia), gdzie przez 12 lat był ordynatorem oddziału ginekologii i położnictwa w miejscowym szpitalu. Potem na kolejnych 11 lat przeniósł się do Prenzlau (też Brandenburgia), blisko granicy ze

Przeciwniczki aborcji telefonują, ustalają termin zabiegu, ale się nie zgłaszają. W ten sposób blokują miejsce potrzebującym.

Szczecinem. Tu w szpitalu powiatowym został szefem oddziałów ginekologii i onkologii ginekologicznej ze specjalnościami chirurgii onkologicznej, a także chirurgii plastycznej. Chirurgia plastyczna na oddziale onkologicznym służyła m.in. do odtwarzania piersi po mastektomii.

Do Prenzlau również przyjeżdżały Polki – i na zbiegi przerywania ciąży, i na sterylizację. Od dwóch lat do dr. Rudzińskiego jeżdżą do Forst. Lekarz wynajmuje mieszkanie w Schwedt, natomiast w Bochum ma dom, do którego często jeździ. Ciągnie go tam dwójka trzyletnich wnucząt, Paula oraz Jasper Janusz, dzieci dwóch jego córek. Maluchy są dwujęzyczne. Gdy rozmawiam z doktorem, spierają się po polsku. Dumny dziadek mówi, że jest udowodnione, iż dwujęzyczność bardzo dzieci rozwija.

Sens i istota pracy

Ma 78 lat, jest rówieśnikiem prezydenta USA Joego Bidena. – Mogłbym być prezydentem – żartuje. Spełnił się w zawodzie, nostryfikował dyplom i w Szwecji, i w Niemczech, napisał 45 prac naukowych, tytuł doktora uzyskał w 1973 r. na AM w Gdańsku. Nie musiałby już pracować, a jednak nie zamierza porzucić zawodu.

– Szczególnie teraz jestem potrzebny Polkom – mówi, śledząc wydarzenia w Polsce. Gdy pracował w Gdańsku, przeprowadzanie aborcji należało do obowiązków ginekologów. Polscy koledzy ginekolodzy, którzy dziś są w PiS, wykonywali wtedy aborcje i nie mieli wyrzutów sumienia. Dr Rudziński nie może pojąć, dlaczego PiS wprowadza w Polsce średniowieczne zasady. „Popieram i walczę od wielu lat o prawa kobiet. Każda kobieta, również Polka, ma pełne prawo decydować o swoim życiu”, napisał w internecie, a potwierdza to w rozmowie.

Oprócz przestania jest prośba do przeciwników aborcji, by nie blokowali terminów przeznaczonych dla naprawdę potrzebujących. „To nieprzyzwoite”, napisał.

W praktyce wygląda to tak, że przeciwniczka aborcji telefonuje, ustala termin zabiegu, ale się nie zgłasza.

Głos przeciwników wyraża się też w inny sposób. Przesyłają „święte” obrazy, piszą, że modlą się za niego. Rudziński się nie boi. Dzwoniące z prośbą o zabieg kobiety najlepiej świadczą, jak bardzo jest im potrzebny.

– Przed przyjazdem musi pani zrobić test na covid i musi pani przywieźć zaświadczenie od psychologa, jako dowód rozmowy z nim – wyjaśnia.

Prywatnie nie ma szczególnych marzeń. Chciałby jeszcze raz odwiedzić Rudziany i mieszkającą tam rodzinę. Pojechał do Rudzian w latach 90., zobaczył rodzinny dom w połowie zniszczony, mieszkali w nim Litwini, ale nie pozwolili mu wejść do środka. Może teraz miałby więcej szczęścia? ■



Marek Czarkowski

Był czas, gdy Stocznia Gdańska zajmowała piąte miejsce na świecie pod względem wielkości produkcji. W roku 1960 zwodowano w niej 32 kadłuby statków o łącznej nośności 207,2 tys. ton. W Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego do roku 1998 powstało łącznie 597 jednostek, w tym 79 masowców, 97 kontenerowców, 11 promów pasażersko-samochodowych, a nawet cztery statki elektryczne. Specjalnością i dumą stoczniovców było 13 chemikaliowców. To niezwykle trudne do zaprojektowania i budowy jednostki morskie. W gdyńskiej stoczni powstały jedne z pierwszych na świecie tankowców o podwójnym poszyciu kadłuba. W latach 70. minionego wieku budowano w niej statki o nośności ponad 50 tys. ton.

Trudno sobie wyobrazić, jak zniszczony wojną kraj stworzył od podstaw przemysł stoczniovcy. Z biurami projektowo-konstruktorскими, produkcją silników okrętowych, elementów z metali kolorowych, radarów itp. W czasach PRL polskie stocznie wypracowały sobie solidną reputację w świecie.

Na dno

Ponura historia „ratowania” przemysłu stoczniovcy

Dzisiejsze możliwości polskiej gospodarki nie pozwalają nawet śnić o realizacji podobnych wyzwań. Naszą specjalnością stało się snucie wielkich planów odbudowy potęgi morskiej Lechitów. Przodują w tym liderzy Prawa i Sprawiedliwości. Ale efekty ich obietnic i starań są żałosne.

Kronika kompromitacji

6 maja 2017 r. Jarosław Kaczyński wizytował w towarzystwie ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marka Gróbarczyka oraz wicemarszałka Sejmu Joachima Brudzińskiego tereny stoczniovcy w Szczecinie. Na spotkaniu

z dziennikarzami długo mówił o potrzebie odbudowy przemysłu stoczniovcy. Przy okazji Gróbarczyk zaprosił obecnych na niezwykłą uroczystość – 23 czerwca premier Mateusz Morawiecki miał położyć stępkę pod budowę promu dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej. Wydarzenie to stało się symbolem nieudolności ekipy PiS w realizacji programu stoczniovcy. Po prawie czterech latach stępka rdzewieje, promu nie ma, a Stocznia Szczecińska to nie stocznia, lecz Szczeciński Park Przemysłowy, który – jak się okazało w sądzie – tej szlachetnej nazwy używał bezprawnie.

Z kolei 31 sierpnia 2018 r. w Gdańsku odbyła się szczególna impreza. Na specjalnej konferencji „Stocznia Gdańsk – nowy początek” z udziałem premiera Mateusza Morawieckiego, ministra przedsiębiorczości i technologii Jadwigi Emilewicz, ministra inwestycji i rozwoju Jerzego Kwiecińskiego oraz prezesa Zarządu Polskiego Funduszu Rozwoju Pawła Borysa ogłoszono repolonizację „kolebki Solidarności” i zaprezentowano założenia planu rozwoju terenów stoczniovcy na Wyspie Ostrów w Gdańsku. List do uczestników wystąpił prezes Jarosław Kaczyński. Stwierdził w nim: „Przejęcie Stoczni

23 czerwca 2017 r. premier Mateusz Morawiecki w Stoczni Szczecińskiej położył stępkę pod budowę promu dla Polskiej Żeglugi Bałtyckiej.

Gdańsk jest elementem wielkiego planu, wielkiego projektu rewitalizacyjnego. Jestem przekonany, że nasze działania przyniosą z czasem piękny efekt w postaci silnego gospodarstwa i zamożnością całego polskiego Wybrzeża”.

W stoczni pracowało wówczas 100 osób. A feta była możliwa tylko dlatego, że miesiąc wcześniej Agencja Rozwoju Przemysłu odkupiła ogołoconą „kolebkę” od ukraińskiego oligarchy Serhija Taruty, który raczej nie miał wyjścia, gdyż pozawiony zamówień zakład tonął w długach. Do dziś nie wiadomo, ile ARP zapłaciła Tarucie, bo to tajemnica handlowa. Była to najpoważniejsza próba ratowania Stoczni Gdańskiej, od czasu gdy o. Tadeusz Rydzek zbierał „wdowi grosz” na ten szlachetny cel. Ile zebrał i co z tym się stało? Bóg raczy wiedzieć. Padały różne kwoty. Od kilkudziesięciu milionów złotych do 100 mln dol.

W kwietniu 2019 r. spółka Baltic Operator, należąca faktycznie do Agencji Rozwoju Przemysłu, wydzierżawiła od stoczni cały majątek trwały plus spółkę GSG Towers wraz z pracownikami. Na start Baltic Operator otrzymał 200 mln zł z ARP i na pewno nie jest to ostatnie słowo. Firma zajmuje się podwykonawstwem. Powstały w niej kadłub statku rybackiego i nadbudówka dla statku budowanego przez norweską stocznnię Stein. Na razie najbardziej znany „produkt” stoczni to zakładowa Solidarność i jej liderzy: przewodniczący Roman Gałęzewski oraz jego zastępca Karol Guzikiewicz.

W identycznej sytuacji jest Stocznia Gdynia. Jeszcze w roku 2003 pod względem wielkości produkcji zajmowała pierwsze miejsce w Europie, lecz był to łabędzi śpiew. 25 kwietnia 2009 r. miało miejsce ostatnie wodowanie. Miesiąc później załogę zwolniono. Był to efekt m.in. decyzji Komisji Europejskiej, która w 2008 r. uznała, że pomoc finansowa udzielona stoczniom gdyńskiej i szczecińskiej przez polski rząd była nielegalna. Inna sprawa, że gdyby nie dotacje budżetowe, to obie „kolebki” już dawno poszłyby na dno.

Gabinet Donalda Tuska próbował ratować sytuację, oferując obie stocznie katarskiemu funduszowi QInvest, który miał gwarancje Qatar Islamic Bank. Transakcję miała przeprowadzić specjalnie powołana w tym celu fundacja Stichting Particulier Fonds Greenrights. Ustalono nawet kwotę – 287 mln zł. Stocznia Gdynia pod nowym właścicielem miała się zająć budową statków do przewozu skroplonego gazu ziemnego, który właśnie w dużych ilościach kupiliśmy w Katarze. Co miało być budowane w Szczecinie, nie wiadomo.

Lecz wyznawcy Allaha zawiedli. W uzgodnionym terminie środki nie wpłynęły. Tusk wypalił wówczas, że toczą się rozmowy z nowym inwestorem – Qatar Investment Authority, ale również ten przedstawiciel arabskiego biznesu dał nogę i Stocznia Gdynia poszła na dno.

Zniszczony wojną kraj stworzył od podstaw przemysł stoczniowy. Za PRL polskie stocznie wypracowały sobie solidną reputację w świecie.

Symbolem ostatecznej hańby polskiego przemysłu stoczniowego była epopeja ORP „Ślązak” – korwety patrolowej budowanej w gdyńskiej Stoczni Marynarki Wojennej od listopada 2001 r. Wożono się z budową kadłuba latami. W roku 2009 stocznia MarWoju upadła, a prace wstrzymano. W 2013 r. na szczęblu rządowym zdecydowano o ukończeniu budowy „Ślązaka”. Nie jako korwety, lecz okrętu patrolowego. Tak było łatwiej i taniej. W końcu zwodowano go w lipcu 2015 r. Dopiero cztery lata później, w listopadzie 2019 r., po zakończeniu testów i prób morskich, okręt przekazano Marynarce Wojennej.

Dno zostało przebite we wrześniu 2019 r. przez niezatapialnego ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marka Gróbarczyka. W szczecińskiej stoczni Gryfia uczestniczył on w uroczystym odbiorze kadłuba budowanego z dotacji unijnych Iłodolamca „Puma”. Jeden z pracowników wykonał zdjęcia, na których widać, że w wielu miejscach kadłub nie jest zespawany, tylko zaklejony taśmą i zamalowany! W lipcu 2020 r. okazało się, że „Puma” ma

problemy z układem chłodzenia, których być może nie da się naprawić. Tak w praktyce wyglądała realizacja wielkiego planu odbudowy przemysłu stoczniowego przez Prawo i Sprawiedliwość.

A jednak się kręci

Natura nie znosi próżni. Na gruzach trzech „kolebek Solidarności” i obietnic liderów PiS wyrosły prywatne firmy. Nie budują wielkich jednostek, lecz odkryły dla siebie nisze rynkowe. Polską specjalnością stały się luksusowe jachty. Jeden z nich, o nazwie „Viatoris”, zbudowała gdańska stocznia Conrad Shipyard na zamówienie bardzo bogatego Rosjanina. Szacuje się, że mógł on zapłacić nawet 18-19 mln euro. W roku 2019 ten 40-metrowy jacht wygrał w jednej z kategorii prestiżowych World Superyacht Awards. Podobne

jednostki sprzedajemy Norwegom, Francuzom, Niemcom i Amerykanom. Rocznie zarabiamy na tym ok. 150 mln euro.

Bardzo dobrze sobie radzi Karstensen Shipyard Poland, spółka zależna duńskiej stoczni o tej samej nazwie, która działa w Gdyni przy Nabrzeżu Indyjskim. Powstają w niej głównie statki rybackie. W roku 2020 zwodowano w niej siedem takich jednostek. 19 stycznia 2021 r. z pochylni szedł kolejny duży trawler zbudowany na zamówienie duńskiego armatora Rederiet Ruth A/S. Połączenie niskich podatków z tanią ▶

Naszemu koledze
Rafałowi Pyznarowi

serdecznie współczujemy
z powodu śmierci

TATY

Przyjaciele z „Przeglądu”

► polską siłą roboczą i duńską reputacją czyni cuda.

Ciekawym przypadkiem jest kontrolowana przez Agencję Rozwoju Przemysłu gdyńska Stocznia Remontowa Nauta. W roku 2014 weszła ona w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA. Jej specjalnością stały się remonty statków, co dla prywatnych spółek jest opłacalne.

**W 2017 r. położono stępkę pod budowę promu dla PŻB.
Po prawie czterech latach stępka rdzewieje, a promu nie ma.**

Najwyraźniej jednak Nautę przesładował pech. W kwietniu 2017 r. w wyniku wypadku wpadł do wody razem z dkiem remontowany dla norweskiego armatora chemikaliowiec „Hordafor V”. W roku 2018 zanotowała ona 57,9 mln zł strat. Choć do końca nie jest to pewne, gdyż rok później biegły rewident miał nie przyjąć sprawozdania i zakwestionować wiarygodność danych. W roku 2017 Nauta straciła w atmosferze skandalu

nieźle rokujący kontrakt na przebudowę platformy wydobywczej Petrobaltic. Ostatecznie zajęła się tym Remontowa Shipbuilding w Gdańsku.

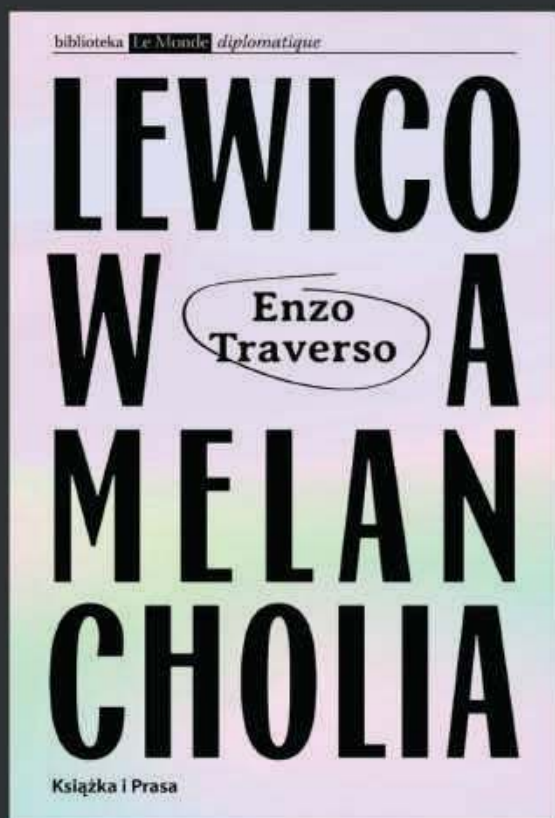
Przeciwieństwem Nauty jest założona w roku 1990 przez dwóch inżynierów budowy okrętów Krzysztofa Kulczyckiego i Ireneusza Ćwirkę gdyńska stocznia CRIST SA. To dziś największa stocznia produkcyjna

w roku ubiegłym zwodowała pięć jednostek. Były to głównie statki rybackie zbudowane dla holenderskich i norweskich partnerów.

Z całą pewnością prywatne stocznie radzą sobie znacznie lepiej niż te będące własnością skarbu państwa. Premier Morawiecki i prezes Kaczyński mogą opowiadać banialuki o planach odbudowy przemysłu stocznioowego. To pretekst, by zbudować imponującą karuzelę stanowisk dla swoich i utopić kolejne setki milionów złotych publicznych pieniędzy w Bałtyku.

Prawdziwą rewitalizacją 16 ha dawnych terenów Stoczni Gdańskiej zajmuje się dziś Stocznia Cesarska Development należąca do dwóch belgijskich deweloperów Revive i Alides. Ale nie chodzi tu o budowę statków. Tam, gdzie kiedyś Lech z kolegami spał na styropianie, powstają luksusowe mieszkania i lokale użytkowe.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl



Enzo Traverso

Lewicowa melancholia

Marksizm, historia i pamięć

Cena 38 zł (w tym 5% VAT)

Do nabycia w księgarniach
i w empikach w działach prasowych.
Książkę można zamówić też
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwwkip.org
www.monde-diplomatique.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Nadużycia semantyczne

Kryminologia zna pojęcie racjonalizacji przestępstwa. Zabójcy łatwiej jest zabić człowieka, gdy wmówi sobie, że ten konkretny osobnik to nie człowiek, ale kanalia, świnią, łotr albo przynajmniej gorszy gatunek rodzaju ludzkiego. Bo zabić człowieka nie bardzo wypada, to grzech, to zbrodnia. Ale świnię, kanalię albo gorszy gatunek zabić już można. Zabójca więc odczłowiecza swoją ofiarę. Najpierw w sferze języka. „To nie człowiek, to straszne bydlę”. Dla esesmanów, jak pisał prof. Kępiński, ich ofiary nie były ludźmi. Były albo żydami (a żyd to nie-człowiek, a w najlepszym razie gorszy gatunek człowieka), albo bezosobowymi obozowymi numerami.

Ta racjonalizacja zbrodni, której pierwszym krokiem jest zabieg semantyczny, odczłowieczenie poprzez zastąpienie nazwy człowiek inną nazwą, jest znana i opisywana w literaturze kryminologicznej i psychiatrycznej.

Ale taki sam zabieg semantyczny jest możliwy i w drugą stronę. „Obrońcy życia”, walcząc z aborcją, przestali używać nazwy płód. Używają powszechnie nazwy dziecko nienarodzone. Czyż „zabicie dziecka nienarodzonego” nie brzmi groźniej niż „spędzenie płodu”?

W latach 30. polski Kodeks karny używał nazwy spędzenie płodu. Spędzenie płodu, a nie zabicie dziecka poczętego czy zabicie dziecka nienarodzonego. Dla autora projektu kodeksu, prof. Juliusza Makarewicza, skądinąd praktykującego katolika i nawet swego czasu senatora z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji, płód nie był dzieckiem. Był płodem! Dla wielbionego po dziś dzień przez polską prawicę prezydenta Ignacego Mościckiego, którego rozporządzeniem wprowadzony został Kodeks karny, jak widać też. Nawiasem mówiąc, przed wojną płód można było spędzić legalnie, gdy ciąża była wynikiem przestępstwa albo gdy zagrażała zdrowiu kobiety. O uszkodzeniach płodu jako ewentualnej przesłance jego spędzenia nie mówiono, bo jeszcze nie było badań prenatalnych.

W podręcznikach medycyny sądowej z okresu międzywojennego autorstwa nie tylko katolika, ale nawet bigota,

jakim był Leon Wachholz, opisywane są sposoby „zbrodniczego spędzenia płodu”, ale nigdzie nie pada nazwa dziecko poczęte czy dziecko nienarodzone. Tej nazwy nikt w Polsce nie używał.

Kolejne nadużycie semantyczne to wywodzenie zakazu aborcji z przepisów konstytucji, albowiem człowiek ma „przyrodzone” prawo do życia. Wystarczy sięgnąć do „Słownika języka polskiego” Lindego, aby się przekonać, że w języku polskim przyrodzone to „zbiór właściwości, które nabywa się z chwilą urodzenia”.

Przyrodzoną godność ludzką nabywa się zatem *ex definitione* z chwilą urodzenia. A nie przed urodzeniem. Wiem, że są prawnicy, którzy słowo przyrodzony interpretują inaczej. Prawnikom zdarzają się różne rzeczy, w tym nadużycia i nonsensy semantyczne. Na przykład w przedwojennym

Kodeksie karnym wojskowym był przepis, że „za żołnierzy w czynnej służbie wojskowej uważa się również żołnierzy w stanie nieczynnym”. Można

więc się upierać, że to, co uznaje się za przyrodzone, nabywa się przed urodzeniem. Ale jest to nadużycie semantyczne i naruszenie elementarnych praw logiki.

Ci, którzy dopuszczają się tego nadużycia semantycznego i płód nazywają dzieckiem, a więc człowiekiem, są jednak niekonsekwentni. Za aborcję chcą karać łagodniej niż za zabójstwo. Niby dlaczego? Jeśli aborcja jest zabójstwem człowieka, to tego, kto jej dokonał, a także kobietę, która temu zabiegowi się poddała, trzeba by karać jak za zabójstwo. Do dożywocia włącznie. Chyba że „obrońcy życia poczętego” taki postulat zgłoszą w następnej kolejności. Równolegle z penalizacją samogwałtu, używania środków antykoncepcyjnych, odbywania stosunków przedmażeńskich i pozamażeńskich. Wszystko to są wedle nauki Kościoła grzechy, więc trzeba za nie karać w katolickim kraju. Idziemy w tym kierunku. Jeszcze jedna kadencja PiS i dojdziemy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY

NEWSLETTER



ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie www.tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, w każdy poniedziałek otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGŁĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY
W KONTAKCIE!



MSZ od środka – ciąg dalszy

Kolejny ambasador „dobrej zmiany” opowiada, jak został wykończony

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. JAROSŁAW SUCHOPLES

– były ambasador RP w Finlandii (2017-2019),
samodzielny pracownik naukowy Uniwersytetu w Jyväskylä w Finlandii

Panie ambasadorze, po długich wahaniach zgodził się pan na wywiad. Dlaczego?

– Widzi pan, od dawna obserwuję walkę toczoną przez mojego kolegę, ambasadora Jacka Lzydorczyka, z całą tą machiną, za którą stoi wielu wysoko postawionych urzędników MSZ. Chcą, by prawda o ich działaniach nigdy nie wyszła na jaw, a Lzydorczyk po prostu został opluty i zniszczony albo w najlepszym przypadku przedstawiony jako pieniacz lub nieudacznik. Udzielenie mu jakiegokolwiek wsparcia to po prostu kwestia elementarnej przyzwoitości. To tak jak w tej scenie z „Dwunastu gniewnych ludzi”, kiedy Henry Fonda czeka na poparcie kogokolwiek z sędziów przysięgłych. Jeśli je dostanie, dalej będzie mógł bronić swoich racji, *de facto* życia oskarżonego o morderstwo chłopaka. Jeśli nie, to po sprawie. I jeden z sędziów wbrew temu, co początkowo sam myślał, udziela mu tego poparcia. Różnica jest taka, że ambasador Lzydorczyk mówi prawdę, a moje osobiste doświadczenie po prostu to potwierdza.

To MSZ chodziło za mną

Jak pan trafił na stanowisko ambasadora?

– To bardzo ciekawa historia. Trochę zaskakująca. Jestem obywatelem polskim i tylko polskim, ale ze względów zawodowych od dawna mieszkam poza Polską. Moja żona pracowała w instytucjach naukowych w Poczdamie i Berlinie, ja też pracuję naukowo. Przez kilka lat pracowałem również jako profesor na uniwersytecie w Malezji. Jeden z tematów badań, które prowadziłem, dotyczył Azji Południowo-Wschodniej i Polski w okresie komunizmu. Dlatego bodajże w październiku

2013 r. odwiedziłem archiwum MSZ. **Szukając depesz i raportów z tamtego okresu...**

– W znalezieniu materiałów archiwalnych pomagało mi dwóch pracowników MSZ, którzy okazali się dyplomatami w niełasce.

Czyjej niełasce?

– Ówczesnego ministra spraw zagranicznych, pana Sikorskiego. Szkoda, że nie zajął się dostatecznie energicznie, takie przynajmniej odnośnie wrażenie, choćby zmniejszeniem skali nieprawidłowości czy wręcz patologii trawiących MSZ (a ministrem był przecież stosunkowo długo), tym bardziej że spora część pracowników ministerstwa to przecież ich ofiary. Wielu trudno odmówić kompetencji i zaangażowania, ale to nie oni nadają ton. Kolejne ekipy wykorzystywały to, co zastały, i dodawały nowe warstwy patologii. Podczas kwerendy w archiwum poznałem więc pracującego tam dyplomata, pana Antoniego Wręgę; wcześniej był konsulem w Kopenhadze, nie wiem, dlaczego trafił do archiwum, czym się naraził. Poznałem się z nim, przez następne trzy lata mieliśmy dość luźny kontakt – życzenia świąteczne, urodzinowe, to wszystko. W grudniu 2016 r., już po moim przyjeździe z Malezji, gdzie pracowałem na Państwowym Uniwersytecie Malezyjskim, dostałem od niego krótki mejl, zawierający pytanie: „Czy chce pan być naszym ambasadorem w Finlandii?”.

I co pan na to?

– Byłem zaskoczony. Początkowo myślałem, że to żart. Jednak okazało się, że nie. Odpowiedziałem pozytywnie, ale wtedy też zacząłem sondować, co na moją współpracę z ekipą sprawującą od półtora roku władzę powiedzieliby świat i ludzie. Ja uważam, że moim największym

atutem jest reputacja. Wiem, jaką mam opinię w Finlandii, wiem, jaką mam reputację w świecie. I nie chciałem narażać jej na szwank jakimś, nazwijmy to, nieodpowiedzialnym ruchem. Dlatego pytałem ludzi: z lewa, z prawa, z centrum. Pana znajomych także. I w zasadzie wszyscy, po prostu wszyscy, mówili mi: „Bierz! Bierz, bo byłbyś głupi, gdybyś nie wziął. Bierz, bo lepiej, żeby ciebie wystali, bo ty się znasz”. Nie ukrywam, że była to dla mnie atrakcyjna propozycja, choć miałem obiekcje i dylematy. Chociaż, powiadam, ja za nikim nie chodziłem. To MSZ chodziło za mną. **I zgodził się pan.**

– Pod koniec grudnia 2016 r., po świętach, zaproszono mnie do MSZ. Na spotkanie z ówczesnym szefem gabinetu politycznego. To był Jan Parys. Wczytano się w moje papierozy i zastanawiano, czy może wysłać mnie do Malezji. No bo przecież parę lat tam przepracowałem, parę rzeczy o tamtym regionie napisałem. Ostatecznie wybór padł na Finlandię. Było to dla mnie lepszym rozwiązaniem, ponieważ Finlandia od zawsze była zasadniczym obiektem moich zainteresowań badawczych. Znam ten kraj, i to bardzo dobrze. Rolą, jaką Finlandia odgrywa w międzynarodowej polityce, zajmuję się od 30 lat. Dlatego kiedy wspominam tę rozmowę z Parysem, pojawił się wtedy tylko jeden taki element, który... wtedy mną nie wstrząsnął, nie przesadzałem, ale jakoś dziwnie się poczułem. Zrozumiałem to dopiero po następnych kilku latach.

Co pan ma na myśli?

– Rozmawialiśmy i w końcu powiedziałem: „Dobrze, mogę się na to zgodzić”. Parys odpowiedział w ten sposób: „To bardzo się cieszę, że będzie pan z nami współpracował”.



Ambasador Jarosław Suchoples (nz. z lewej) z prezydentem Finlandii Saulim Niinistö, 7 września 2017 r.

Tyle że to „z nami” było powiedziane w bardzo charakterystyczny sposób. To brzmiało, i po latach mi brzmi w taki sposób, jakby powiedział: to dobrze, że będziesz w naszej mafii!

Wtedy tak mocno to panu nie zabrzmiało?

– Pewnie nie, ale też nie zabrzmiało dobrze. Przecież to zapamiętałem! Coś więc musiało zazgrzytać. Wtedy zazgrzytało, natomiast dziś, po latach – kiedy widzę, co się dzieje, kiedy już przeszedłem, co przeszedłem, i miałem styczność z wiceministrami, ministrami i z samym panem prezydentem – patrzę na to zupełnie inaczej. To było jakby mimowolne zapisanie się do jakiejś nieformalnej grupy politycznej. Co mogę jeszcze dodać? Przyjechałem do Polski z zagranicy. Mieszkam za granicą *de facto* od roku 1996. Miałem prawo także do swoich ocen. Dziś widzę, że może nie do końca wszystko rozumiałem. Nie w 100%! Może w 95%, może tylko w 80%.

Szkolono mnie dwa tygodnie

Szybko po tej rozmowie został pan ambasadorem?

– Nie! Rozmowa, jak mówiłem, była w grudniu 2016 r., następna, kiedy pojawiłem się w Warszawie, to był kwiecień 2017 r., a placówkę objąłem dopiero we wrześniu. Bo z panem ambasadorem Grudzińskim, który był moim poprzednikiem, to oni mieli pewne przejście. Otóż po raz pierwszy został on odwołany jeszcze w roku

Byłem na celowniku u Papierza, bo nie miałem żadnego politycznego zaplecza.

2016. A potem przypomniano sobie w MSZ, że w kwietniu ma być wizyta państwowa prezydenta RP Andrzeja Dudy w Finlandii! Dlatego ambasador Grudziński został na placówce na kolejne parę miesięcy. Tylko że wizyta państwowa została przełożona na jesień. Wtedy, już ostatecznie, ambasadora Grudzińskiego odwołali. To był kwiecień, maj... I na mnie zaczęli naciskać. Już, już! Szkolenia itd. Szkolenia to jest zresztą osobny temat.

Bardzo mnie ciekawi, jak przygotowywany jest ambasador.

– Niedawno odwiedziłem w Helsinkach mojego kolegę – ambasadora USA. A że on był tzw. nominatem politycznym (czyli dyplomatą niezawodowym), spytałem go, ile trwało jego szkolenie. Odpowiedź brzmiała: cztery miesiące. Mnie szkolono dwa tygodnie, z tym że 80% tych szkoleń nie miało żadnego sensu. Mógłby ktoś pomyśleć, że te szkolenia odbywają się w dwóch celach: po to, żeby powiedzieć, że się odbyły, i żeby ktoś mógł zarobić.

Gdzie byliście szkoleni?

– W tzw. Akademii Dyplomatycznej. Jedyne sensowne szkolenie, jakie mieliśmy, to całonocne szkolenie z zasad BHP i z pierwszej pomocy. Bo te szkolenia wyglądają jak lekcje, jest grupa, która jest szkolona, w moim przypadku byli to tzw. kierownicy placówek, czyli ambasadorowie, konsulowie generalni, ewentualnie kandydaci na dyrektorów Instytutów Polskich. Raz np. przyszedł człowiek, który zajmował się mobbingiem. I na dzień dobry powiedział tak: „Ja mam z państwem aż 90 minut. Co ja państwu o tym mobbingu mogę powiedzieć? Ech... Ostatnio mieliśmy międzynarodową konferencję poświęconą jednemu z zagadnień. I siedzieliśmy nad tym kilka dni. Ha! No dobrze, to ja państwu jedno zagadnienie omówię”. I to całe szkolenie!

Tak po prostu?

– Tak, bo innej możliwości po prostu fizycznie nie było. Ten pan miał zaledwie 90 minut, choć o samym mobbingu powinienem mieć

dwutygodniowe zajęcia. To nie jego wina. To jest wina systemu albo raczej jego braku. Przyszła do nas pani z Departamentu Polityki Europejskiej (DPE). Była to dla mnie bardzo ważna lekcja, tzn. treść pogadanki, nie wykładu, oscylowała wokół naszej polityki europejskiej, w tym scenariuszu polskiej polityki wobec brexitu. W swojej badawczej docieklivości spytałem: „A co będzie, gdy do brexitu nie dojdzie?”. Po chwili konsternacji pani odpowiedziała, że nie ma żadnego alternatywnego planu. Aha, czyli nie mamy polityki ▶

► zagranicznej opartej na wielowarian-
towości: a, b, c, d...

Miałem w Finlandii nazwisko

Skończył pan szkolenie i co dalej?

– Na *agrément* czeka się do siedmiu tygodni. Ja czekałem niecałe trzy. To już coś mi powiedziało. A potem upomniałem się o wizytę studyjną. Wiedziałem, że jest coś takiego, chociaż nikt z MSZ mnie o tym nie poinformował (ach, te oszczędności). Przyszły ambasador ma prawo pojechać do ambasady na jeden czy dwa dni, aby zobaczyć się z ludźmi, zobaczyć obiekt itd. Przyjeżdżam więc do Helsinek, a mój zastępca, wtedy jeszcze przyszły, bardzo przyzwoity człowiek, mówi: „Panie ambasadorze, jest taka sprawa, ma pan zaproszenie do Pałacu Prezydenckiego”.

Finowie wiedzieli, że pan przyjeżdża?

– Wiedzieli, tyle że ja wtedy byłem jeszcze osobą prywatną. Zapytałem o radę. On na to: „Wie pan, jest zaproszenie. Wiedzą, że pan jest...”. Cóż, pojechałem i spotkałem się z prezydenckim ministrem, który

jednego. Rozmowa przebiegła mniej więcej tak: „No, dobrze, że pan jest. Musi się pan nam przedstawić: kim pan właściwie jest, co pan robi...”. Ja słucham, trochę skonsternowany dziwacznością sytuacji, i odpowiadam bardzo krótko. Po czym słyszę: „Bo my tu mamy taką panią, która będzie w przyszłości pana zastępcą. Chciałabym, żeby pan ją spotkał” itd.

Spotkał ją pan?

– Oczywiście. Promowano tę panią jako wybitną ekspertkę od Finlandii, szczególnie od spraw gospodarczych. Porozmawiałem z nią 15 minut i wyrobiłem sobie opinię: ekspertka, tyle że jej wiedza jest prasowa. Potwierdziło się to zresztą w praktyce. Nic więcej. Ale już wiedziałem, że szykowane jest dla tej pani miejsce. Tyle że ja nie wiedziałem jej w roli mojej zastępczyni i zaoponowałem.

We wrześniu był pan już ambasadorem w Finlandii.

– A w październiku miałem wizytę pana prezydenta Dudy. Tę przełożoną z kwietnia. Finowie dali mi nawet z tej okazji wysokie odznaczenie, nawet bardzo wysokie. W porządku, jest taki

W kwietniu miałem kontrolę

Dobrze panu szło. I co się stało, że zaczęło być źle?

– Pod pewnymi względami źle było od samego początku. Ja tam miałem wykonać jedno specjalne zadanie. Zadanie numer 1, o którym najczęściej rozmawiałem z MSZ, to był kompleksowy remont całej placówki.

Placówka jest słynna. Tam toczyły się przecież rozmowy Gierka-Schmidt, dotyczące wyjazdu Ślaza-ków do Niemiec, łączenia rodzin.

– I wtedy po raz ostatni w miarę porządnie wyremontowano rezydencję ambasadora. Placówka w Helsinkach składa się z kilku obiektów. Jest to, co Anglosasi nazywają *chancellery*, czyli ambasada, połączona z blokiem mieszkalnym...

...w którym mieszkają pracownicy.

– Jest też domek fiński, który pełnił funkcję domku gościnnego. No i rezydencja ambasadora, budynek wzniesiony w roku 1941 na potrzeby biura prywatnej firmy żeglujkowej. Chyba najpiękniejszy w okolicy, a to naprawdę bogata okolica. Tylko że od iluś lat nie przeszedł kompleksowego remontu.

I trzeba było go zacząć.

– Biuro Infrastruktury kazało mi zrobić tzw. WOT, wielobranżowy opis techniczny. Dostałem na to pieniądze, a to drogo kosztuje. Przyjeżdża ekipa, siedzi tydzień i naprawdę ma co robić – za to się płaci te 50-60 tys. euro. Minęło parę miesięcy i w kwietniu miałem kontrolę z Biura Kontroli i Audytu. Na jej koniec spotykam się z kontrolerami i jest taka rozmowa: „Wie pan, panie ambasadorze, zasadniczo wszystko jest w porządku, ale musimy o jednej rzeczy panu powiedzieć. Prawdopodobnie to się jakoś rozejdzie po kościach, ale niech pan uważa. Bo po co pan wydał pieniądze na jakiś WOT?”. Odpowiadam: „Biuro Infrastruktury mi te prace zleciło”. A oni na to: „To, co panu zleca Biuro Infrastruktury, lepiej od siebie odpychać. Nie wykonywać ich poleceń”. Pytam więc: „Jak to?”. A oni na to: „Bo wie pan, w ostatecznym rozrachunku może pan stanąć przed takim dylematem – albo wykona pan polecenie i postawią pana przed prokuratorem, bo uznają, że wydał pan niecelowo całkiem sporo pieniędzy,

Odwoływanie ambasadorów przed upływem ich kadencji jest po prostu obraźliwe dla kraju przyjmującego.

później został ambasadorem Finlandii w Paryżu. Porozmawialiśmy sobie i on mi powiedział: „Panie ambasadorze, wprawdzie zwyczaj dyplomatyczny jest taki, że może pan rozpocząć normalną działalność dopiero po złożeniu listów, ale w pana przypadku myślę, że możemy z tego zrezygnować”. To wielkie i bardzo rzadkie wyróżnienie.

Było czym się pochwalić w Warszawie.

– Proszę pana! W DPE zrobili mi z tego sprawę, tzn. jak ja mogłem przed złożeniem listów pójść do Pałacu Prezydenckiego! Ale jak mogłem nie zaakceptować takiego zaproszenia?! Szczególnie żrugała mnie pani Ćwioro, ówczesna szefowa departamentu. Po raz pierwszy spotkałem się z nią w kwietniu 2017 r. Zaaranżowała spotkanie w taki sposób, że posadziła mnie przy stole, naprzeciwko siebie, a obok usiadł któryś z jej zastępców i jeszcze ktoś, zdaje się, że jej drugi zastępca. Troje na

zwyczaj, ale dopiero później zrozumiałem, że gdybym tego, co robiłem przez 30 lat, nie zrobił, tobym aż tak wysokiego odznaczenia nie dostał, bo byłem krótko. Krzyż Orderu Białej Róży II klasy, komandorski z gwiazdą. Widzi pan więc, że ambasador Polski w Finlandii miał nazwisko. I bardzo szybko inni ambasadorowie zorientowali się, że Polacy mają takiego faceta, który wie. Po prostu – wie. Jako ambasador zaangażowałem się w sprawy bezpieczeństwa. Organizowałem co trzy miesiące seminarium dla członków korpusu dyplomatycznego i urzędników z fińskich ministerstw. Na przykład przyszedł do mnie jako prelegent dowódca fińskiej armii, z którym się zaprzyjaźniłem. Przyszedł na wykład, wziął ze sobą swój numer 2 w armii. I zaczął wykład od słów: „Drogi Jarku...”. A skończył dokładnie tak samo. Wszyscy ambasadorowie to widzieli i już wiedzieli, co i jak, bo przecież wiedzieli, jaki on jest z charakteru i usposobienia.



Ambasador Jarosław Suchoples na przyjęciu z okazji Dnia Niepodległości Finlandii w Pałacu Prezydenckim.

albo nie wykona pan polecenia i pana odwołają”. Aha!

Może więc lepiej było bez WOT?

– Widzi pan, zwykły opis techniczny, taki jak to jest u nas w rocznych czy pięcioletnich przeglądach budowlanych, pokazuje: tu jest okno albo tego okna nie ma. A WOT określa, w jakim stanie technicznym jest to okno. Jeżeli ma pan w perspektywie wykonanie dużego remontu i m.in. ma pan obiekt zabytkowy, to na pewno będzie rozmowa z lokalnym konserwatorem zabytków. Bez WOT trudno taką rozmowę prowadzić czy ocenić rzeczywisty stan danego budynku. Biuro Infrastruktury miało rację. Tylko że kontrolerzy w ogóle tego nie rozumieli.

Przysłano mi panią, która nie umiała dokładnie nic

I grozili?

– Nie, ostrzegali. Był też inny problem. Jak przyjechałem na placówkę, mój samochód flagowy miał siedem czy osiem lat. Dwójka była o rok starsza. I mieliśmy jeszcze mercedesa kombi, żeby przewieźć coś itd. To było moje kolejne zadanie: muszę kupić samochody. W końcu dostałem pieniądze na ten trzeci.

Na kombi...

– I za to próbowali mnie wkręcić w dyscyplinę finansów publicznych.

Jak?

– Moja kierownicza administracyjno-finansowa zebrała oferty i zaważyła dokumentację.

Zdarza się.

– O, nie! Proszę pana, jest placówka, którą czeka duży remont, wymiana samochodów, założenie systemu zabezpieczenia technicznego, tych wszystkich kamer itp. Powinienem tam mieć kierownika administracyjno-finansowego, który zna się dobrze na prawie, na prawie budowlanym, na prawie o zamówieniach itd. A kogo miałem? Przysłano mi panią, którą przedstawiano jako super hiper ekspertkę od tych wszystkich

Niszczy nas machina, za którą stoi wielu wysoko postawionych urzędników MSZ.

spraw. Po pół roku już wiedziałem, że nie umie dokładnie nic. I że nie znała co najmniej wystarczająco dobrze angielskiego. Tylko świetnie się z tym kryła, bo miała siostrę, która pracowała w innej ambasadzie, i cały czas się z nią konsultowała. Wiisała na telefonie. A i tak wpakowała mnie w kłopoty, bo nie przygotowała w sprawie tego samochodu pełnej dokumentacji.

I kupić pan niewłaściwy samochód?

– Nie, jak najbardziej właściwy! MSZ początkowo chciało, żeby to był mercedes, bo oni będą

standaryzować. W porządku. Tylko że w warunkach ambasady w Helsinkach ja muszę ten samochód postawić w garażu. Przecież nie pod wiatą! Nie postawię na zewnątrz nowego samochodu przy 20-stopniowych mrozach. Dlatego zmierzyłem garaż i wyszło nam, że jedyny pojazd, który nam pasuje, to volkswagen sharan. Myśmy ten samochód kupili. Wydałem zamiast 50 tys. euro 34 tys. Każdy powinien być zadowolony. Ale dokumentacja była po prostu nieprzygotowana. Oni, tzn. sam dyrektor generalny Andrzej Papierz, poszli z tym później do komisji dyscypliny finansów publicznych.

Do tej w Ministerstwie Finansów?

– Tak. Ale dużo później się zorientowałem, że Papierz nie znał wewnętrznych przepisów. W 2007 r. wyszło rozporządzenie ministra, że ze względu na to, że ambasady działają w różnych realiach finansowych, mogę z wolnej ręki zrobić zakup do 125 tys. euro. Czyli zarzut, że nie dopełniłem całej procedury przetargowej, a tak naprawdę nie ja, tylko moja kierownicza administracyjno-finansowa, już nie za bardzo mógł się ostać.

Jak chcą dokuczyć, to ludzi nie przysła

Nie mógł pan takiej kierowniczkii odesłać do kraju?

– Nie. Ambasador w zasadzie nie ma żadnego pola manewru w tym zakresie. Jeśli nie ma współpracy z kadrami, czyli Biurem Spraw Osobowych, ambasador nic w takiej sprawie nie zrobi. Zahacza pan o problemy kadrowe. Miałem je od samego początku, ponieważ od samego początku wpychano mi tę panią, o której już wspominałem, na zastępcę. Nawet jak dostawałem od ministra Waszczykowskiego nominację, to gdy dyrektor DPE wprowadziła mnie do gabinetu ministra i usiedliśmy przy stole, od razu zaczęła: „Zastępcą pana ambasadora będzie ta pani...”. Wtedy naprawdę się zdenerwowałem. Nie zgodziłem się na nią i już miałem wojnę z Departamentem Polityki Europejskiej i Biurem Spraw Osobowych. Kierownicza finansowo-administracyjna – okazało się, co się okazało. Wkrótce ▶

▶ pojawił się problem z konsulem, potem z attaché prasowym. Gdy mój konsul, bardzo dobry zresztą, wyjechał z placówki, bo już był tam cztery lata i chciał wracać do kraju, zacząłem mieć wakaty. Musiałem przesunąć kogoś z uprawnieniami konsularnymi do konsulatu, bo ciągle nie było ludzi.

Dlaczego?

– Praktyka. Wynika z dwóch rzeczy. Jedna jest taka, że MSZ naprawdę nie ma ludzi. Jak pan jest dobrym księgowym, to po co panu iść na kierownika administracyjno-finansowego do ambasady gdzieś tam w świecie? Więcej zarobi pan w Polsce, a nigdzie nie musi się ruszać, dezorganizować życia rodziny itp. Z tego, co mi powiedziano, kierownika administracyjno-finansowego nie miało 60% placówek! Nie sądzę, żeby teraz było lepiej.

I jak sobie radzą?

– Do mnie na początku przyjechał pan z ambasady w Oslo, bardzo doświadczony kierownik, i księgował mi rachunki. Oni w MSZ mają też kłopoty z systemami komputerowymi, z oprogramowaniem, bo panie,

Od pracowników?

– Obecnie pracuję w Finlandii, wkładam na uniwersytecie... Zapraszają mnie na różne przyjęcia, czasami z tych zaproszeń korzystam, i widziałem, jeszcze przed pandemią, że często po prostu nie ma nikogo z polskiej ambasady. Za moich czasów to było niemożliwe! Nie było imprezy w Helsinkach, na którą dostaliśmy zaproszenie, żeby ktoś z polskiej ambasady się nie zjawił. Wszędzie musieliśmy być. Bo wszędzie trzeba się pokazać, bo wszędzie mają mówić o nas dobrze i mają wiedzieć, że ta ambasada jest aktywna.

Działają na szkodę państwa

Odszedł Waszczykowski, odeszła Ćwiro, słońce panu nie zaświeciło?

– Jej następcy wszystko przebili! Jak już pan Waszczykowski przestał być ministrem, a pani Ćwiro cudem zdążyła pojechać jako ambasador do Pragi, to ja dalej nie dostawałem ludzi. Bo też byłem na celowniku, tym razem u Papieża.

Minister Czaputowicz nic nie mógł i chyba nie chciał móc.

które pracują w biurze w ministerstwie, nie dają sobie rady z nowoczesnymi systemami komputerowymi, więc wszystko księguje się po trzy razy.

Przecież taki księgowy może z Warszawy robić wszystkie wyliczenia. Korporacje tak robią – tworzą centra obsługi finansowej.

– Wszystko zależy od sytuacji. Proste wypłaty, proste sprawy można realizować na odległość. Jeśli natomiast ma pan duży obiekt, gdzie ciągle coś się dzieje: awaria, remont, delegacja, poważne zakupy, ktoś musi się tym zajmować na bieżąco. Ale jest i drugi aspekt – jak panu chcą dokuczyć, to ludzi nie przysła.

I panu nie przysyłali? Ambasadorowi Izydorczykowi też nie przysyłali.

– To była dokładnie ta sama sytuacja. Nie ma pan ludzi. Nie ma pan kim robić.

A wymagania są te same?

– Te same, a jeszcze jak przyjdzie taki Izydorczyk albo Suchoples, to wymagania rosną. Bo my wymagaliśmy więcej.

A dlaczego był pan na celowniku u Papieża?

– Bardzo prosta sprawa – nie miałem żadnego politycznego zaplecza. A on sobie wymyślił, że poobsadza tymi swoimi... młodzieńcami i innymi ze swojego otoczenia możliwie dużo placówek i różnych innych stanowisk, bo w ten sposób buduje swoją klikę. Po prostu. Co tu dużo rozmyślać! Dowiedziałem się pośrednio od kogoś z Finlandii, kto załatwiał coś w kancelarii prezydenta Dudy i rozmawiał z jego bliskim współpracownikiem o mojej sprawie, że powiedziano mu tak, oczywiście nieoficjalnie: „My wiemy, że afera przeciwko ambasadorowi jest grubymi nićmi szyta. Ale on nie ma politycznego poparcia. Więc niech spada na drzewo”. Dokładnie tak mi to zrelacjonowano. A później gdzieś od kogoś usłyszałem, że jak prezydent Duda podpisał moje odwołanie, w jego kancelarii mówiono o tym: „A, prezydent tylko podpisuje”. I to prawda...

Pan był ambasadorem dwa lata.

– Byłem nim rok i siedem miesięcy. I to ma dalsze konsekwencje.

Ambasador Grudziński był półtora roku. Ja byłem miesiąc dłużej. Myślę, że dobrze mi szło, nawet bardzo dobrze. Ale taki tryb odwoływania ambasadorów, przed upływem ich kadencji, jest po prostu obraźliwy dla kraju przyjmującego. Gdy mnie odwołano, miała się zacząć w lipcu fińska prezydencja w Radzie Unii Europejskiej. A mój następcę przyjechał do Helsinek dopiero w październiku. Napisałem o tym ministrowi Czaputowiczowi, ale on nic nie mógł i chyba nie chciał móc. W ogóle mi nie odpowiedział.

Mieliśmy więc taką sytuację, że zaczęła się prezydencja...

– ...i nawet Macedonia Północna, która ma ambasadę w Sztokholmie z akredytacją na Helsinki, na czas fińskiej prezydencji przeniosła swoją ambasadę do Helsinek! Tylko dlatego właśnie, że Finlandia sprawowała tę prezydencję. Który europejski kraj, członek Unii czy dopiero do UE kandydujący, nie miał swojego ambasadora w Helsinkach przez pierwsze trzy miesiące fińskiej prezydencji? Najjaśniejsza Rzeczpospolita! Jeśli pan Papierz załatwia swoje, w sumie prywatne, interesy – niech załatwia. Jeśli w MSZ uważają, że się nie nadają – proszę bardzo, nie muszą być ambasadorami, mam swój zawód, dorobek, czy jak to tam się nazywa. Ale niech nie działają na szkodę państwa! Nie interesuje mnie, jakie plotki wymyślają i rozpowszechniają na mój temat (a w tym są dobrzy, zaręczam panu), ale niech mają na względzie, chociaż trochę, interes Polski, którą tak chętnie wywierają sobie gęby. I to już będzie w porządku.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Za tydzień: II część rozmowy

- Jak odwoływano ambasadora.
- Ludzie Papierza.
- MSZ we władaniu służb.
- Ile wart jest polski kontrwywiad?
- Jak wypychano ambasadora RP w ręce Rosjan?
- O bizantyjskich obyczajach na placówkach i w centrali.
- O tym, co najważniejsze w MSZ: kto ma jakie kontakty i z kim sypia.
- Czy pora rozwiązać MSZ?



Jaka jest przyszłość Platformy Obywatelskiej?

24 stycznia 2001 r. w hali Olivia w Gdańsku „trzech tenorów”

– Donald Tusk z UW, Maciej Płażyński z AWS i Andrzej Olechowski – ogłosiło utworzenie Platformy Obywatelskiej.

ostatnią deską ratunku dla PiS przed kolejnymi wyborami.

PROF. ROBERT ALBERSKI,
politolog, UW

Przyszłość Platformy Obywatelskiej nie jest jasna. Może obrać co najmniej dwa kierunki. Pierwszy scenariusz jest taki, że partii jakoś się uda utrzymać pozycję najsilniejszej formacji opozycyjnej w sondażach, a wokół Platformy będą się grupować inne, mniejsze siły polityczne. Jest to jednak bardzo optymistyczna wizja. Drugi scenariusz zakłada, że utrzyma się tendencja, w której PO traci silną pozycję sondażową, spadając na trzecie, a nawet czwarte miejsce. Wtedy będziemy obserwować powtórkę sytuacji, w jakiej znalazły się kiedyś AWS czy SLD. Platforma zostanie z czasem rozbita – część ludzi odejdzie do ruchu Hołowni, inni założą coś nowego. Ten scenariusz wydaje się dzisiaj bardziej prawdopodobny.

MICHAŁ KOBOSKO,
wiceprezes stowarzyszenia Polska 2050

Platforma po 20 latach musi na nowo zdefiniować swoją pozycję, to, gdzie chce być i czym chce być. Za czasów Donalda Tuska była partią o różnych twarzach. Dzisiaj jest inną formacją niż wtedy. Przykleiła się do niej łątka, że jest dyżurną partią opozycyjną i że brakuje jej determinacji, aby zmienić tę sytuację. W wielu środowiskach pokutuje też przekonanie, że obecne przywództwo Platformy czeka, aż władza wpadnie jej w ręce na skutek błędów popełnionych przez PiS. Formacja ta znajduje się obecnie na rozdrożu, a jej przywództwo – wbrew rosnącym oczekiwaniom – nie nadaje jej kierunku ani rozpędu. To partia, która trochę traci czas i nie pokazuje w swoim programie nic ponad to, że trzeba odbić władzę z rąk PiS. Jeżeli PO chce przetrwać, musi pokazać konkretny program i idee na Polskę po PiS i zestawili te idee z ideami innych ugrupowań, w tym Polski 2050.

Not. Kornel Wawrzyniak

DR EWA PIETRZYK-ZIENIEWICZ,
politolożka, UW

Jeżeli Platforma się nie przeorganizuje, czeka ją przyszłość partii, która funkcjonuje na marginesie sceny politycznej. Bez elementarnego programu, który będzie czymś więcej niż deklaracją, spotka ją los SLD, który jako formacja dominująca znalazł się nagle na obrzeżach polityki. Upadek był tak dotkliwy, że w 2015 r. partia nie weszła do Sejmu. Było to pochodną błędnych decyzji, także personalnych. PO wygląda dziś podobnie. Jeśli chodzi o decyzje wewnętrzne, dominuje wariant emocjonalny – lubimy pana X bardziej niż Y, więc głosujemy na swojego, nie patrząc, czy nadaje się na przywódcę. Tym sposobem Platforma stała się formacją bez lidera i zamarła w oczekiwaniu.

PROF. JAROSŁAW FLIS,
sociolog, UJ

Platforma Obywatelska jest partią, która w ciągu 20 lat znalazła swoje miejsce na scenie politycznej. Jest to jednak pozycja niewygodna, bo stale kontestowana. Jeżeli polska scena polityczna miałaby przypominać drzewo, to PO znajduje się w jego koronie, którą targają różne wiatry. Jednym z nich jest problem z narastającą polaryzacją polityczną wywoływaną po części przez PiS. Platforma nie ma na to odpowiedzi. Część jej liderów, idąc za syrenim śpiewem środowisk „Gazety Wyborczej”, wpisuje się w radykalizację, odchodząc od przesłania, które zapewniło ugrupowaniu sukces. Chodzi o drugie *exposé* Donalda Tuska, w którym podkreślał, że jego rząd ratuje Polaków przed ekstremizmami z lewa i z prawa. Dziś Borys Budka nie jest w stanie powiedzieć czegoś podobnego.

Pod wpływem wiatru korona drzewa przechyliła się mocniej w lewo, a prawa strona wyraźnie osłabła, wpływając na stabilność całości. Część wyborców PO odpłynęła do Konfederacji i tym samym radykalne skrzydło umiarkowanej partii przeniosło się do umiarkowanego skrzydła partii radykalnej, co nigdy nie jest dobre dla żadnego systemu politycznego.

Jaka jest przyszłość? Nie bardzo widać, kto miałby zastąpić Platformę. Lewica ma problemy sama ze sobą, ruch Hołowni czy PSL także. Główny atut PO jest taki, że przeżyła już kilka ataków na swoją pozycję i wszystkie zakończyły się niepowodzeniem.

PROF. RAFAŁ MATYJA,
politolog, WSiR w Rzeszowie

Ostatnie pięć lat działań Platformy Obywatelskiej podporządkowane było zachowaniu prymatu po stronie opozycji. Już przegrane wybory 2015 r. były w pewnym stopniu konsekwencją tej strategii. Zamiast stać się liderem zgodnie działającej szerszej antypisowskiej koalicji, PO wołała podkreślać to, że jest najlepszą alternatywą dla partii Jarosława Kaczyńskiego. Tej strategii nie porzucił do końca ani Grzegorz Schetyna, ani jego następca. Największe szanse na jej zmianę miał latem zeszłego roku Rafał Trzaskowski. Ale zamiast uzgodnić wspólną podstawę działań kilku ugrupowań, postanowił podnieść ich liderom ciśnienie, rzucając ideę budowy nowego ruchu społecznego, w domyśle konkurencyjnego wobec reszty opozycji. Dziś jest zapewne ostatni moment na to, by zrobić gest i zacząć tworzyć zarys współpracy z PSL, Lewicą i Polską 2050. Jeżeli PO tego gestu nie zrobi, umocni przekonanie, że jej strategia wojny na opozycji jest

Małgorzata P. Bonikowska

Wyglądała jak barwny ptak na tle szczerze otoczonego kordonami policji Kapitolu, dwa tygodnie wcześniej obleżonego przez tłum dzikich rebeliantów, których Ameryka uznała za rodzimych terrorystów. Emanująca energią i duchowością Amanda Gorman, 22-letnia poetka, uświetniła kunsztem słowa niezwykłą, pierwszą w historii inaugurację prezydencką w pandemii – bez wiwatujących tłumów, w Waszyngtonie, który zamienił się w miasto twierdzę. Dotychczas tylko trzech prezydentów, wyłącznie demokratów, koneserów i miłośników literatury, zaprosiło poetów, aby odczytali swoje utwory podczas zaprzysiężenia: John F. Kennedy (1961), Bill Clinton (1993 i 1997) i Barack Obama (2009 i 2013). Joe Biden, 46. prezydent USA, był czwarty.

Biden jest miłośnikiem literatury – w pierwszym prezydenckim przemówieniu cytował Seamusa Heaney’a, W.B. Yeats’a i Langstona Hughes’a. Komitet inauguracyjny Bidena wybrał Amandę Gorman, która podążyła śladami takich luminarzy jak Robert Frost. Pierwsza dama, Jill Biden, wysoko ceni jej twórczość i to ona przyczyniła się do tego wyboru.

Amanda miała na palcu pierścień – złotego ptaka w klatce. To symboliczny prezent. Czarnoskórej poetce Mai Angelou Oprah Winfrey podarowała płaszcz, w którym na zaprzysiężeniu prezydenta Clintona w 1993 r. odczytała ona swój wiersz „On the Pulse of Morning” („Puls poranka”). I Amandzie Gorman chciała dać taki sam prezent, ale ta odpowiedziała, że już wybrała sobie na tę okazję żółty płaszcz. Oprah dała zatem Amandzie kolczyki i ów spektakularny pierścień, nawiązujący kształtem do słynnego wiersza Angelou „Ptak w klatce”. Symbolika ptaka w klatce nabrała w zestawieniu z wierszem Amandy Gorman dodatkowego znaczenia.

Ekipa Bidena skontaktowała się z Amandą miesiąc przed inauguracją, prosząc, by na uroczystości zaprezentowała swój wiersz. Miał to być wiersz o jedności i taki był, ale młoda poetka postanowiła nie przemilczać w nim bolesnych doświadczeń z dalszej i z tej najbliższej przeszłości. „Wzgórze, na które się wspinamy”



Barwny ptak inauguracji

22-letnia poetka Amanda Gorman nie ukrywa, że w przyszłości sama zamierza starać się o prezydenturę

(„The Hill We Climb”) to efekt wnikliwej pracy, analizy źródeł i głębokiej refleksji.

Amanda Gorman ma już spory dorobek – w 2015 r. zadebiutowała tomikiem „Ten, któremu jedzenie nie wystarczy” („The One for Whom Food Is Not Enough”). Jej pierwszej przyznano w 2017 r. tytuł National Youth Poet Laureate, a przedtem, w roku 2014, otrzymała tytuł Youth Poet Laureate rodzinnego miasta, Los Angeles. Dwie nowe książki,

których wydanie planowane jest na wrzesień 2021 r. – zbiór poezji „The Hill We Climb” i pozycja dla młodzieży „Change Sings: A Children’s Anthem” („Śpiew zmiany: Dziecięcy hymn”) – tuż po jej występie na inauguracji znalazły się na szczycie listy bestsellerów Amazona.

Pasji poetyckiej Gorman towarzyszą aktywizm i zainteresowania naukowe problematyką wykluczenia społecznego, marginalizacji, feminizmu, rasizmu i diaspory afrykańskiej.

Amanda mieszka w Los Angeles. Wychowana przez samotną matkę, ma dwójkę rodzeństwa, w tym bliźniaczkę Gabrielle, też aktywistkę, pracującą w branży filmowej. Opowiada, że zawsze lubiła czytać i pisać, do czego zachęcała ją mama, nauczycielka angielskiego, a w domu nie oglądało się telewizji. Wiersze zaczęła pisać jeszcze jako dziecko. Jej idolami byli Barack Obama i Martin Luther King. Ważny był dla niej również musical „Hamilton” wystawiany na Broadwayu.

ciepła, ale również samokrytyczna i pełna skromności. Mimo odnoszonych sukcesów dalej jest po prostu Amandą Gorman z Los Angeles, która pisze poezję i szuka nowych projektów twórczych. Cała jej praca twórcza jest oparta na głębokim oddaniu sprawiedliwości społecznej, pracy innych czarnoskórych artystów i swoich przodków oraz na walce o sprawiedliwość i równość dla ludzi wszystkich ras. Po inauguracji wiele osób skontaktowało się z Amandą na Twitterze, m.in. Barack Obama,

okazję współpracować z różnymi artystami, którzy ją znali z tego, że jako pierwsza w historii otrzymała tytuł National Youth Poet Laureate. W jej wierszu było parę odniesień do musicalu „Hamilton” Lin-Manuela Mirandy. On sam wystąpił jej tweet po inauguracji, gratulując i wspominając o swojej sztuce. Amanda odpowiedziała mu, że od dawna jest miłośniczką tego musicalu. Nie byłbym zaskoczony, gdyby w ciągu paru lat zaczęli współpracować. Samodzielna praca, którą Amanda wykonała pod moją opieką naukową jako część studiów, była przygotowaniem do książki opierającej się na historii niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych – zbierała

informacje na temat mitów wśród afrykańskich niewolników i reakcji na nie białej większości. Nie chcę więcej zdradzać, ale jestem pewien, że te wątki znajdą się w jej przyszłych utworach. Zaszczycem dla mnie było poznać ją i obejrzeć jej fenomenalne wystąpienie na inauguracji prezydentury Bidena. Czuję, że będziemy częściej słyszeć o Amandzie Gorman i świętować wiele jej sukcesów.

Przed Amandą wielka przyszłość, bo trudno będzie zapomnieć nadzieję, która emanowała z każdego słowa jej pełnego mocy wiersza. Po czterech latach ciemności była dla Ameryki jak brzask nowej ery. ■

W Amandzie nie ma sztuczności ani pretensjonalności; jest bardzo prawdziwa, ciepła, ale również samokrytyczna i skromna.

Studiowała na Harvardzie, gdzie w 2020 r. z wyróżnieniem ukończyła socjologię. Tam jej profesorem był Bart Bonikowski (prywatnie mój syn), amerykański socjolog urodzony w Polsce, wykształcony w Kanadzie i USA, z doktoratem Uniwersytetu Princeton. Bonikowski, który naukowo zajmuje się populizmem, nacjonalizmem oraz radykalnymi ruchami pravicowymi w USA i na świecie, poznał Amandę najpierw jako studentkę jego kursu na Harvardzie, a potem w trakcie jej indywidualnej pracy pod jego kierunkiem.

– Amanda Gorman jest znakomitą poetką, a także wyjątkową osobą. Kiedy wykładałem na Harvardzie, byłem jej profesorem i promotorem pracy naukowej na wydziale socjologii. Ukończyła tam studia. Była studentką na moim kursie socjologii politycznej, na którym omawialiśmy wiele tematów związanych z amerykańską polityką. Była gwiazdą tego kursu – mówi Bart Bonikowski. – Na ostatnim roku studiów podjęła samodzielną pracę, którą wykonała pod moim nadzorem. Spędziliśmy wiele godzin na rozmowach o jej planach, jej poezji i zainteresowaniach naukowych. Wiem na pewno, że możemy się spodziewać po niej jeszcze więcej w przyszłości.

Na pytanie, jaką Amanda jest osobą, Bart Bonikowski odpowiada: – Dokładnie taką, jaką widzimy w wywiadach telewizyjnych, co samo w sobie jest niezwykle. Nie ma w niej ani sztuczności, ani pretensjonalności; jest bardzo prawdziwa,

Hillary Clinton, Lin-Manuel Miranda i Oprah Winfrey. Wszyscy pisali, że byli pod ogromnym wrażeniem jej wystąpienia. A ona cały wieczór udzielała wywiadów.

Bart Bonikowski też wystąpił Amandzie tweet i reakcja na niego pokazała, jakie emocje wywołuje Amanda po pojawieniu się na scenie światowej. – Tak, w przeddzień inauguracji umieściłem tweet z komentarzem, że jestem z niej dumny i że zaszczycem było ją uczyć. Ten tweet otrzymał ok. 1,5 mln polubień i retweetów. Dla mnie to dużo, ale Amanda w ciągu jednego dnia zdobyła prawie milion followersów... Bardzo doceniam również reakcje różnych ludzi na mój tweet; niektórzy mówili o tym, jak istotna jest edukacja i jak bardzo doceniają nauczycieli, co miło mi było słyszeć, ale jeszcze więcej było reakcji osób spoza mojego kręgu zawodowego. W tweecie umieściłem link do szczególnie ciekawego wywiadu z Amandą sprzed zaprzysiężenia Bidena. Opowiadała w nim, jak przygotowuje się do takich wystąpień, ale wspominała także o swoich planach ubiegania się w przyszłości o prezydenturę. Mówi o tym już od lat. Wiele osób, które obejrzały ten wywiad, pisało, że nie mogą się doczekać, kiedy będą mogły na nią zagłosować.

W jakim miejscu kariery jest obecnie Amanda? – Ukończyła studia na Harvardzie w ubiegłym roku i na razie zakończyła karierę akademicką – wyjaśnia prof. Bonikowski. – Z tego, co wiem, skupiła się całkowicie na poezji i książkach. Już kiedy ją poznałem na Harvardzie, miała

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
 Longin Pastusiak
 Tadeusz Iwiński
 Danuta Waniek
 Bogusław Liberadzki
 Krzysztof Janik
 Tadeusz Wojciechowski
 Tadeusz Klementewicz
 Andrzej Wilk
 Piotr Gadzinowski

➤ www.trybuna.info

Bunt rolników w Indiach

Rolnictwo jest niewydajną i coraz mniejszą gałęzią indyjskiej gospodarki

Dominik Sipiński

W dobrych czasach tytuł największej demokracji świata pozwalał premierowi Indii Narendrze Modiemu chwalić się prawie 230 mln głosów dla jego partii w zeszłorocznych wyborach. Ale tak wielki elektorat oznacza również, że jak coś idzie źle, to też na wielką skalę.

A dla rządu Modiego źle się dzieje od września zeszłego roku, i to wcale nie przez pandemię koronawirusa, w każdym razie nie bezpośrednio. Przepchnięte przez parlament bez debaty i konsultacji trzy ustawy reformujące rolnictwo wywołały niespotykane dotąd protesty farmerów. Demonstracje trwają bez przerwy, zaczęły się już w sierpniu, zanim jeszcze ustawy zostały formalnie przyjęte, a nasiliły się pod koniec roku. Według szacunków lokalnych mediów w szczytowych momentach brało w nich udział 300 tys. osób. Ale to nawet nie liczba protestujących jest największym problemem dla rządu, lecz ich determinacja.

26 stycznia, w narodowym Dniu Republiki, pokojowy protest na obrzeżach New Delhi przerodził się w konfrontację z siłami porządkowymi. Około 10 tys. traktorów i nawet kilkadziesiąt tysięcy farmerów przerwało policyjne barykady i mimo użycia przez władze gazu łzawiącego urządziło alternatywną do narodowych obchodów paradę w stolicy. Kilku protestujących wdarło się na słynny Czerwony Fort i zawiesiło na nim flagę sikhów, którzy stanowią większość protestujących. Zginął co najmniej jeden protestujący, nawet 300 policjantów zostało rannych.

Nic nie wskazuje na to, aby rząd mógł uniknąć daleko idących ustępstw. Protesty już osłabiły pozycję nacjonalistycznej hinduskiej partii Modiego, Indyjskiej Partii Ludowej (BJP), która na poziomie federalnym ma władzę niemal nieograniczoną.

Rośnie ryzyko, że protesty zostaną zakończone siłowo, a uzasadnione żądania rolników utoną pod oskarżeniami o stosowanie przemocy.

Góry ryżu i co z nimi zrobić

O reformie rynku rolnego w Indiach mówi się od dawna i nie bez powodu, bo najważniejsze reguły obowiązują w zasadzie bez zmian od lat 60. zeszłego wieku. Rolnicy są mocno chronieni, a rynek ma niewiele wspólnego z wolnym.

Istotą starego systemu było całkowite upaństwowienie obrotu produktami rolnymi. Farmerzy mogą sprzedawać produkty tylko w państwowych punktach skupu, *mandis*, którymi zarządza Komitet Rynku Produktów Rolnych (APMC). Komitet zatrudnia agentów, którzy nadzorują aukcje i sprzedaż w ramach *mandis*. Ci sami agenci najczęściej organizują też transport, przechowywanie i wsparcie finansowe dla rolników, co w praktyce oznacza, że państwo ma kontrolę

Najważniejsze zasady obowiązują bez zmian od lat 60. XX w. Rynek ma niewiele wspólnego z wolnym.

nad całym rynkiem rolnym. Handel produktami rolnymi poza *mandis* jest zakazany, co także zniechęca do inwestycji w infrastrukturę do przechowywania czy transportu zbóż.

Do tego dochodzi system gwarantowanych cen minimalnych (MSP), ustalanych przez rząd na nieco ponad 20 typów upraw, z czego najważniejsze są ryż i pszenica. Teoretycznie rolnik może sprzedać je taniej, ale w praktyce agent państwowej Food Corporation of India (FCI) jest zobowiązany zawsze zapłacić cenę MSP. System działa zwyczajowo, choć nie wspomina o nim żadne z obowiązujących w Indiach praw.

Taka organizacja jest skrajnie nieefektywna i krytykują ją sami rolnicy.

Dobrym przykładem jest uprawa ryżu, którego Indie produkują rocznie ok. 120 mln ton. Zdecydowana większość trafia do subsydiowanej krajowej konsumpcji – roczna konsumpcja ryżu w Indiach przekracza 100 mln ton. Kraj jest też światowym liderem w eksporcie. W 2019 r. sprzedał za granicę prawie 10 mln ton – druga w rankingu Tajlandia wyeksportowała 5,8 mln ton, a Chiny, szósty sprzedawca ryżu na świecie, tylko 2,7 mln ton. Mimo gigantycznej konsumpcji i eksportu, jak podaje „The Economist”, w czerwcu 2020 r. w Indiach zalegało 97 mln ton ryżu. Wystarczyłoby, żeby zaspokoić łączne roczne potrzeby Bangladeszu, Indonezji i Wietnamu, czyli trzech największych konsumentów ryżu poza Chinami i Indiami.

Upaństwowienie handlu oraz gwarantowane ceny ryżu zniechęcają do dywersyfikacji upraw. W rolniczym Pendżabie udział ryżu w areale upraw wzrósł do 80% w ciągu ostatnich 50 lat. Nadmierna uprawa tego

zboża wymagającego ogromnych ilości wody powoduje wyczerpywanie zasobów wód gruntowych – ich poziom w tym stanie opada o średnio 40 cm w roku.

Rolnictwo jest nie tylko niewydajną i nieproporcjonalną środowiskowo, ale i coraz mniejszą gałęzią indyjskiej gospodarki. Kiedyś odpowiadało za jedną trzecią krajowej produkcji, teraz to mniej niż 15%. Równocześnie jednak rolnictwo zatrudnia ok. 40% indyjskiej siły roboczej, ale nie daje jej za dużo. Według danych państwowego banku rolniczego NABARD średnie zarobki rolników to niecałe 10 tys. rupii (ok. 500 zł) miesięcznie na gospodarstwo domowe.



W szczytowych momentach w protestach brało udział 300 tys. osób.

Łatwo więc zrozumieć ryzyko konfliktu – to duża i politycznie silna grupa, która boi się o swoje bezpieczeństwo ekonomiczne i przyszłość. I choć mało kto kwestionuje potrzebę reformy, sposób jej przeprowadzenia pozostawia wiele do życzenia.

– Zmiany są konieczne, ale rząd ma bardzo przestarzałe pomysły na to, jak to zrobić. Idee modernizacji są oparte na założeniach z lat 50. i 60. XX w., gdy rynek i zatrudnienie w rolnictwie rosły, ale to już się nie dzieje – powiedziała w telewizji Al-Dżazira Nikita Sud, profesorka studiów rozwojowych na Uniwersytecie Oksfordzkim.

Reforma na trzy akty

Do reformy zabierały się już poprzednie rządy Indii. Jak twierdzi Modi, proponowały takie same rozwiązania, przeciwko którym teraz są protesty. W czerwcu zeszłego roku, po kilku latach analiz, jego rząd przyjął przez promulgację trzy tymczasowe ustawy, które we wrześniu zostały już na stałe przyjęte przez obie izby parlamentu. Pierwsza z nich znosi wymóg handlowania produktami na *mandis* i pozwala na zawieranie transakcji w zasadzie gdziekolwiek,

w tym internetowo. Druga wprowadza nowy mechanizm arbitrażu, zastępującego sądy w przypadku sporów rolników z kupcami. Trzecia z kolei zmienia dotychczasowy zakaz nadmiernego gromadzenia produktów rolnych i umożliwia jego przywrócenie tylko w trakcie klęsk. Ustawy nie mówią nic o systemie MSP, a rząd podkreśla, że nie ma w planach żadnych zmian w mechanizmie zakupów po cenach gwarantowanych przez FCI.

Demonstracje rolników zaczęły się w sierpniu, a rozpędu nabrały we wrześniu, po formalnym przyjęciu ustaw. Ich skala stopniowo się powiększała. 24 września protestujący zablokowali ruch kolejowy. 26 listopada odbył się strajk generalny. Według niektórych obliczeń uczestniczyło w nim nawet 250 mln osób (co czyniłoby z niego największy jednorazowy protest w historii świata). Wprawdzie dotyczył on wielu spraw społecznych, ale jednym z haseł było też wsparcie dla rolników. Następnego dnia tysiące farmerów ruszyło w marszu na Delhi. Protestujący założyli obozy w trzech punktach wjazdowych do stolicy kraju – Tikri na zachodzie, Singhu na północy i Ghazipur na wschodzie.

Rolnicy boją się przede wszystkim dwóch rzeczy – zniesienia systemu MSP, który obecnie nie jest formalnie gwarantowany przez prawo, oraz konkurencji z wielkimi korporacjami. Boją się, że po umożliwieniu handlu poza *mandis* ich pozycja osłabnie, a FCI będzie miało mniej agentów na rynku, co zmniejszy możliwości sprzedaży w ramach MSP. W końcu na rynku zostaną tylko prywatni handlarze, którzy będą domagali się jak najniższych cen, doprowadzając do upadku właścicieli małych farm i do konsolidacji.

Tam, gdzie rząd dostrzeże szansę na wprowadzenie rynkowej negocjacji cen na terenie całego kraju i podniesienie efektywności sektora, protestujący widzą ryzyko zdominowania sektora przez największych graczy i – jak mówią

– „śmierć małych i zmarginalizowanych rolników”. Podkreślają, że średnia wielkość gospodarstwa w Indiach wynosi ok. 2 ha (w Polsce 11 ha, w USA – 17,8 ha), a właściciele małych gospodarstw nie stać na zorganizowanie transportu zbóż czy skuteczne negocjacje bezpośrednio z korporacjami.

Jeden z liderów protestujących, Ashok Dhawale, twierdzi, że w trakcie demonstracji zginęło już ok. 50 rolników. Nie dodaje jednak, że na razie żadna z tych śmierci nie została przypisana działaniom rządu – rolnicy faktycznie zmarli, ale przede wszystkim z wychłodzenia lub nagle, np. w wyniku zawału serca.

Kompromis bez postępu

30 grudnia rząd po raz pierwszy ustąpił. Władze zgodziły się wykluczyć rolników spod nowego prawa dotyczącego emisji spalin, które w praktyce zakazałoby wypalania traw. Zapowiedziały także ustępstwa w kwestii dalszego subsydiowania energii elektrycznej. Rząd na każdym kroku podkreśla też, że zmiany w żaden sposób nie dotyczą systemu MSP. Minister rolnictwa Narendra Singh Tomar oświadczył, że doszło do

► porozumienia w sprawie połowy żądań rolników. To półprawda, co protestujący szybko zauważyli. Porozumienie zostało wprawdzie osiągnięte w kwestii dwóch z czterech żądań, ale to dwie znacznie mniej ważne sprawy. Poza tym związkowcy twierdzą, że nadal nie mają dokumentów potwierdzających ustalenia, a na słowo uwierzyć nie zamierzają.

Rozmowy na temat dwóch pozostałych żądań utknęły w ślepych zaułku, co jest o tyle zrozumiałe, że ich przyjęcie faktycznie byłoby całkowitą kapitulacją rządu. Związki obstają bowiem przy stanowisku, że wszystkie trzy ustawy mają zostać wycofane, a istnienie minimalnej ceny skupu ma być zagwarantowane w prawie, a nie tylko słownie.

„Rząd nie zgodził się na zagwarantowanie w prawie minimalnych cen skupu. Nie mamy alternatywy dla tego rozwiązania”, napisali przedstawiciele największej organizacji reprezentującej protestujących, Samyukt Kisan Morcha.

12 stycznia Sąd Najwyższy zawiesił obowiązywanie ustaw, aby złagodzić nastroje. Nakazał też powołanie czteroosobowej komisji, która ma dwa miesiące na wypracowanie kompromisu. Jednak protestujący rolnicy nie zamierzali łagodzić presji i zapowiedzieli protesty w Dniu Republiki. 18 stycznia Sąd Najwyższy odrzucił wniosek rządu o zakazanie protestu (choć równocześnie zastrzegł, że takie prawo ma stołeczna policja). Krótco po tym rząd zaproponował kompromis polegający na zawieszeniu ustaw na 18 miesięcy. Protestujący nie zgodzili się na tę ofertę.

– Powieździeliśmy rządowi już dawno, że zamierzamy protestować pokojowo, ale są tylko dwie możliwości zakończenia tych protestów – albo wszystkie trzy ustawy zostaną wycofane, albo rząd będzie musiał użyć siły, by nas rozpędzić – mówią przedstawiciele Samyukt Kisan Morcha.

Organizacja w oświadczeniu napisała, że rząd poprosił ją o przedstawienie alternatywnego rozwiązania, ale dla niej alternatywy nie ma.

– Pozostajemy otwarci na rozmowy na temat problemów podnoszonych przez rolników, ale nie będziemy reagować na ultimatum „wszystko albo nic” – powiedział z kolei w telewizji Al-Dżazira poseł rządzącej partii BJP Tuhin Sinha.

Po starciach w Dniu Republiki władze zaczęły likwidować obozy protestujących na obrzeżach Delhi, choć równocześnie nie brakuje doniesień, że do stolicy zmierzają kolejne grupy protestujących. Rolnicy odwołali planowany na 1 lutego kolejny marsz na stolicę, ale ustępować nie zamierzają.

Czy Pendżab reprezentuje Indie?

Choć Narendra Modi w typowym dla siebie stylu postanowił przeprowadzić niezbędną reformę metodą faktów dokonanych, łatwo zrozumieć, dlaczego BJP nie chce teraz ugiąć się przed szantażem protestujących.

Przed wszystkim demonstrujący nie reprezentują ogółu rolników. Na ulice wyszło mniej niż 1% wszystkich farmerów, których w Indiach jest ok. 150 mln. Protestujący to głównie sikhowie z dwóch stanów położonych

Farmerzy mogą sprzedawać produkty tylko w państwowych punktach skupu.

na północny zachód od Delhi, Pendżabu i Haryany. To grupa, która ma najwięcej do stracenia na reformie. Rolnicy w tych dwóch stanach zarabiają obecnie najlepiej, nawet dwuczy dwuipółkrotnie więcej niż średnia krajowa. W Pendżabie miesięczny dochód gospodarstwa rolnego to ponad 23 tys. rupii (1,2 tys. zł). Są też nadzwyczajnie uzależnieni od państwowego skupu – uprawiają przede wszystkim pszenicę i ryż, najczęściej skupowane w ramach MSP. W tym roku 83% planowanych zakupów ryżu i 52% pszenicy ma pochodzić z tych dwóch stanów. Według „Times of India” ponad 95% rolników uprawiających ryż w Pendżabie może liczyć na zakup po gwarantowanej cenie przez rząd. W również rolniczym stanie Uttar Pradesh takie wsparcie otrzyma niecałe 4% rolników. Według Tuhina Sinhy w skali kraju już teraz 80% rolników sprzedaje poza systemem MSP. Roczne zakupy agencji to niecałe 5% krajowej produkcji ryżu i pszenicy.

Rząd punktuje więc, że protestujący nie reprezentują całego sektora, a opozycja, która sama chciała przeprowadzać podobne reformy, teraz wspiera rolników tylko

oportunistycznie. Zarzuca, że protesty są zdominowane przez sikhów i nie mają poparcia poza północno-zachodnią częścią kraju. Ale to broń obosieczna, bowiem sikhowie od dawna czują się dyskryminowaną mniejszością, a reformę rolną odbierają jako kolejne uderzenie w ich dobrobyt. Do tego protesty popiera coraz więcej polityków, m.in. największa partia opozycyjna, Partia Kongresowa.

Pandemiczna decyzja

Próby liberalizacji rynku rolnego przez rząd Indii i masowe protesty w odpowiedzi na zmiany to dość typowy dla tego kraju ciąg zdarzeń. Modi nie po raz pierwszy silną ręką próbuje przeprowadzić potrzebną reformę i nie po raz pierwszy wylewa dziecko z kąpielą. Jedną z jego najsłynniejszych decyzji gospodarczych była nagła demonetyzacja w 2016 r., gdy bez żadnego uprzedzenia ogłosił wycofanie z użycia starych banknotów i zastąpienie ich nowymi, których nikt nie zdążył wydrukować.

Reforma miała oślabić szarą strefę, a w efekcie doprowadziła do chaosu, wielogodzinnych kolejek pod bankami, pustych bankomatów i powszechnej niemożności zapłacenia za cokolwiek.

Teraz reformę rolną Modi przepchnął przez kontrolowany przez jego partię parlament w ciągu kilku dni, z naruszeniem procedur dotyczących debaty w komisjach i izbach. Nie odbyły się konsultacje z rolnikami, nie zaproponowano im żadnej alternatywy, a przecież dla rolników z pendżabskich wsi praca w mieście nie byłaby wyjściem, nawet gdyby tam czekała. W tym roku gospodarka Indii skurczy się o ok. 10% przez pandemię i miasta nie dają zatrudnienia nawet tym, którzy już do nich wyemigrowali.

Przy tak wielkim elektoracie zrozumiała jest pokusa, by niezbędne reformy przeprowadzać bez oglądania się na procedury i koszty. To wielkie wyzwanie dla Indii, by tej pokusie nie ulec. Demokracja z ponad 900 mln wyborców nie jest łatwa, ale przez ponad 70 lat była siłą Indii.

Dominik Sipiński

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Donos na Jędraszewskiego

Ta sprawa jest znana, udokumentowana, skomentowana i obśmiana, obecna nawet w Wikipedii. Jeżeli dziś do niej wracam, to dlatego, że arcybiskup metropolita krakowski, prof. dr hab. Marek Jędraszewski, wciąż nie daje o sobie zapomnieć. Po uwagach o „tęczowej zarazie” czy niedawnym porównaniu Strajku Kobiet do SS wypowiedział umowę najmu „Tygodnikowi Powszechnemu”. Lokal w Krakowie przy ul. Wiślanej 12 ma znaczenie historyczne, redakcja zajmowała go przez 76 lat. Czy tablicę Jerzego Turowicza też będzie musiała usunąć?

Sprawa, w której Jędraszewski stał się naukowym pośmiewiskiem, zaczęła się w roku 2016. Obchodzona wtedy 1050. rocznica chrztu Mieszka posłużyła zamieszkaniem w Polsce amerykańskiemu historykowi Philipowi Steele’owi do opublikowania w „Rzeczpospolitej” („Plus Minus” 2-3.04.2016) tekstu „Zapiski Kpinomira. Życie erotyczne Mieszka I”. Tekst ten ujawniał nieznany dotąd (ukryty w X w. przez opata Rechotosława) dokument „Vita Mesconis” [Życie Mieszka] autorstwa spowiednika Dobrawy, księdza Kpinomira. Kpinomir podał imiona siedmiu, poślubionych przed Dobrawą, pogańskich żon Mieszka: Całusława, Biustyna, Błogomina, Udowita, Pieściwoja oraz bliźniaczki Rębicha i Pępicha. Tekst w „Rzeczpospolitej” zawierał informację: „rozmaiał 1 kwietnia 2016 r. Philip Earl Steele”.

Nawet dziecko by się zorientowało, że to żart na prima aprilis. Ale nie Jędraszewski. Jako prawnicze jest on wyprany z poczucia humoru, a żadne światółko ostrzegawcze nie zapaliło mu się nawet wtedy, gdy przeczytał imię Biustyna, którego Słowianka z czasów przedchrześcijańskich jako żywo nie mogła nosić. Natomiast w redagowanych przez siebie „Łódzkich Studiach Teologicznych” (nr 2, 2017) opublikował na honorowym miejscu artykuł „Chrzest Polski”, w nim zaś powołał się na świadectwo Kpinomira („Według Kpinomira, spowiednika Dobrawy, który w kronice zatytułowanej »Vita Mesconis«...”). „Łódzkie Studia Teologiczne” mają charakter naukowy, a teksty w nich zamieszczone przynoszą autorom oficjalne punkty. Artykuł Jędraszewskiego – nawet bez wpadki o Kpinomirze – ma wartość naukową zerową, jest na poziomie pogadanki dla dzieci.

Wystąpienie arcybiskupa-profesora odnalazł i omówił Wojciech Maziarski („Ile są warte profesorskie tytuły dostojników Kościoła”, „Gazeta Wyborcza” 25.05.2019). Zaraz potem (26.05.2019) napisał o tym w OKO.press Adam Leszczyński. Zwrócił on uwagę, że „gdyby Steele

odnalazł kronikę Kpinomira, byłaby to wielka naukowa sensacja, o której słyszeliby wszyscy – włącznie z osobami, które w ogóle historię interesują się średnio”. Obaj autorzy pytali zatem o poziom dzisiejszej nauki kościelnej. Ja zaś pytam za nimi dalej. Czy bowiem redakcja „Łódzkich Studiów Teologicznych” czyta powierzone sobie materiały? Czy również czyta artykuły swego naczelnego? A czy zamawia recenzje zewnętrzne? Jeżeli tak – to czy recenzenci mają prawo ostrzec autora (nawet arcybiskupa i nawet naczelnego) przed kompromitacją? Wreszcie (powtórzę za Leszczyńskim): czy autor prac z dziedziny filozofii XX-wiecznej ma kompetencje, by zajmować się historią średniowiecza? I jak artykuł z dziedziny tej niby-mediewistyki ma się do teologicznego charakteru pisma?

Słowo „ignorant” to najłagodniejsze z określeń, jakie cisną się na usta. I żeby tylko ono. Przecież Jędraszewski okazał się naukowym oszustem – i to nawet

Jędraszewski okazał się ignorantem i naukowym oszustem. Dziś człowiek tego formatu wypędza „Tygodnik Powszechny”.

dwukrotnie. W załączonej w artykule bibliografii podał książkę Steele’a „Nawrócenie i chrzest Mieszka I”, w której oczywiście żaden Kpinomir nie występuje (ja za takie postępowanie odmawiam zaliczenia studentowi). A z zawieszonych w internecie „Łódzkich Studiów Teologicznych” wzmiankę o Kpinomirze najspokojniej usunąć. Zamiast więc przeprosić czytelnika lub nawet bez słowa zamieścić erratę, uciekł się do tanich sztuczek. Powinien teraz rzeczony fragment wyciąć także ze wszystkich egzemplarzy drukowanych swego pisma.

Pozostają ostatnie już pytania. Czy „Łódzkie Studia Teologiczne” powinny się znajdować na liście czasopism punktowanych? I czy jakiegokolwiek stanowisko w tej sprawie wyraził kiedykolwiek Senat Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza? Jędraszewski jest profesorem UAM i jako taki podpisał się w przywoływanym artykule. Dziś człowiek tego formatu wypędza „Tygodnik Powszechny”.

Z „Tygodnikiem” byłem związany przez ponad ćwierć wieku, a przez kilkanaście lat pracowałem w jego redakcji. Zerwałem w roku 2002, gdy zapanowała tu moda lustracyjno-ipeenowska, ale nawet gdyby charakter „Tygodnika” pozostał taki, jak wtedy (a nie pozostał), powinnością ludzi dobrej woli jest wyrazić z nim solidarność. Oraz nie ustawać w piętnowaniu Kpinomira Jędraszewskiego.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Wyzysk rodzi bunt

III RP jest powrotem do bardzo złych praktyk polskiego kapitalizmu przełomu XIX i XX w.

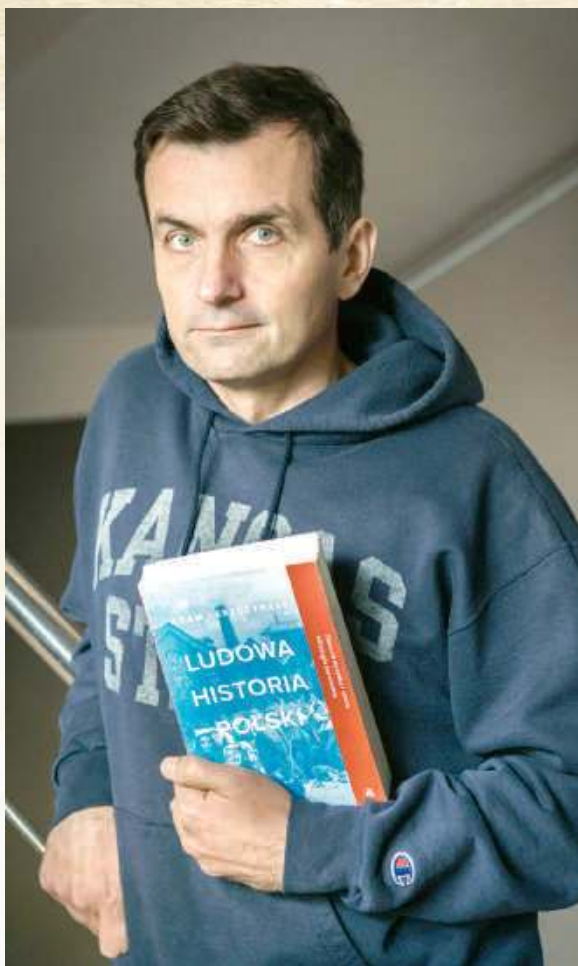
Rozmawia Paweł Dybicz

Po wieloletniej serii publikacji o szlachcie i magnaterii historycy zajęli się historią ludu. Skąd to nagłe zainteresowanie?

– Bo jest to historia nieopowiedziana, a raczej w Polsce opowiadana za mało. Chciałem przywrócić pamięć o warstwach ludowych i oddać sprawiedliwość tym niedocenianym grupom – niedocenianym nie tylko w literaturze historycznej. Zainteresowanie ludem wśród inteligencji zazwyczaj pojawiało się, gdy czegoś od ludu chciała, w szczególności poparcia swoich projektów politycznych. Tych kilka wydanych ostatnio książek, wśród nich moją, wiąże z próbą zrozumienia popularności skrajnej prawicy wśród warstw ludowych. Popularność PiS na wsi czy w mniejszych miejscowościach, wśród ludzi mniej zarabiających, gorzej wykształconych, ma historyczne korzenie.

Czyli żeby odsunąć PiS od władzy, trzeba poznać i zrozumieć historię ludu, nie tylko tę w PRL i III RP?

– Oczywiście. W książce opisyję pewien model zmiany społecznej i politycznej. Zawsze, od końca XVIII w., wyglądała ona podobnie – jakaś elitarna grupa składała propozycję polityczną ludowi. Żeby zyskać poparcie, musiała mieć dwa komponenty: tożsamościowy i socjalny. Weźmy program socjalistów z 1905 r.: samorząd robotniczy, lepsze warunki pracy, związki zawodowe, a w wymiarze politycznym demokratyczna republika. Jeżeli spojrzymy na endeków w tym samym czasie, to z jednej strony mamy



DR HAB. ADAM LESZCZYŃSKI

– profesor Uniwersytetu SWPS, historyk, ostatnio opublikował monografię „Ludowa historia Polski. Historia wyzysku i oporu. Mitologia panowania”.

propozycję ekonomiczną – jakąś formę solidaryzmu, a z drugiej wizję wspólnoty narodowej skupionej wokół elit, wykluczającej w szczególności Żydów. Czyli takiej solidarnej rodziny narodowej, zakorzenionej w religii, tradycji, kulturze, języku.

Od tamtej pory mieliśmy kilka okresów, w których opozycja składała propozycje programowe.

– W ostatnim 50-leciu taką propozycję złożyła w latach 1980-1981 opozycja solidarnościowa. PiS w roku 2015 też złożyła swoją, znów zawierającą komponent narodowościowy i ekonomiczny, czyli lepszą redystrybucję wypracowanych dochodów, 500+, 13. emeryturę... I to zadziałało. Żeby więc na trwałe odsunąć PiS od władzy, trzeba złożyć ludowi własną propozycję, np. lewicową, zawierającą te dwa elementy.

Książka nosi tytuł „Ludowa historia Polski”, ale w zasadzie jest o chłopach.

– No nie, jedna trzecia jest o robotnikach.

Owszem, ale mocno akcentowana jest chłopskość robotników. Można odnieść wrażenie, że są oni traktowani w innym rozumieniu słowa lud.

– O liczącej się klasie robotniczej możemy mówić dopiero w końcu XIX w., a i wówczas fabryczny proletariatus nie był przesadnie liczny. W 1914 r. robotników było ok. 350 tys. na kilkanaście milionów obywateli Królestwa Polskiego. Robotnicy, ze względu na niewielki poziom modernizacji społecznej i uprzemysłowienia, aż do czasów PRL byli grupą ważną, ale mniejszościową. Grupą mocno osadzoną we wsi. To było zazwyczaj pierwsze pokolenie, które wyemigrowało ze wsi, i wiele cech, postaw nabytych na wsi przeniosło do miasta. Wydaje mi się niesprawiedliwe stwierdzenie, że w mojej książce jest za mało robotników. Piszę o nich, przedstawiając proces wyłaniania się proletariatus fabrycznego, czyli okres przejścia pomiędzy czasem

pańszczyzny a kapitalistycznymi stosunkami pracy w pierwszej połowie XIX w., potem prezentuję czas rewolucji 1905 r. i protestów robotniczych, następnie okres 20-lecia międzywojennego z katastrofalną polityką społeczną i wreszcie PRL.

Przez niemal całą książkę przewija się słowo wyzysk, zostało użyte nawet w podtytule. Czy jest ono właściwe również w stosunku do PRL?

Nie kwestionuję znaczenia usług społecznych zapewnianych przez Polskę Ludową.

– Oczywiście, że tak!

W PRL pracownicy byli marnie opłacani, ale zysków z ich pracy nie zabierał jakiś magnat czy kapitalista. Nie jechał hulać do Paryża, tylko z reguły szły one na tworzenie nowych miejsc pracy, politykę społeczną.

– To prawda, że PRL płaciła mało, ale w zamian dawała pewien poziom usług społecznych, których wcześniej nie było. I ostentacyjnej konsumpcji było znacznie mniej, a nasi rządzący nie jeździli do Paryża i nie przegrywali majątków w Monte Carlo. Chodzi jednak o to, co się ludziom odbierało, żeby nie powiedzieć – jak się ich wyzyskiwało. Duża część nadwyżki wypracowywanej przez warstwy ludowe była marnotrawiona, wydawana zgodnie z ideologicznymi preferencjami ustroju, w szczególności na utrzymanie gigantycznej, bardzo kosztownej armii. **Teraz też wydajemy na wojsko, i to niemało.**

– Jasne, ale mniej, jeśli chodzi o odsetek PKB. Można powiedzieć, że w Polsce Ludowej w tamtej sytuacji geopolitycznej nie było innego wyjścia. To rozumiem. Nie chcę atakować PRL, chcę tylko pokazać zachodzący w niej proces alienacji klasy robotniczej od ustroju. Nie można tego deprecjonować. Gdy robotnicy buntowali się przeciwko władzy, ta albo ich pałowała, albo do nich strzelała. I robiła to więcej niż raz. Oczywiście rzadziej niż sanacja, ale biła. Poza tym w PRL zachodziły również negatywne procesy społeczne.

Korupcja, kradzieże, a także anomia, poczucie, że oni, robotnicy, są niepotrzebni, źle traktowani, że rządzi kumoterstwo.

– Ja tych zjawisk sobie nie wyobraziłem, na ten temat jest bardzo bogata literatura, zresztą w części legalnie wydawana w PRL. Dobrze opisane było zjawisko ograniczania autonomii robotników, walki z samorządem pracowniczym, ograniczania autonomii związków zawodowych czy bardzo represyjnego traktowania protestów robotniczych. Widzę tu zresztą ciągłość metod stosowanych

przez władze carskie i sanację. W książce nie kwestionuję znaczenia usług społecznych zapewnianych przez Polskę Ludową, o wiele większych niż w II RP, ale muszę powiedzieć, że w porównaniu z np. zachodnią socjaldemokracją były one bardzo niedoinwestowane, emerytury były niskie, a emerytury rolnicze weszły dość późno, bo w latach 70. Oczywiście jak na tamte czasy to były instytucje państwa opiekuńczego, ale, i to jest ciągłość polskiej historii, zawsze straszliwie niedofinansowane w relacji do potrzeb.

Dziś nadal są relatywnie małe do potrzeb.

– Możemy tłumaczyć, że byliśmy krajem biednym, zawsze na dorobku, ale nie możemy zapominać, że

Elita jest bardzo często ślepa i nie dostrzega zniewolenia ludzi o niższym statusie społecznym.

władze miały swoje priorytety, często ideologiczne, co wyrażało się w tym, że wołały budować przemysł ciężki... **...bo wynikało to z autarkicznej gospodarki.**

– Tak, ale trzeba mówić, że ludzie ciężko pracowali, a usługi, które za to dostawali, nie wspominam już o pensjach, często były niskiej jakości i trudno dostępne. Stąd m.in. korupcja, powszechne przekonanie i pewnie praktyka, że aby coś załatwić u lekarza, trzeba dać prezent, łapówkę. Do tego dodałbym poczucie hipokryzji, świadomość rozmijania się tego, co głosi władza, z rzeczywistością.

Gdyby dzisiaj młodym ludziom powiedzieć, jakie były relacje pensji

dyrektora do stanowisk robotniczych, zareagowaliby śmiechem i niedowierzaniem.

– Nie idealizuję czasów III RP, uważam, że jest ona pod różnymi względami powrotem do bardzo złych praktyk polskiego kapitalizmu przełomu XIX i XX w., co zaowocowało licznymi patologiami, choćby gigantycznym zróżnicowaniem płacowym. Nie jestem obrońcą obecnego polskiego kapitalizmu. Chodzi mi tylko o to, byśmy nie przymykali oczu na istotne wady PRL, przeciw którym ludzie wtedy się buntowali.

Drugie kluczowe słowo to właśnie bunt. Na terenach Rzeczypospolitej bunt, mimo całego ich okrucieństwa, nie były tak liczne ani tak drastyczne jak na Zachodzie.

– Rzeczywiście nie mieliśmy wojny chłopskiej, gigantycznych buntów jak na Zachodzie, jeżeli nie liczyć buntu Chmielnickiego i buntu chłopskiego, zwanego koliszczyzną (1768). Ta różnica wynikała z charakteru instytucji państwa zachodniego. Działały one sprawnie i pozostawiały bardzo mało miejsca na prywatne chłopskie strategie oporu. Chłop był otoczony licznymi instytucjami, które go kontrolowały i odbierały to, co wyprodukował. Jeżeli więc już się buntował, przybierało to dość drastyczne formy. U nas system skłaniał bardziej do prywatnych niż kolektywnych form oporu. Z jednej

strony, Rzeczpospolita, państwo gorzej zorganizowane, często też nie mogła sobie poradzić z buntami – przypomnijmy, że koliszczyzna została stłumiona dzięki wojskom rosyjskim, które wezwaliśmy na pomoc. Z drugiej zaś, chłopu w Polsce paradoksalnie łatwiej było uciec.

Za te czyny były surowe kary. Karano nawet śmiercią.

– To się zdarzało raczej rzadko, ale taka groźba istniała. Dzisiaj wielu badaczy te ucieczki traktuje jako dowód, że ludziom nie było aż tak ciężko. A przecież ucieczka, zostanie zbiegiem, to dramatyczna decyzja, porzucało się gospodarstwo i dużą część ruchomości. To była zazwyczaj ucieczka w nieznaną.

► **Z buntem wiąże się sprawa poczucia obywatelskości. Jeszcze w pierwszej połowie XX w. pokłosie wyzysku i traktowania ludu powodowało, że zainteresowanie problemami narodowościowymi było niewielkie.**

– Kto był najbardziej zainteresowany walką o niepodległość? Inteligencja. I ona była naturalnym źródłem kadr dla państwa narodowego. To widać choćby po karierach, jakie ci zbuntowani inteligenci zrobili w II RP. Jeżeli przyjrzymy się wielu działaczom PPS z okresu rewolucji 1905 r., zobaczymy, że po 1918 r. zostawali ministrami, posłami, prezesami różnych instytucji, słowem stali się elitą władzy odrodzonego państwa. Nie chcę sprowadzać walki o niepodległość do walki o posady i dobra, bo ci ludzie wiele ryzykowali, ale prawdą jest, że dla inteligencji państwo polskie było gigantycznym wehikułem awansu.

Analogie do wywodzących się z opozycji elit rządzących w III RP mocno się narzucają.

– Owszem, ale zostawmy ten temat, bo dojdziemy do wielu nieprawomyślnych wniosków. Jeśli natomiast chodzi o chłopów i robotników, to ich związek z obywatelskością był bardziej złożony. W czasach rozbiorów dla chłopów punktami odniesienia byli cesarz, który był daleko, i jego urzędnik, który był bliżej, ale najbliższym był dziedzic. Jeżeli ktoś przychodził do włościan i zaczynał tłumaczyć, że istnieje coś takiego jak ojczyzna, a oni powinni iść za nią walczyć, często brzmiało to jak abstrakcja. Inteligencja, w dużej części nacjonaliści Dmowskiego, ruch ludowy i socjaliści stworzyli naród polski, tłumacząc masom, że są Polakami.

Pamiętajmy, że jeszcze w czasie I wojny światowej nie miała część polskiego ludu uważała się za lojalnych poddanych trzech cesarzy. Są świadectwa mówiące o tym, że chłopci w Kongresówce w 1914 r. całowali kozaków po rękach, jak i o tym, że na wsi powszechny był strach, że kiedy wróci Polska, wróci też zniesiona

przez cara pańszczyzna. Chłopi doskonale pamiętali, kto ich od niej uwolnił 50 lat wcześniej.

W książce jest jeszcze trzeci ważny wątek – postawa warstw posiadających wobec ludu. Nie użyję określenia zdrada elit...

– A dlaczego nie? Użyjmy go.

W takim razie zdrada w stosunku do czego, a w zasadzie do kogo?

– Mechanizm, który próbuję opisać, jest uniwersalny. Mówiliśmy o elicie, która składała ludowi propozycje. Kłopot polega na tym, że



Lipnica Murowana, sierpień 1932 r.

te obietnice były trudne do zrealizowania albo nie bardzo chciano je realizować, chociażby reformę rolną w międzywojniu. Obiecywano ją, kiedy bolszewicy byli pod Warszawą, ale w II RP przeprowadzono ją w mocno ograniczonym zakresie. Z tego powodu, że i ona, i ustawodawstwo socjalne były przedsięwzięciami kosztownymi z punktu widzenia państwa, a także, może nawet przede wszystkim, w wyniku działań tych, którzy mieli ziemię, fabryki lub kapitał. Ważne jest nie to, że elity zdradziły, a raczej wycofywały się ze swoich obietnic (dotyczy to również PiS), ale to, co posuwa nas

do przodu, a mianowicie, że nigdy w całości nie można się z przyrzeczeń wycofać. Tak jest ze wszystkimi obietnicami składanymi ludowi. Najpierw pojawiały się jako utopia, potem jako obietnica, następnie jako projekt, który nie był realizowany albo był realizowany tylko częściowo, a na koniec doczekały się realizacji.

Reforma PKWN jest tego najlepszym przykładem. Wraz ze wzrostem swobód, dziś byśmy powiedzieli wolności osobistej i liberalizmu, w Polsce sarmackiej zaczęło się dokręcanie śruby ludowi. W czasach neoliberalizmu nie dojdzie do takiego dokręcania, jeszcze większego rozwarstwienia społecznego?

– Może tak być. Historia nie powinna uczyć, że wolność może istnieć bez ekonomicznej podstawy. Banał, ale przecież tak jest, choć o tym się zapomina. Poza tym elita, która ma wszystkie przywileje i uprawnienia, jest bardzo często ślepa i nie dostrzega zniewolenia ludzi o niższym statusie społecznym. Bardzo pouczające jest to, co się wydarzyło w Księstwie Warszawskim po 1807 r., po zniesieniu przez Napoleona poddaństwa osobistego. Chłopi mogli pójść, gdzie chcieli, tyle że nie mieli dokąd, nie mieli majątku, więc siedzieli w posiadłościach dziedzica. W praktyce byli dyskryminowani przez system prawny, całkowicie uzależnieni ekonomicznie od pana. Ta wolność dana przez Napoleona okazała się bardzo kłopotliwym darem, bo ich sytuacja w wielu wypadkach się pogorszyła. Nominalnie byli ludźmi wolnymi, ale w praktyce zamienili opresję polityczną – formalne poddaństwo – na opresję ekonomiczną, która w licznych sytuacjach była bardziej uciążliwa.

I to jest konkluzja książki?

– Myślę nawet, że ma ona optymistyczne przesłanie, wyrażające się w historii ludowej emancypacji, trudnej, a jednak dokonującej się.

Paweł Dybicz

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Historia polskiego obywatela, pana Sławomira, mężczyzny w średnim wieku, mieszkającego od kilkunastu lat w Wielkiej Brytanii. W wyniku zawału serca doznał nieodwracalnych, niszczących zmian mózgu. Jego najbliżsi (żona, dzieci) byli za odłączeniem go od aparatury podtrzymującej vegetację, a mieszkające w Polsce i nieutrzymujące z nim kontaktów (za to wierzące katolicki) matka i siostra – przeciw. Sprawa przeszła przez sądy brytyjskie i polskie, była nieudana próba interwencji w Strasburgu. Brytyjczycy, lekarze i sąd, sprzeciwiali się zarówno sztucznemu podtrzymywaniu funkcji vegetatywnych, jak i transportowi do Polski. Włączyli się polski rząd, MSZ, marszałkini Sejmu. Orły MSZ wymyśliły fortel z przyznaniem panu Sławomirowi paszportu dyplomatycznego i wyjęciem go w ten sposób spod jurysdykcji Brytyjczyków, by przewieźć go do kraju. Co wypisywały giganty fundamentalistycznego katolicyzmu, takie jak była posłanka PiS, obecna sędzia Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej Krystyna Pawłowicz, szpica Ordo Iuris Kaja Godek czy prawicowe szmatł... przepraszam, periodyki – aż nie sposób cytować. A jednak to zrobię. Pawłowicz: „Dlaczego dyplomata RP jest przetrzymywany i zabijany w brytyjskim szpitalu?”.

zawodowego wstępu do tego – ani do żadnego innego – ministerstwa. Do pracy w jakiegokolwiek służbie publicznej. Tak się jednak nie stanie. Zostanie szyderczy śmiech, ale on nie zatrudnia i nie zwalnia.

Podjęty w tej historii wysiłek polskich rządzących wybrzmiewa tym mocniej, że właśnie obserwujemy załamanie się całego procesu szczepionkowego. Odpowiedzialny za te działania minister Dworczyk z charakterystyczną dla tej formacji butą oświadcza: „System szczepień działa, tylko szczepionek brak”. Mógłby przejść do historii światowej głupoty, ale tam jest już autor słynnej frazy z czasów napoleońskich, który na pytanie cesarza, dlaczego nie strzelali, odpowiedział: „Po pierwsze, nie mamy armat”. „Wystarczy”, miał odpowiedzieć słynny Korsykańin.

Równocześnie z powoływaniem martwego na dyplomata trybunał Julii Przyłębskiej postanowił wydrukować swoje niesławne nie wiadomo co – oświadczenie, niestwierdzone nazywane orzeczeniem, *de facto* likwidujące w Polsce aborcję. Napisane zideologizowanym, niemerytorycznym i nieprawnym językiem uzasadnienie już w dniu ogłoszenia wyprowadziło tysiące ludzi na ulice. Na miniony weekend szykowały się wielkie manifestacje w całym kraju.

Prawdziwy Polak, jeszcze albo już, nie żyje

Kaja Godek: „Został zamordowany przez Anglików w szpitalu, który stał się dla niego więzieniem bez możliwości powrotu do ojczyzny. Miał paszport dyplomatyczny, co oznacza, że lekarze z Plymouth zabili naszego dyplomata przy zgodzie władz Wielkiej Brytanii”. Jan Pospieszalski: „W Auschwitz w ten sposób mordowano więźniów w bunkrach głodowych”. Wystarczy. Opinie osób nafaszerowanych fundamentalizmem wyznaniowym, którym odjechał peron, są tylko znakiem i zapisem ich świadomości dla potomnych – i być może wyzwaniem dla pisarzy SF, którzy nie są w stanie wdrzeć się w tak odległe od racjonalności rewiry.

Pan Sławomir zmarł. W Anglii.

Istotą tego wydarzenia jest ocena zaangażowania polskich władz, urzędników MSZ wysokiego szczebla, przedstawicieli Sejmu. Ta metafora jest śmiertelnie celna: najmłodszym polskim dyplomata zostaje umierający człowiek, bez władz umysłowych i bez szans na ich odzyskanie, poza tymi vegetatywnymi. Nigdy niczego nie mógłby powiedzieć, pomyśleć, w żaden sposób zadziałać. Jakże trzeba mieć w głowie spustoszenie, żeby w epoce covidowej wyznaczać takie brewerie myślowo-urzędowe? Odpowiedź jest prosta. Katolickie. Polskie. Narodowe. Prawicowe. Wszystkie te nici interpretacyjno-przekonaniowe zbiegają się w jednej formalnej decyzji wystawienia paszportu dyplomatycznego. Ta jedna decyzja sprawia, że wszyscy odpowiedzialni za ten proceder nigdy już nie powinni mieć

Z tych dwóch historii wyłania się wizja Polski i zamieszkujących ją (wciąż) obywateli i obywateli. Ci obdarzeni największą atencją rządzącej Zjepry (Zjednoczonej Prawicy) to albo zarodki, albo trupy. Cała reszta, czyli my, realnie żyjący, jesteśmy tylko jakimś przypisem do obłędnej wykładni katolickiego fundamentalizmu. My i nasze prawdziwe życie, nasza codzienność, nasza praca, zdrowie, przyszłość naszych dzieci. Prorocko pisała przed paroma laty zmarła już Maria Janion na zwołany kongres kultury: „Naród, który nie umie istnieć bez cierpienia, musi sam sobie je zadawać. Stąd płyną szokujące sadystyczne fantazje o zmuszaniu kobiet do rodzenia półmartwych dzieci, stąd rycie w grobach ofiar katastrofy lotniczej, zamach na zabytki przyrody, a nawet, proszę się nie zdziwić – uparte kultywowanie energetyki węglowej, zasnuwającej miasta dymem i grożącej nadchodzącą zapaścią cywilizacyjną”. Można by dorzucić dyptomatów bez mózgu, gdyby nie było to ze strony władzy żerowanie na dramacie bliskich zmarłego pana Sławomira.

Żądać musimy prawa do naszych żyć w świeckim państwie. Pozostali niech roją sny o zarodkach i życiu po śmierci. My mamy nasz zwykły, prosty, ludzki żywot. Od narodzin do śmierci, a psim obowiązkiem władzy jest dbać właśnie o ten czas. I również z tego powodu odejście już w niepamięć.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Anna Walentynowicz: życiorys sfałszowany

Jej nazwisko to dziś ideologiczna pałka, którą okładani są zarówno żywi, jak i zmarli



Środowisko Anny Walentynowicz oraz Joanny i Andrzeja Gwiazdów znajdowało się na marginesie polityki III RP.

Jakub Woroncow

Anna Walentynowicz urodziła się w 1929 r. niedaleko Równego w rodzinie ukraińskich protestantów o nazwisku Lubczyk. Po nastaniu radzieckiej okupacji rodzina straciła majątek, a dzieci musiały pójść na służbę. Anna w wieku 12 lat trafiła do domu zaradców majątku Pustomyty – Teleśnickich. Pracowała bez wynagrodzenia, wyłącznie za jedzenie. W grudniu 1943 r. Teleśniccy zabrali ją ze sobą, mówiąc – niezgodnie z prawdą – że jej krewni zginęli z rąk Niemców. Gdy ojciec Anny przyszedł do majątku i zapytał o córkę, miał usłyszeć, że „gdzieś poszła”. Teleśniccy cały czas traktowali Annę jak służącą. Jednocześnie ostrzegali: „Jak powiesz, że

jesteś Ukrainką, to cię zamordują”. W wieku 16 lat Anna uciekła z domu Teleśnickich. Nigdy publicznie nie przyznała się do swojego pochodzenia. Pracowała najpierw w piekarni, potem w fabryce margaryny, a następnie zapisała się na kurs spawacza i trafiła do Stoczni Gdańskiej.

Tak zaczęła się historia robotnicy, późniejszej legendy opozycji. Życiorys tej postaci będzie jednak wielokrotnie korygowany, a nawet fałszowany, ostatecznie zaś wykorzystywany w sporach o pamięć historyczną. Niewielu bliskich Annie Walentynowicz ludzi znało jej losy i wiedziało, że rok po śmierci ojca udało jej się odnaleźć rodzeństwo, które odwiedzała raz do roku. Sprawa wyszła na jaw dopiero po jej śmierci w katastrofie smoleńskiej w 2010 r.

W latach 50. i 60. jako młoda kobieta po ciężkich przejściach Anna była wzorową obywatelką PRL. Za przodownictwo w pracy, aktywność w Związku Młodzieży Polskiej i Lidze Kobiet była nagradzana, m.in. dostała mieszkanie. Do PZPR jednak nie wstąpiła, aż w pewnym momencie całkowicie zmieniła zdanie na temat ustroju. Druga połowa lat 70. to czas kryzysu gospodarczego i strajków, w których giną ludzie. W 1978 r., już po buncie na Wybrzeżu, strajkach w Ursusie, Radomiu i w przemyśle włókienniczym, 49-letnia Walentynowicz zorganizowała zbiórkę pieniędzy dla strajkujących robotników i zaniósła je do Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Zaangażowała się w działalność związku oraz pisma „Robotnik Wybrzeża”. W sierpniu

1980 r. została dyscyplinarnie zwolniona ze stoczni, a związkowcy wydrukowali ulotki o treści: „Ape-lujemy, wystąpcie w obronie suwnicowej Anny Walentynowicz. Jeżeli tego nie uczynicie, wielu z Was może się znaleźć w podobnej sytuacji”. Walentynowicz i zwolniony cztery lata wcześniej Lech Wałęsa stali się twarzami opozycji.

Konflikt z Wałęsą

Jeszcze przed stanem wojennym środowisko Solidarności podzielił konflikt, który trwa aż do dziś. Walentynowicz sprzeciwiała się wyborowi Wałęsy na przewodniczącego związku, nie dlatego, że sama miała ambicje pełnić taką funkcję. Uważała, że lepszymi liderami byłiby mający wyższe wykształcenie Jacek Kuroń lub Andrzej Gwiazda. Wałęsa dystansował się od Walentynowicz, a spór polityczny zmienił się w konflikt osobisty.

Historia potoczyła się tak, że to stronnictwo Wałęsy odegrało kluczową rolę w przemianach politycznych, a Walentynowicz od pewnego momentu już mu nie towarzyszyła, chociaż nie można powiedzieć, że nie była aktywna. Organizowała protest głodowy przeciwko zabójstwu ks. Jerzego Popiełuszki, sama była na celowniku SB. W 2009 r. oskarżono nawet byłych funkcjonariuszy SB o planowanie jej zabójstwa. Środowisko Gwiazdy i Walentynowicz w III RP znajdowało się na marginesie polityki. Do czasu, gdy z Wałęsą skonfliktowali się bracia Kaczyńscy. I tutaj do akcji wkroczył Sławomir Cenckiewicz, wówczas historyk gdańskiego Instytutu Pamięci Narodowej, który, o czym wspomina Antoni Dudek w książce „Instytut”, już na początku kariery wykazywał dużą łatwość w formułowaniu wniosków na podstawie ograniczonej bazy źródłowej. Był pierwszym historykiem IPN, któremu groził proces z powodu napisania czegoś na podstawie akt bezpieki. Odkrył, że powiązania z nią mieli niektórzy członkowie gdańskiej neoendekkiej Niezależnej Grupy Politycznej. Wysnuł więc od razu wniosek, że cała grupa została powołana przez bezpiekę. Do procesu nie doszło, gdyż jej działacze najpewniej obawiali się ujawnienia innych kompromitujących informacji, które koniec końców i tak wyszły na

światło dzienne. „Bezpiecniaki” tok rozumowania wykazał też Cenckiewicz, pisząc wspólnie z Piotrem Gontarczykiem biografię Lecha Wałęsy „SB a Lech Wałęsa” wydaną w 2008 r.

Dwa lata później Cenckiewicz napisał biografię Anny Walentynowicz. Z jego punktu widzenia jest ona ważną postacią, gdyż – jak sama podkreślała – „cały czas mówiła, że Wałęsa został przywieziony na strajk

udawał przychylność, by potem miesiącami zwodzić obietnicami dostarczenia interesujących nas dokumentów. Ostatecznie, w przeciwieństwie do wszystkich innych historyków, których prosiliśmy o pomoc przy pracy nad książką, nie pomógł nam w niczym”. Ponieważ autorzy dużo miejsca poświęcili epizodom swojej bohaterki w szeregach młodzieżowej przybudówki partii, Cenckiewicz

Cenckiewicz wykazywał dużą łatwość w formułowaniu wniosków na podstawie ograniczonej bazy źródłowej.

w sierpniu 1980 r. motorówką Marynarki Wojennej”. Podczas pracy nad życiorysem opozycjonistki Cenckiewicz popełnił jednak inny błąd, co zemściło się na nim bardziej niż uderzenie w Wałęsę. Bardzo starał się ukryć swoją niekompetencję.

Próba repolonizacji życiorysu

Tymczasem jego wiarygodność jako badacza mimochodem podważyli autorzy książki „Walentynowicz. Anna szuka raju”, Dorota Karaś i Marek Sterlingow. Opisali także jego zachowanie: „Nastawiał przeciwko nam rozmówców, kwestionował nasze motywy, odrzucał prośby o rozmowę, a gdy udało nam się z nim porozmawiać po konferencji IPN,

oskarżył ich o próbę zniszczenia jej wizerunku. „Częstym zabiegiem autorów książek o postaciach będących symbolami walki z komunizmem w PRL jest ich delegitimacja jako antykomunistów. Tak było w przypadku biografii Antoniego Macierewicza, i tak jest z książką »Walentynowicz. Anna szuka raju«, napisał na łamach Onetu. O aktywizmie Walentynowicz, jej przodownictwie pracy i uczestnictwie w III Światowym Zlocie Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie w 1951 r. pisze natomiast: „To wszystko prawda, w dodatku opisana przeze mnie już 10 lat temu, ale obecnie ▶

O SOLIDARNOŚCI, KTÓRA DROGO NAS KOSZTOWAŁA

NOWA CENA
53zł 42zł

www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.
Promocja ważna do 28.02.2021 r. lub do wyczerpania zapasów.



Lech Wałęsa i Anna Walentynowicz w Krakowie, październik 1980 r.

► historia ta dodatkowo została opatrzona dziwacznymi opiniami podanymi w formie niby ustalonych faktów: »Imponuje jej słownictwo – prezydium, plenum, kolektyw, aktyw, aparat (...). Anna lubi narady kolektywu, na których można napiętnować błędy i odchylenia, zwrócić uwagę kolegom i koleżankom czy obsztorcować majstra. Pijaństwo w pracy? Spóźnienie? Poprawcie się, towarzyszu! Nie boi się powiedzieć, co myśli!«.

Annę za bycie Ukrainką w Gdańsku w 1945 r.? Polacy!», napisał Cenckiewicz na Facebooku. I dalej: »Intencje Hałagidy są zresztą dość czytelne. W relacje międzyludzkie przenosi on spór ukraińsko-polski i na tym tle odmalowuje losy młodej Anny Walentynowicz. Podkreśla on, że gnębiący młodą Ukrainkę Annę Lubczyk Edmund Teleśnicki to Polak! I postępując się cytatem, dodaje, że to polski »pan«. Mamy zatem do czynienia

jako broń w walce z Lechem Wałęsą i innymi postaciami opozycji antykomunistycznej niechętnymi wobec PiS.

Nazwisko Walentynowicz to dziś ideologiczna pałka, którą układani są zarówno zmarli, jak i żywi. Na przykład Henryka Krzywonos, inna legenda opozycji, sceptyczna wobec roli Kaczyńskiego jako ojca narodu, trafiła na okładkę tygodnika »wSieci« jako fałszywa legenda w odróżnieniu od prawdziwej – Anny Walentynowicz, mimo że można ją z łatwością odnaleźć w prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego oraz wśród sygnatariuszy porozumień sierpniowych. Razem z Anną Walentynowicz Krzywonos zapobiegła 16 sierpnia 1980 r. przerwaniu strajku, a za pomoc internowanym była brutalnie represjonowana przez SB. Z Walentynowicz była bardzo blisko i jest jedną z niewielu osób, które wiedziały o jej prawdziwym pochodzeniu.

Prorządowa prasa używa pamięci o Walentynowicz do dyskredytowania żywych, z kolei IPN wykorzystał jej nazwisko podczas dekomunizacji ulic. W Lublinie do odebrania ulicy Lucynie Hertz, poległej podczas przeprawy przez Wisłę do powstańczej Warszawy żołnierki LWP, a w warszawskiej dzielnicy Wesoła

Życiorys Anny Walentynowicz będzie wielokrotnie korygowany, a nawet fałszowany, ostatecznie zaś wykorzystywany w sporach o pamięć historyczną.

W pracach Cenckiewicza nie można też się doszukać informacji o prawdziwym pochodzeniu Walentynowicz. Wersji podanej mu przez samą zainteresowaną nie próbował weryfikować, a gdy poznał rzeczywistość, tuszował swój błąd przez 10 lat. Igor Hałagida z Uniwersytetu Gdańskiego, który sprawę ukraińskiego pochodzenia legendy opozycji rozwikłał i opisał, został oskarżony przez Cenckiewicza o nieczyste intencje i wykorzystywanie odkrycia do podsycania antagonizmów polsko-ukraińskich. »W zasadzie w całym artykule Hałagidy ów spór odcisną swoje piętno. Bo czemu ma służyć np. akcentowanie współpracy czy służby w UPA rzekomego brata Anny Walentynowicz, albo przestrogi Teleśnickich wobec młodzieńkiej Anny Lubczyk (Walentynowicz): »Jak powiesz, że jesteś Ukrainką, to cię zamordują? To znaczy, kto zamorduje

z okrutnym Polakiem, gnębiącym Ukrainkę, a nie jak uważaliśmy do tej pory, wykorzystywaniem Anny Lubczyk po prostu przez złych ludzi – chociaż kresowych Polaków«. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że Hałagida był przed laty bezpośrednim podwładnym Cenckiewicza w IPN. Uchodził za zaufanego współpracownika swojego szefa.

Akcja dekomunizacja

Publikowanie o Walentynowicz cokolwiek bez błogosławieństwa Cenckiewicza naraża autorów na nieprzyjemności. Zdaniem byłego pracownika IPN próbuje się zrobić z gdańskiej suwnicowej antywzór Danuty Siedzikówny »Inki«, odgrywającej w micie antykomunistycznego podziemia rolę archetypu patriotki antykomunistki. A to spory kłopot, gdyż pamięć o Annie Walentynowicz służy

do dekomunizacji ulicy Stanisława Wrońskiego, rzekomo upamiętniającej ministra kultury i sztuki, członka Rady Państwa i prezesa Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Problem jednak w tym, że komunista zmarł w 2003 r., a ulica upamiętniała... powstańca warszawskiego o pseudonimie »Łom«, zmarłego od ran w szpitalu w Podkowie Leśnej 22 listopada 1944 r. Okazuje się, że politycy IPN dekomunizowali na oślep, nie sprawdzając nawet, kogo właściwie upamiętnia dana ulica.

W ten sposób sfanatyzowani czciciele postaci Anny Walentynowicz nie tylko sami się ośmieszali, ale również spłycili pamięć o swojej bohaterce. Być może odzyska ona właściwy wymiar dzięki rzetelnej biografii, w której gdańska suwnicowa jest nieco mniej heroiczna, za to prawdziwsza.

Jakub Woroncow

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Sztuka życia

„Moja prezydentura była znakomita pod każdym względem”, mówi Donald Trump i pochlipuje, pakując manatki. Jaka ulga patrzeć na Bidena i go słuchać. Czy doczekam podobnej ulgi w Polsce?

Przyszła na chwilę prawdziwa mroźna i śnieżna zima. Z dziećmi na sankach. Mieszkamy na brzegu lasu, którego drzewa zdają się mieć kilkadziesiąt lat, przedtem były tu zapewne pola, na których w 1944 r. toczyły się ciężkie walki. Z dokumentów wiem, gdzie biegła linia frontu – tuż obok naszego domu. Walczyli tu też i ginęli żołnierze Berlinga. Zostały ślady po okopach i umocnieniach, które czasami tworzą wzniesienia. Mój Franio zjeżdża z nich na sankach. Taki mały pożytek z II wojny światowej.

Joanna Mucha odchodzi z Platformy i zadamawia się w ruchu Polska 2050. Nie dziwię się jej. W Platformie jest wielu wartościowych ludzi, dobrze myślących i mówiących polityków, ale ich suma nie daje dobrej jakości. To trochę jak z polską drużyną piłkarską. Brakuje dobrego trenera, czyli przywódcy. I ma rację Mucha, która na odchodnie mówi o zakleszczeniu się PO w wojnie z PiS. Brakuje w tej partii szerszego oddechu, ducha. Zdumiewające to, biorąc pod uwagę, że właściwie wszyscy intelektualiści, cała prawie inteligencja z Platformą sympatyzuje i gotowa jest pomóc jej stworzyć nową opowieść o przyszłej Polsce. To powinna być realistyczna baśń. Mówiąc trochę żartem, tu nawet Olga Tokarczuk mogłaby wiele pomóc.

Przez pół roku prowadziłem audycje w Halo Radio. Cenna inicjatywa to internetowe radio. Ale poczułem nagle wielkie zmęczenie. Każda audycja to kilkoro gości, ja w studiu, a rozmówcy w telefonie, bo zaraza. Trzeba mieć za każdym razem pomysł na program, jakbym nie musiał mieć w miesiącu pięciu pomysłów na felietony, cztery do „Przeglądu”, jeden do miesięcznika „Zwierciadło”. Piszę teraz małe opowiadania, próbując z nich zrobić książkę. Każde opowiadanie to inny pomysł. I mój zbiornik pomysłów już zdaje się pusty. Ostatnio w czasie audycji, gdy byłem sam na sam z mikrofonem przy ustach, nagle poczułem wielką pustkę, nie wiem, co mówić, o co pytać, mam ochotę krzyknąć: ratunku!, ale to by jeszcze pogorszyło sytuację.

Odwiedzam kolegę, kiedyś sąsiada, po rozwodzie sprzedali z żoną dom. Nowi ludzie, którzy w tym domu zamieszkali, zamknęli się na głucho, nie przedstawili się,

nie bardzo nawet wiem, jak wyglądają. W cywilizowanych krajach, gdy ludzie się wprowadzają, odwiedzają sąsiadów. A znajomy zamieszkał sam w nowej dzielnicy, budynki wyglądają nieźle, ale nie ma klasycznych ulic, nie ma przytulności, nie ma więc prawdziwego miasta z żywą tkanką. Aby normalnie tu funkcjonować, potrzebny jest samochód. Parkować można w podziemnych garażach, na zewnątrz zwykle nie ma miejsca. Mieszkania trochę przypominają hotelowe pokoje, to prawda, że z niezłego hotelu. Kolega z trudem dochodzi do siebie po rozwodzie, został zostawiony, a zostawieni zawsze bardziej cierpią i gorzej sobie radzą niż ci, którzy odchodzą. Ratuje się religiami Wschodu i jogą. To teraz staje się powszechne. I mieszka w tym głębszy sens, jeśli tylko umie się do niego dotrzeć.

Miałem krótki okres fascynacji jogą, ale zawsze byłem daleki, by z tego robić religię. Potraktowałem jogę jak ostatnią deskę ratunku. To było kilkanaście lat temu. Rola przypadku w życiu. Zdychałem na depresję. Wypełzłem z domu i przypadkiem spotkałem na ulicy Basię Labudę. Ma instynkt opiekuńczy, od razu z ulicy zadzwoniła do M.,

W Platformie jest wielu wartościowych ludzi, dobrze myślących i mówiących, ale ich suma nie daje dobrej jakości.

która wtedy zajmowała się jogą Art of Living guru Sri Sri Ravi Shankara. Chodziłem pilnie na zajęcia, potem poleciałem do Indii, do aszramu pod Bangalurem. Niezwykłe doświadczenie tego miejsca, medytująca wyspa na morzu biedy, pełna ludzi z całego świata, wszyscy w duchowym kryzysie. Wszyscy mniej szczęśliwi od tych biedaków wokół. Rozbitkowie naszej chorej cywilizacji. Polecieliśmy na dzień do Bombaju, tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi na „mszy” celebrowanej przez Shankara, kroczył, jakby frunął po koronie stadionu, Pan Bóg w białych szatach, z długimi, kruczoczarnymi włosami i wielką brodą. Wiele kobiet doznawało duchowych orgazmów. Nagle poczułem surrealizm tej sytuacji i że to jednak bliskie sekty. Po jakimś czasie Shankar przyleciał do Polski, miał wystąpienie na Zamku Królewskim. Zostałem zaproszony. Mówił głęboko i mądrze, jak zawsze. A ja w ramach jakiejś niebawowej protekcji, chociaż niewierny Tomasz, zostałem zaproszony, by go odpowiedzieć, gdy odpoczywał po prelekcji; byłem w towarzystwie Jolanty Kwaśniewskiej, ona też uprawiała tę jogę. Guru był w strasznym stanie, zupełnie wyczerpany i złachmaniony, jak stary i chory, skulony w sobie gołąb. I wzruszył mnie ten kontrast między tym triumfującym, boskim i tym ludzkim, wymiętym i zmarniałym.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl



Zamek Królewski z ruin odbudowany



26 stycznia zainaugurowano obchody 50. rocznicy podjęcia decyzji o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie. Przy tej okazji pojawiły się nowe białe plamy w historii Polski. Ani premier Mateusz Morawiecki, ani wicepremier Piotr Gliński nie byli w stanie przypomnieć sobie, czyja to była decyzja. Śpieszmy zatem z pomocą i przypominamy.

FOT. PAP/HENRYK ROSIAK, WIKIPEDIA,
STANISŁAW WYDZGA/EAST NEWS,
ZENON ŻYBUTOWICZ/EAST NEWS,
ANDRZEJ MARZEC/EAST NEWS (3)



ŻYCIE WARSZAWY

ROK XXVII NR 17 (8480)

CZWARTEK, 21 STYCZNIA 1971 R.

CENA 1 ZŁ

Z inicjatywy władz i społeczeństwa stolicy

Zamek w Warszawie — będzie odbudowany

Przedstawiciele środowisk twórczych na spotkaniu z I sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem

(P) 20 bm. w gmachu Komitetu Centralnego partii odbyło się spotkanie I sekretarza KC PZPR — E. Gierka z czołowymi przedstawicielami środowisk twórczych.

W spotkaniu, w którym uczestniczyli również: członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR S. Olszowski, zastępca członka Biura Poli-

symbolu kultury narodowej, którą usiłował zniszczyć hitleryzm, a która w Polsce Ludowej odrodziła się i rozwija.

tycznych za rozwój i kształtowanie kultury narodowej.

Zabierając głos na zakończenie spotkania E. Gierek stwierdził, iż wszystkie postulaty i uwagi zgłoszone w toku dyskusji znajdują się w centrum zainteresowania władz.

debiutował on twórcami za ich gotowość pełnego współuczestniczenia w procesie budowy nowego kształtu socjalistycznej Polski. (PAP)

(Czytaj na str. 3 — „Zamek w Warszawie — symbolem więzi narodo-

1. Spotkanie z przedstawicielami środowisk twórczych, na którym I sekretarz KC PZPR Edward Gierek ogłosił decyzję o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie, 20 stycznia 1971 r. Nz. od lewej: pisarz Jarosław Iwaszkiewicz, Edward Gierek, członek KC PZPR Stefan Olszowski, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. Stanisław Lorentz.
2. Inauguracyjne posiedzenie Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Przewodniczącym został Józef Kępa, I sekretarz KW PZPR, 26 stycznia 1971 r.
3. Początek odbudowy zamku, wiosna 1971 r. Nz. widok na odkryte fundamenty i okno Żeromskiego.
4. W lipcu 1974 r. na wieżach zamontowano hełmy.
- 5-6. Prace rekonstrukcyjne wewnątrz Zamku Królewskiego.



Bronisław Tumitowicz

Zimerman – samotny zawodnik muzyki

Jeśli się pojawia na estradzie, to musi być coś bardzo ważnego

Krystian Zimerman jest o tyle trudny do scharakteryzowania, że potrafi ograniczyć aktywność na dłuższy czas, by potem zaskoczyć czymś publiczną. Ma spójną i dość radykalną strategię koncertowania i nagrywania, w której głównym celem jest bardzo wysoka jakość przy stosunkowo niewielkiej ilości. Rzadko udziela wywiadów mediom, przez co jeszcze trudniej powiedzieć o nim coś pewnego. Że jest trochę tajemniczy, kapryśny albo wrażliwy na swoim punkcie, czasami wręcz nieobliczalny? Takie cechy ma wielu artystów. Z pewnością jest skuteczny w działaniach i ma światową renomę, ogromny prestiż wypracowany właśnie dzięki umiejętności budowania wizerunku. Jeśli pojawia się na estradzie, to już musi być coś bardzo ważnego.

Londyn podbity

Ostatnia aktywność Zimermana to wszystkie koncerty fortepianowe Ludwiga van Beethovena, wykonane z London Symphony Orchestra pod dyktando Simona Rattle'a w kościele

Krystian Zimerman twierdzi, że polskie uczelnie wypuszczają artystów nieprzygotowanych do sprośnienia ogromnej konkurencji.

św. Łukasza w Londynie, na 250-lecie urodzin kompozytora. Krytyka brytyjska w podwyższonej gotowości oczekiwała na wydarzenie, bo tego artysty w stolicy Zjednoczonego Królestwa dawno nie oglądano. Koncert miał się odbyć w słynnym Barbican Centre, ale niemal z godziny na godzinę został przeniesiony do innego wnętrza. Tutaj nawet świątyni przysposobiono do pandemicznych obostrzeń, pomiędzy muzykami orkiestry było chyba więcej niż 2 m dystansu, a publiczności dopuszczono jak na lekarstwo. Pozwolono jednak słuchać części tych występów dzięki streamingowi. Planuje się również wydanie nagrań w jakości cyfrowej, bo to niezwykła okazja i najwyższy poziom artystyczny. Zimerman już nagrywał komplet koncertów Beethovena prawie 40 lat temu pod dyktando innej dyrygentki sławy, Leonarda Bernsteina.

Kapelmistrz zmarł przed ukończeniem sesji nagraniowych i pianista sam poprowadził dwa z przygotowanych koncertów.

Tym razem recenzenci też pisali o występie z najwyższym uznaniem i zachwytem: „Polski pianista wyglądał na szczęśliwego i zrelaksowanego, a jego nieskazitelnie uczesane śnieżnobiałe włosy i broda nadały mu wygląd stylowego Mikołaja. (...) Czystość i wyrazistość to cechy charakterystyczne gry Zimermana, a jego frazowanie i aksamitny dotyk charakteryzowały się niemal arystokratycznym opanowaniem, kamery zaś zapewniały tak ekstremalne zbliżenia, że można było podziwiać jego mocno przycięte paznokcie”.

Ale znaleźli się i złośliwcy, którzy wypominali Zimermanowi, że wcześniej dawał gwałtowny wyraz złości, gdy jego wykonania znalazły się na YouTube. Twierdził, że ta platforma niszczy muzykę, a teraz sam dał koncert wstawiony (ale nie za darmo) do sieci.

Niektórzy pamiętają, że potrafił on przerwać występ i wyjść z sali, gdy zobaczył, że ktoś go ukradkiem nagrywa. Był wtedy wściekły i nie hamował się w wyrażaniu wzburzenia. Później wyjaśnił, że stracił w przeszłości wiele kontraktów, ponieważ producenci mówili, że muzyka, którą proponuje, jest już dostępna na YT. To oczywiście była także wina organizatorów, którzy nie potrafili dopilnować publiczności. A teraz, w czasach covidowych ograniczeń i braku dostępu do żywej muzyki, wypomina się temu znakomitemu artyście, że swoją postawą

w Londynie niejako symbolicznie uwierzył online.

Młode lata

O Krystianie Zimermanie stało się głośno podczas Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie w 1975 r. Artysta miał wtedy zaledwie 18 lat, ale od początku był faworytem turnieju. Zdobył pierwsze miejsce i zgarnął jeszcze wszystkie nagrody dodatkowe. Po tym konkursie urosła też sława jego nauczyciela, prof. Andrzeja Jasińskiego, który stał się ogromnie poszukiwanym pedagogiem. U niego Krystian przeszedł wszystkie szczeble edukacji muzycznej, najpierw w Państwowej Szkole Muzycznej w Zabrze, później w Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej w Katowicach i wreszcie w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach.

Prof. Jasiński dostrzegł niezwykle potencjał swojego ucznia i studenta i potrafił to właściwie ocenić. „Krystian był dla mnie kimś więcej niż uczniem. Obydwaj byliśmy dla siebie nauczycielami”, powtarza. Natomiast legendarny krytyk muzyczny Jerzy Waldorff wystawił mu taką opinię: „Porywał tak, że – słuchając go – nie chciało się nawet próbować szukania usterek w tym fascynującym popisie. Podobny do młodego Chopina, kiedy grał Koncert e-moll, zdawało się, że to sam Fryderyk po słonecznej drodze dźwięków, w promiennych blaskach nadziei rusza wartko na podbój świata. W rezultacie też pierwszy raz się zdarzyło, że jeden kandydat konkursu warszawskiego zgarnął wszystkie czołowe nagrody”.

Dzisiaj mieszkający na stałe w Szwajcarii artysta udziela rad młodszemu o całe pokolenie innemu polskiemu zwycięzcy konkursu chopinowskiego, Rafałowi Blechaczowi,



Krystian Zimerman na Wielkanocnym Festiwalu Ludwiga van Beethovena w 2018 r.

przestrzegając, aby nie szedł na ilość, tylko na jakość, i wybierał z propozycji koncertowych oraz nagraniowych wyłącznie te, które dobrze rokują jego pozycji w świecie pianistyki. Dla swoich nielicznych szwajcarskich studentów ma taką maksymę: „Może to, co teraz powiem, jest absurdalne, ale pan musi być pierwszą osobą, która musi zachwycić się tą grą. Pan musi zagrać tak pięknie, żeby to się panu przede wszystkim podobało. My możemy tylko wtedy przekazać wiarygodnie piękno, kiedy sami w nie wierzymy. Nam się musi podobać to, co robimy. Na każdym etapie tej pracy. Musimy się akceptować takimi, jakimi jesteśmy”.

O systemie kształcenia muzyków w Polsce nie ma najlepszej opinii, twierdzi, że uczelnie nie wypuszczają artystów dobrze przygotowanych do sprostania ogromnej konkurencji. „Uczniowie nie mają świadomości tego, jakimi muzykami chcieliby być. Brak jest przygotowania do życia koncertowego i organizacji wydarzeń. Obecnie nawet wygrywającym konkursy młodym muzykom nie powodzi się tak dobrze jak dawniej. Warto też uczyć udzielania wywiadów, interakcji z mediami”.

Niewiele mówi, ale jak coś powie...

Sam niezwykle rzadko udziela się w prasie. Chyba że przed wielkimi

tournée z zagranicznymi słynnymi orkiestrami. Zresztą dziennikarzom nie daje szans. Niewielu zna jego adres, a mejlowego w ogóle nie ma, choć korzysta z komputera. Numer komórki zmienia co miesiąc. Jego znajomi twierdzą, że wynika to z graniczącej z obsesją potrzeby prywatności. Nie chce, by mu ktoś zakłócał życie rodzinne i pracę. Kontakty załatwia za niego impresario. A jak już Mistrz pojawi się w Polsce – gdzie wcześniej grywał nie częściej niż raz na 10 lat – nierzadko dochodzi do różnych utarczek. Oto scenka z 2009 r. opisywana przez „Rzeczpospolitą”: artysta

Potrafił przerwać występ i wyjść z sali, gdy zobaczył, że ktoś go ukradkiem nagrywa.

wyrażał się z niesmakiem o przygotowaniu jego występów w Polsce. Po pierwsze, organizator koncertów zakupił na koszt pianisty – i twierdził, że za jego zgodą – laptop z oprogramowaniem. Druga sprawa to darowizna na rzecz Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta. Zimerman zdecydował się przekazać część honorarium, był jednak zdziwiony i rozczarowany, że datkę wyniósł zaledwie 10 tys. zł. Kwotę tę reguluje polskie prawo – tłumaczono mu. Pieniądze stały się też powodem niezadowolenia rok wcześniej, gdy przekazał nagrodę w wysokości 12 tys. euro dla najlepszego wykonawcy sonaty

podczas konkursu chopinowskiego. Ufundował ją z zysków ze swojego tournée w 2009 r. Organizatorzy konkursu zmniejszyli jej wysokość, ale impresariat występów Zimermana wywiązał się z zobowiązania i na rzecz konkursu chopinowskiego wpłacił w terminie 50 tys. zł. Kwotę nagrody zmniejszono ponoć dlatego, że była znacznie wyższa od innych.

Po tych scysjach finansowych artysta oświadczył, że nie będzie przyjeżdżał do Polski. Zimerman, żarliwy patriota? Oczywiście nie dotrzymał słowa, przyjechał w 2013, 2014, a potem w 2018 r. Ale podczas próby w Filharmonii Narodowej obwiesił swój fortepian postulatami dotyczącymi konieczności rozliczenia jego tournée po kraju w 2009 r. A potem wydał oświadczenie, że wycofuje się z wszelkich roszczeń finansowych po owym tournée, chce też ufundować własne stypendium dla młodego artysty. Ale wciąż skarży się na media: „Po każdym moim pobycie w Polsce pozostają plotki, intrygi i pomówienia, a przecież od ponad 30 lat za żaden występ w kraju nie wziętem ani złotówki honorarium”.

Jego fortepian

Do kilku drobnych dziwactw już przyzwyczaił fanów. Zawsze jeździ z własnym fortepianem, zresztą ma ich kilka na dalsze wyprawy. Dysponuje specjalnym wanem do przewozu instrumentu. Później narzeka, że w czasie transportu coś nawaliło.

„Psuje się co pół godziny”, mówi, a wiadomo, że sam wykonał wiele narzędzi do podnoszenia trójnożnego olbrzyma i manewrowania nim. Niektórzy słuchacze są zdumieni, gdy się dowiadują, że jest też swoim własnym technikem, lecz Zimerman wzrusza ramionami: „To drewniane pudełko z linkami, ale jest jak człowiek”. Artysta przywiązuje ogromną wagę do stanu i specyfiki instrumentu, na którym gra. Wiele potrafi w nim zmienić, bo jeszcze jako uczeń prof. Jasińskiego spędzał długie godziny między lekcjami w warsztacie niewidomego stroiciela fortepianów Jerzego Kozaka, obserwując ▶

► jego pracę. Chce maksymalnie dużo wiedzieć o instrumencie. Opowiadał kiedyś na zaimprovizowanym spotkaniu z prasą w Warszawie historię związaną z koncertem fortepianowym Witolda Lutosławskiego dedykowanym właśnie jemu. Gdy odwiedził mistrza w jego warszawskim domu, Lutosławski starał się przekazać uwagi co do wykonywania kompozycji. „W tym miejscu fortepian musi zająć”, poradził,

Zawsze jeździ z własnym fortepianem, zresztą ma ich kilka na dalsze wyprawy.

przeglądając partyturę. Zimerman się zdziwił: „Jak to zrobić na fortepianie?”. Lutosławski poprowadził pianistę do swojego instrumentu i poprosił o zagranie tej części. Zimerman zagrał i... fortepian Lutosławskiego rzeczywiście zajął. To była charakterystyczna cecha „tych klawiszów”. Zimerman opowiedział również historię z życia Fryderyka Chopina, zapewne wyczytaną w jego

listach. „Fryderyk narzekał, że jak gra w salonie, to ci, co siedzą w piątym rzędzie, już niewiele słyszą. Takie słabe były kiedyś fortepiany”.

Czarna lista Zimermana

A co do krajów, do których pianista jeździ lub nie jeździ, motywacje jego embargo są niekiedy zastanawiające, a w każdym razie świadczą o zdecydowanych poglądach na sprawy polityczne i wrażliwości na krytykę jego osoby. W 2009 r. podczas recitalu w Los Angeles zapowiedział, że więcej nie zagra w USA. Był to wyraz oburzenia wobec planów budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce. „Ręce precz od mojego kraju”, grzmiał wtedy ze sceny Zimerman. Ciekawe, czy podtrzymuje swoją niechęć do Ameryki. Tarczy na razie nie ma.

Podobno niechęć do USA wiązała się też z nieprzychylnymi komentarzami amerykańskiej prasy, po tym

jak spłonął w niewyjaśnionych okolicznościach jego dom w New Jersey przy 37 Bishop Street, będący bazą artysty przed kolejnymi występami w Ameryce.

Ponoć Zimerman nie ma także zamiaru występować w Rosji. Powód? Niewyjaśniona do tej pory sprawa Katynia. To gdzie zgadza się grać? W Azji: w Japonii i w Korei Południowej, oraz w Europie, czego dowodem jest występ w Londynie. Ale żółta żarliwość politycznej nędzy u niego nabrzmiewa. Artysta uważa, że odpowiedzialność jednostki w sytuacji, w której jest ona konfrontowana ze złem, powinna wywoływać reakcję, a patrzenie w drugą stronę doprowadziło w Europie do największych katastrof, które nigdy nie powinny się powtórzyć. Kalkulowanie i oportunizm uważał zawsze za pożywkę dla zła. Dlatego od najmłodszych lat protestował przeciwko niesprawiedliwości i uciskowi.

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

JUŻ NA
BLU-RAY
| **DVD**

Maciej Zakościelny **Julia Kamińska** **Katarzyna Sawczuk**
Urszula Dudziak **Tomasz Karolak** **Maria Pakulnis** **Anita Sokołowska**

Jak zostać gwiazdą... i pozostać sobą

KINOŚWIAT
A CANAL+ COMPANY

WP **FILMWEB** **DEMOTYWATORY.PL** **interia.pl** **STYLOWI.PL** **dlaStudenta.pl** **empik**



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wiem, świat się wali, trwają przepychanki w przedpieklu, lecz czyż właśnie dlatego nie powinniśmy sięgnąć po wiersze? Pozwolę sobie odebrać Brechtowski serwis: milczenie o drzewach jest zbrodnią w czasach nieustającej rozmowy o czynach niecznych. Na okładce „Podwójnego wahadła” – najnowszego, wybitnego tomu poezji Jacka Podsiadły, widzimy fotografię, która też jakoś odpowiada na dylemat Brechta. Siwobrody mężczyzna pyka fajkę w doszczętnie zrujnowanym mieszkaniu w Aleppo i słucha muzyki na starym gramofonie – jedynej rzeczy, która jakimś cudem przetrwała bez uszczerbku bombardowanie. Żyjemy kulturą choćby i osmaleni, na pohybel podpalaczom, którzy mają władzę, pieniądze, większościowy rząd umytych dusz, ale kultury nie mieli nigdy, jej sięgnąć nie są w stanie. Choć nie ustają w diabelskich zakusach; hojnie obdarowują nadwornych grafomanów, a w obce im środowisko wpuścili konia trojańskiego w postaci „Nowego Napisu”. Skoro się nie ma swoich poetów,

jesienią zaprezentował także wstrząsający „Słup ze słów”, literacki pomnik ofiarom pogromów, zarazem bezlitosny obraz przasnego polskiego antysemityzmu. Żaden utwór liryczny nie wywołał w bieżącym stuleciu w Polsce tak szerokiej dyskusji literackiej, politycznej i historycznej. A teraz dostajemy cały tom, w którym nie ma słabych ogniw.

Podsiadło zaczynał w latach 80. od freestylewej, waga-bundzkiej *pop poetry*, by teraz wymościć się w niezwykle wyszukanej, przewrotnie klasycyzującej i namiętnej rymowanej formie (nawet tytuł sobie zrymował z nazwiskiem). W dodatku, choć autor zbywa pytania o inspiracje i znaczenie swoich wierszy, są to utwory erudycyjne, nierzadko hiperteksty, odsyłające daleko poza ramy wiersza, pełne konkretów historycznych, nazwisk, cytatów i kryptocytatów. Tom zaprasza więc do lektury wielokrotnej – jak choćby w „Skonie Acerna”, który najpierw czytamy, posiłkując się wyobraźnią i smakując frazę wiersza, by wrócić do niego i dekodować ekfrazę, spozierając na płótno Wilhelma

Podsiadło bez wahania

trzeba było skłócić tych po drugiej stronie barykady – PiS nie umie rządzić inaczej niż przez konflikt. Lwia część ludzi pióra w Polsce nigdy w życiu nie zarobiła takich pieniędzy, jakimi kusi rządowa trybuna literacka, więc z każdym miesiącem kolejni poeci sprzedają twarz za honoraria, o których dotąd tylko śnili pokątnie. Na niesmak tych, którzy kolaborować nie mają zamiaru, reagują agresją zgrabnie podszytą modnymi ideami: sumienie jest przywilejem klasowym; o wolności i etyce nie mają prawa mówić ci, którzy nigdy nie przymierali głodem.

Owóż Jacek Podsiadło, dziś *poeta laureatus*, niegdyś artysta bezpański, zabrał jasny głos w sprawie: nic nie usprawiedliwia aliansu z kaczystowską władzą, wszyscy zwerbowani do „Nowego Napisu” autorzy prostytuują się i „przyjdzie im latami zlizywać z siebie tego pawia”. W prowokacyjnym utworze „Tomasz Pułka, który się trupom nie kłaniał” Podsiadło piętnuje z nazwiska szeregi kolaborantów, w dodatku obraża uczucia religijne pokolenia, dla którego Pułka jest świętym (przypomnę, że obiecujący poeta, ledwie zaczął obietnice spełniać, zakończył krótkie życie, wpadając do Odry). Wzburzenie i wściekłość wśród poetów były wprost szalone, kiedy ten wiersz wychynał z szuflady jako pilot „Podwójnego wahadła”; autorzy, którzy dobili targu z władzą, rzucili się na swojego niedawnego ulubieńca jak sfera neapolitańczyków na Maradone, kiedy ten wyrzucił Włochów z II Mondiale 1990. Gdy temperatura opadła, konsylium komentariatu fejsbukowego uznało JacPo za literackiego trupa. Tymczasem Podsiadło właśnie ich dobił, wydając książkę wyśmienitą, może najlepszą w swoim dorobku. Na szczęście oprócz kija włożonego w środowisko poetów sprzedajnych Podsiadło

Leopolskiego, potem zaś szukając w tekście echa poezji tytułowego bohatera, Sebastiana Klonowica, czy zanurzając się w biografii pierwszego polskiego balneologa, dr. Ocellusa, asystującego przy łożu śmierci poety. Lub też, gdy w „Natura est Deus in rebus”, zadumawszy się nad pięknie sformułowanym zaleceniem, „żeby złudzeń pochodzących od ziemi nie przypisywać ciałom niebieskim”, rozpoznamy słowa Mikołaja Kopernika, dalej szukać zaczniemy innych nieoznaczonych cytatów, podejrzewając polifoniczny ich montaż. Podsiadło chętnie odsyła uwagę czytelnika do przedwiecznych dziwaków, a to przywołując w poemacie „Próba dzwonów” legendę o św. Paulinie z Noli, któremu przypisuje się „wymyślenie” dzwonów kościelnych podczas iluminacji na łące (zapatrzył się, a raczej usłyszał kwiatki z rodziny *campanula*), a to sięgając po pierwszego okularnika hiszpańskiego baroku, a to po niemieckiego benedyktyna, który w wiekach średnich zgłębiał tajemnice steganografii.

Śledzę poetycką drogę Podsiadły od młodzieńczej fascynacji jego „stachuriadą”, poprzez fazę ustatiecznionego buntu, aż po pełnię dojrzałości poetyckiej i fascynuje mnie, jak ten naturszczyk, szcząc się tym, że ukończył ledwie szkołę podstawową, stał się mądrym, a może i naj-mądrzejszym poetą naszym. Nie widzę teraz w poezji polskiej autora równie świadomego formy, który umiałby tak zmyślnie łączyć intymistykę, życiopisanie z wycieczkami w głąb historii kultury. Nikt nie jest zarazem poetą tak religijnym jak niewierzący Jacek Podsiadło, który twierdzi, że w poezji nigdy nie kłamie. Ta deklaracja pochodzi jednak spoza wiersza, więc czy można mu wierzyć?

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Mateusz Demski

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o waszym dokumencie „Jak Bóg szukał Karela”, pokazywanym na Millennium Docs Against Gravity, ubawiłem się: grupa czeskich filmowców, zdeklarowanych ateistów, wyrusza w pielgrzymkę po Polsce, próbując zbadać, na czym polega polska religijność. Skąd pomysł na tę podróż?

– Wszystko zaczęło się od Mariusza Szczygła. Nasz producent Zdeněk Holý był pod silnym wpływem jego twórczości. Pewnego dnia, na długo przed rozpoczęciem zdjęć, poprosił mnie o przeczytanie książki „Zrób sobie raj”, w której Szczygieł pisze o tym, co go zafascynowało w kulturze czeskiej, w naszej mentalności. Co ciekawe, największe zdziwienie i zainteresowanie wzbudzili w nim Czesi, którzy... nie wierzą w Boga. U podstaw tej książki tkwi zasadnicze pytanie o to, jak nam się żyje bez Boga, czy można być w ogóle człowiekiem szczęśliwym bez religii. Pomyśleliśmy, że warto byłoby nieco odwrócić tę sytuację. I spojrzeć na polską religijność z perspektywy Czechów.

Już na początku filmu stawiacie ciekawą tezę, że choć łączy nas niemal 800 km wspólnej granicy, to w podejściu do wiary dzielą nas lata świetlne.

– Obrazujemy to na zasadzie prostego kontrastu – Polacy wysysają katolicyzm z mlekiem matki, Czesi zaś są prawdopodobnie najbardziej laickim narodem w całej Europie. I nie ma w tym przesady. Nie przytoczę dokładnych danych statystycznych, ale jeśli miałbym oceniać to z perspektywy mojej rodziny, przyjaciół i ludzi z najbliższego otoczenia, to doszedłbym do wniosku, że w Czechach wszyscy są ateistami. To oczywiście żart, ale faktem jest, że zwolennicy ateistycznego światopoglądu są u nas widoczni gołym okiem. Inna sprawa, że wielu Czechów wyrugowało reguły podyktowane przez takie czy inne wyznanie ze swojego życia, ale nadal utrzymuje, że trzeba w coś wierzyć. W astrologię, wróżbiarstwo, horoskopy, nawet w czarnego kota, który przebiega drogę. Nie jesteśmy więc narodem całkowicie niewierzącym, co to, to nie, ale na pewno nie

Niezbędnik czeskiego ateisty

Nie do pomyślenia jest, żeby w Czechach zaistniała taka zależność między religią i państwem jak w Polsce



FILIP REMUNDA

– czeski reżyser, operator, producent. Współzałożyciel Instytutu Filmu Dokumentalnego (IDF) oraz firmy producenckiej Hypermarket Film. Od 2012 r. współautor dokumentalnego cyklu Czeskiej Telewizji „Český žurnál”.

mamy tyle oficjalnej religii w sferze publicznej. W Czechach nie odczujesz upowszechnienia czy instytucjonalizacji przekonań religijnych. Jeśli katolicyzm cię nie interesuje, to nie masz z nim żadnej styczności, nikt nikogo nie zmusza do patrzenia na umęczonego, przybitego do krzyża Chrystusa. Tak to jest u nas.

A zastanawiałeś się nad tym, jaka jest przyczyna tak ogromnej przepaści? U Polaka religia to niemal symbol narodowy, u Czecha – prywatna sprawa. Co robi kolosalną różnicę.

– Na początku też nie mogłem pojąć, jak to się dzieje, że dwa żyjące po sąsiedzku narody, mówiące podobnym językiem i wychowane w podobnej kulturze, tak się różnią od siebie. Ale akurat katolicyzm oznacza

dla nas coś kompletnie innego. Kluczem do zrozumienia tego dysonansu są oczywiście kwestie historyczne i rewizja tożsamości narodowej. Nie jestem profesorem historii, nie chciałbym robić nikomu wykładu, ale spójrz tylko, jak przez wieki się to układało. Upraszczając: dla was katolicyzm był zawsze kojarzony z elementem, który pozwalał zbliżyć się do cywilizacji zachodniej, tam szukaliście swojej tożsamości. Z nami to inna sprawa, bo dla Czechów katolicyzm przez lata był symbolem narodowej niewoli i opresji zaborcy, czyli Austro-Węgier. Pamiętajmy również, że dla nas doświadczeniem formującym były husytyzm i reforma Kościoła, które stały się elementem walki o nadanie religii charakteru

osobistej, wewnętrznej relacji człowieka i Boga. W ten sposób religia miała się wyrwać z oków sztywnych, biurokratycznych form i restrykcji, stąd zapewne nasza niechęć wobec Kościoła zinstytucjonalizowanego. Warto byłoby też wspomnieć aksamienną rewolucję 1989 r. i prezydenturę Václava Havla, która miała wpływ na postrzeganie religii. W tym czasie część społeczeństwa jeszcze bardziej oddaliła się od Kościoła, a jednocześnie niektórzy ludzie zaczęli poważnie i z szacunkiem podchodzić do kwestii przekonań. Uważam, że dzięki temu dyskusja na temat duchowości jest dzisiaj w Czechach podźwignięta na dużo wyższy poziom niż w Polsce. Nie ma dla nas większego znaczenia, czy zdecydujemy się ochrzcić swoje dzieci, czy zapiszemy je na lekcje religii. To tylko fasada. Istota wiary leży przecież gdzie indziej.

Z takimi przemyśleniami wyruszyliście w podróż, która trwała w sumie kilka ładnych lat. Pierwsze wrażenia po przyjeździe do Polski?

– Trudno to do czegośkolwiek porównać. Ale pamiętam nasz pierwszy *research* w Polsce, to było przy okazji jakiejś pielgrzymki na Jasną Górę. Wtedy zobaczyłem te tłumy ludzi w średnim wieku, ubranych w dziwne kapelusze, którzy śpiewają, tańczą i klaszczą jak dzieci. Moja pierwsza myśl była taka, że to się nie dzieje naprawdę. Nie oceniam nikogo, ale faktem jest, że nam, Czechom, takie obrazy kojarzą się z niedorzecznym, posuniętym do granic szaleństwa karnawalem, a już na pewno nie z dojrzałym, refleksyjnym pojmowaniem religii. Inny, równie niecodzienny widok ukazał nam się, kiedy dojechaliliśmy do Poznania na oficjalne obchody 1050. rocznicy chrztu Polski. Mnie te uroczystości na stadionie zafrapowały od razu, zastanawiałem się, czy jesteśmy jeszcze w Polsce, czy może już w Korei Północnej. Natomiast moi polscy znajomi stwierdzili, że to zupełnie normalny obrazek.

A takich obserwacji po drodze było więcej.

– Oj, było. Za każdym razem, kiedy jadę do Polski, wszystko mnie dziwi, wszystko jest niepojęte, dlatego jak sześciolatek pytam o pewne rzeczy dla was oczywiste. Jest taka scena w naszym filmie, w której stoimy pod olbrzymią figurą Jezusa Chrystusa

i zastanawiamy się, kto to do cholery jest (śmiej). Najpierw myśleliśmy, że to średniowieczny władca. Ta okazałość, złota korona, ten dość złowrogi wizerunek – wszystko na to wskazywało. Jak dowiedzieliśmy się, że to Jezus, otworzyliśmy usta z niedowierzania. U nas w Czechach Jezus kojarzy się z wizerunkiem dzieciątka, a więc symbolem czystości i niewinności. Tu różnicę między naszymi narodami widać jak na dłoni. Niemowlę i król. Ludzkie, przyziemne oblicze Boga kontra pompacyjne, pomnikowe.

Czesi są prawdopodobnie najbardziej laickim narodem w całej Europie.

Na tej samej zasadzie można opisać pomnikowy kult Jana Pawła II, który pojawia się w filmie. Zgaduję, że pierwsze zetknięcie ze zjawiskiem papieskich pomników było dla Czechów dużym przeżyciem.

– Dużym, choć mieliśmy to szczęście, że naszym przewodnikiem i osobą, która uświadomiła nam, że na polskim gruncie zrodził się nurt „janopawłowych” pomników, był artysta multimedialny Stefan Kornacki. To on przygotował *performance*, który dążył do uświadomienia ludziom, że ta przesadna, zatrważająca wręcz liczba papieskich postumentów – stawianych niemal seryjnie w całej Polsce, od morza do Tatr – naraża pamięć o Janie Pawle II na upokarzającą śmieszność i odbiera wiele z jego wielkości. Trudno traktować

Dla Czechów katolicyzm przez lata był symbolem niewoli i opresji zaborcy, czyli Austro-Węgier.

te wszystkie monumenty serio, waza nadgorliwość w upamiętnianiu wydaje się zmierzać raczej do prześmiewczości i sytuacji, w której papież Polak staje się karykaturą kojarzoną z memami albo tandetnymi dewocjonaliami. A przecież, jeśli mnie pamięć nie myli, to on sam mówił: „Nie budujcie mi pomników, zróbcie coś dla ludzi”. Zakładam, że dla niego takie gesty to była wątpa powłoczka, rzecz zbędna i nieistotna. **Skoro o papieżu mówimy, to jaki status ma Jan Paweł II w Czechach? Trudno mi sobie wyobrazić, żeby był przez was otoczony kultem takiego kalibru.**

– Czesi traktują Jana Pawła II przede wszystkim jako postać, która miała ważny wkład w obalenie komunizmu w państwach bloku wschodniego. Nawet u mnie w domu, gdzie panował zdecydowany ateizm, mówiło się o nim jak o „bohaterze wolności”. Jakie było więc moje zdziwienie, gdy po latach odkryłem, że ludzie na Zachodzie wspominają spuściznę papieża Polaka z krytycznej perspektywy. Jakiś czas temu brałem udział w pewnym festiwalu filmowym, gdzie poznałem grupę Irlandczyków i wdałem się z nimi w dyskusję o tym, co zostawił po sobie Jan Paweł II. Nie usłyszałem za wiele o walce z komu-

munizmem, mówili raczej o tym, że Wojtyła przeciwstawiał się używaniu prezerwatyw w Afryce i tym samym przyczynił się do eksplozji epidemii AIDS. To było zupełnie inne, zaskakujące spojrzenie. Podobny szok przeżyłem już w trakcie realizacji naszego filmu, zaraz po wejściu do warszawskiego Teatru Powszechnego na spektakl „Kłątwa”. Tam znowu usłyszałem, że papież był „obrońcą pedofilii” i za jego pontyfikatu doszło do kolosalnych błędów Kościoła w sprawie skandali pedofilskich. Te dwa wydarzenia otworzyły mi oczy na tyle, że zdałem sobie sprawę, jak złożona była biografia tego człowieka. Nadal uważam go za postać ważną i wyjątkową, jeśli chodzi o całą XX w. w naszej kulturze, ale nie widzę powodu, by zamiatać czyjes

przewiny pod dywan. Mam wrażenie, że u was panuje jakaś ekstremalna forma niechęci do konfrontacji z przeszłością.

Jednak są w Polsce ludzie, którzy potrafią myśleć krytycznie i toczą walkę o powiedzenie na głos niewygodnej prawdy. Tobie chyba zależało na tym, żeby zderzyć w filmie różne postawy.

– Bardzo. Filmy należy kręcić uczciwie, dać głos wszystkim zainteresowanym, nie koloryzować. Rozmawialiśmy więc zarówno z oddanymi słuchaczami Radia Maryja, jak i z aktorami, którzy grali w „Kłątwie”. Relacja z bohaterami zawsze jest ▶

► intensywna, ale to przede wszystkim świadectwo tych drugich było dla mnie najsilniejszym emocjonalnie doświadczeniem. Opowieść o tym, jak grupa artystów spotkała się z nienawiścią, groźbami przemocy i brutalnym szturmem na teatr, będzie siedziała we mnie już zawsze. Jeden z aktorów powiedział mi, jak spektakl ten odbił się na jego rodzinie, jak jego najbliżsi musieli zasłaniać twarz w autobusie, żeby nie dostać po głowie. W życiu nie słyszałem, żeby w Czechach jakkolwiek wizja artystyczna, choćby najbardziej prowokująca i obrazoburcza, spotkała się z takimi represjami. U nas takie rzeczy się nie zdarzają. Nie wspominając już o tym, że nie wyobrażam

spotkaliśmy się z człowiekiem, który monitoruje audycje Radia Maryja i wysyła skargi do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji w sprawie szerzenia antysemickich, nacjonalistycznych treści. Innym razem – dla zachowania równowagi – namówiliśmy do rozmowy członków tzw. rodziny Radia Maryja. Nasłuchaliśmy się różnych opowieści. O tym, jak ludzie wysyłają tam pieniądze ze swoich emerytur, albo że w radiu sugeruje się, na kogo słuchacze powinni głosować w wyborach. „Nikt nikogo nie zmusza, ale w radiu mówią, że trzeba

– Nie zamierzaliśmy skupiać się na polityce, w życiu nie przypuszczałbym, że nasz film będzie tak nią prześlągnięty. Ale był to dla nas bardzo ważny, być może najważniejszy wątek. Nie do pomyślenia jest, żeby w Czechach zaistniała dzisiaj tak ekstremalna, nierozdzielna zależność między religią i państwem, jednak coraz częściej słyszy się o pomysły dotyczącym zacieśnienia tych stosunków. Chcieliśmy pokazać czeskiemu widzowi obraz, który zafrapuje, da do myślenia, otworzy jakiś horyzont i postawi ważne pytania. Co się

U nas nawet najbardziej prowokująca i obrazoburcza wizja artystyczna nie spotyka się z represjami.



Film „Jak Bóg szukał Karela” jest dostępny na platformie vod.mdag.pl stworzonej przez organizatorów festiwalu Millennium Docs Against Gravity, na której można znaleźć ponad 80 dokumentów i fabuł.

sobie, by podobna nagonka była podsycana przez partię rządzącą i media.

No właśnie, kluczowym wątkiem filmu zdaje się przystanek w Toruniu. Widać, że byłeś zaskoczony ruchem radiomaryjnym i upolitycznieniem rozgłośni po linii obecnej władzy.

– Dla mnie to najbardziej przerażający znak tego, co na gruncie religii dzieje się w Polsce. Kiedy pojechaliśmy na zdjęcia do Torunia i zaczęliśmy się kręcić wokół Radia Maryja, zrozumiałem, jak duży wpływ na politykę i życie publiczne w Polsce ma Kościół. Najpierw próbowaliśmy skontaktować się z kimś z szefostwa, zadać kilka pytań, ale zostaliśmy odesłani z kwitkiem. Wtedy zaczęliśmy drążyć temat, szukać odpowiedzi w innych miejscach. Na początku

oddać głos zgodnie z sumieniem, na tego kandydata, co żyje w wierze”, powiedziała starsza pani. Wtedy w głowie zapaliła nam się czerwona lampka. Z tego by wynikało, że Kościół włącza się do bezpośredniej walki wyborczej, agituje, sieje propagandę polityczną. Jakby na potwierdzenie, tego samego dnia na uroczystych obchodach urodzin Radia Maryja obok ks. Rydzyka widzieliśmy premiera i połowę polskiego rządu. **Wasz film zaskakująco mocno skreślił w stronę diagnozy politycznej rzeczywistości. Zaczynacie od groteskowych obrazków ze Świebodzina, Lichenia, Częstochowy, a kończycie tym, że duchowni ramie w ramie z populistami używają swojej pozornej świątobliwości jako narzędzia manipulacji.**

stanie, jeśli pozwolimy Kościołowi urosnąć w siłę, jaką ma w Polsce? Jakie zagrożenia niesie taki układ? Czy może to zapoczątkować ingerencję duchowieństwa w jednostkowy sposób życia, funkcjonowanie świeckich instytucji i demokratyczne ideały?

Przez sześć lat bombardowaliście się pytaniami i wrażeniami z Polski. Czy po takich doświadczeniach postrzegasz nas jako religijnych fanatyków?

– Nie demonizowałbym tego. Oczywiście, że Polska jest ultrakatolicka, zarazem głęboko podzielona, rozczłonkowana, wciąż jednak żyje wśród was sporo ludzi, którzy z taką radiomaryjną narracją się nie zgadzają i wierzą, że da się jeszcze coś zmienić. Mnie w tej kwestii bardzo zaimponowali aktorzy z Teatru Powszechnego. Niektórzy z nich są wierzący, inni nie, ale wszyscy tworzą tę liberalną część społeczeństwa, która wbrew pozorom nie zamierza uśmiercić religii, a tylko pobudza do dyskusji na jej temat i przekonuje, że wiarę można postrzegać w inny sposób. Nie chcę stawiać diagnozy, snuć scenariuszy czy prognoz, bo jestem tylko czeskim turystą, który odbył kilkuletnią pielgrzymkę z kamerą po Polsce, ale już dostrzegam dużą zmianę kursu. Widzę coraz więcej zaangażowanych, młodych ludzi, którzy nie boją się wyjść na ulicę, jak za Solidarność, i stają do walki o swoją przyszłość. O to, by pozwolono im być tym, kim chcą. Innymi słowy – o to, co my, czescy bezbożnicy, nazywamy wolnością.

Mateusz Demski

MIĘDZY OKŁADKAMI

SERIAL

Aleksandra Marinina

Śmiech bogów

tłum. Aleksandra Stronka

Czwarta Strona, Poznań 2020



Moskwę przytłacza upał, a Nastię Kamieńską mniejsze i większe problemy, z finansowym na czele. Bank, w którym jej mąż miał konto, stracił licencję i nie wypłaci ani kopiejki. Lub raczej ani centa, zgodnie z realiami tamtego okresu, po dewaluacji rubla z 1998 r., gdy np. w co lepszych lokalach ceny podawano w „jednostkach umownych” (dolarach). „Śmiech bogów” to bowiem tom sprzed lat 20 – wydawnictwo uzupełnia cykl – z Kamieńską pracującą na

Pietrowce pod dowództwem „Pączka” Gordiejewa, choć ten już ją przygotowuje do samodzielnego podejmowania decyzji. I znów jest to Marinina, która tak zręcznie żongluje wątkami kryminalnymi i obyczajowymi, wzbogacając akcję codziennością bohaterów serii. Czistiakowie nieodmiennie jest dla żony opoką, Korotkow, którego awans wywołał dobrodusze kpiny, opija Nastię z kawy, Misza Docenko zmagają się z rozterkami uczuciowo-lokalowymi, a tajemniczy fan zespołu popularnego wśród małałatów wybiera kolejną ofiarę...

Aleksandra Pańko

NIEOBECNI

reż. Bartosz Konopka,

prod. Polska, Player.pl

U bohaterów seriali stacji TVN bez zmian: nadal mieszkają w bogato wyposażonych willach, jeżdżą na narty, gdy im się zachce, a nawet spontanicznie rezygnują z wypadu do Rzymu, bo mogą. Ale również w tym świecie luksusu i splendoru zdarzają się ludzkie dramaty, np. zaginięcia (według oficjalnych statystyk policji rocznie znika niemal 20 tys. Polaków – to jakby wymazał Wadowice). W „Nieobecnym” ginie bez śladu rodzina tancerki Mili Gajdy; dziewczyna na własną rękę prowadzi dochodzenie, choć sprawą zajmuje się Filip, gliniarz z aspergerem. Śledztwu warto dać szansę ze względu na Justynę Wasilewską i Piotra Głowackiego, którzy nie pieścą się ze swoimi postaciami. Nie grają na sympatię widza, tylko na oddanie targających Miłą i Filipem emocji. Ich relacja jest szorstka, a przez to wiarygodna. Zwłaszcza że scenarzystka Katarzyna Śliwińska-Kłosowicz odwróciła schemat i w tym niedopasowanym duecie to kobieta jest esencją siły i odwagi. Mniej przekonująco wypada stereotypowa panorama małego miasta, ale fani konwencji „każdy ma coś do ukrycia” przymkną na to oko dzięki niezłym motywacjom bohaterów drugiego planu. Obecność przed ekranem nieobowiązkowa, ale nieobecni tracą przyzwoitą rozrywkę.



Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

DOKUMENT

**NA PLECACH KUKUCZKI**

Niemal natychmiast po informacji o pierwszym zimowym zdobyciu K2 przez Nepalczyków Teatr Śląski z Katowic przesłał do sieci swój spektakl o Jerzym Kukuczce z 2018 r. Inszenizacja wspomina także o polskich próbach

i o tragicznych wypadkach w drodze na himalajskie szczyty. Akcja obraca się wokół naszego najlepszego wspinacza, niekiedy nawet sugeruje, że on też mógł być przyczyną różnych nieszczęść, choć sukcesami karmili się wszyscy. Śmierć Jerzego Kukuczki nie zakończyła sporów o sensowność podejmowanych wyzwań. Opowieść pełna szaleństwa, hłasu i majaczeń wprowadza nas w nastrój wydarzeń i odczuć towarzyszących ekstremalnemu wysiłkom człowieka.

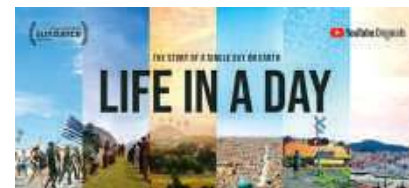
Bronisław Tumilowicz

„Himalaje”, tekst Dariusz Kortko, Artur Pałyga, Marcin Pietraszewski, reżyseria Robert Talarczyk, Teatr Śląski w Katowicach, VOD Teatru Śląskiego, 23 stycznia 2021

DZIEŃ Z ŻYCIA 2020

reż. Kevin Macdonald, YouTube, premiera 6 lutego

10 lat po oryginalnym dokumencie „Dzień z życia” YouTube i twórcy filmu poprosili ludzi na całym świecie, aby nagrywali przez tytułowy dzień swoje życie. Prośba została spełniona 25 lipca 2020 r., a materiały te wykorzystano w pełnometrażowym dokumencie Kevin Macdonald, reżyser takich filmów jak „Whitney” i „Ostatni Król Szkocji”. Było w czym wybierać. Do realizatorów trafiło ponad 300 tys. zgłoszeń ze 192 krajów, w kilkudziesięciu językach. I choć każdy dzień zwykłego człowieka może być niebanalną historią, w roku pandemii i wzmożonych ruchów społecznych szczególnie warci uwagi są badacze szczepionek na COVID-19 z Oksfordu, uchodzący z mniejszości etnicznej Rohingya oraz uczestnicy protestów Black Lives Matter. Film zostanie bezpłatnie udostępniony widzom po światowej premierze na Festiwalu Filmowym w Sundance (1 lutego).



Kolumnę przygotowała Agata Gogolkiewicz

Arabski szejik w Beitarze

Pojawienie się inwestora z Emiratów może zrewolucjonizować izraelski klub piłkarski, znany z rasistowskich i antyarabskich ekscesów swoich kibiców

Tomasz Skowronek

Od kiedy Izrael i Zjednoczone Emiraty Arabskie podpisały traktat pokojowy, nie ma tygodnia bez ogłoszenia nowych porozumień gospodarczych. Firmy *high-tech*, przemysł farmaceutyczny, rolnictwo, sektor bezpieczeństwa, banki czy uniwersytety – wszyscy zaczynają współpracować. Kwestią czasu było, kiedy kooperacja wkroczy w świat sportu. Sprzedaż członkowi rodziny królewskiej z Abu Zabi 50% akcji izraelskiego klubu piłkarskiego jest jednym z najbardziej spektakularnych aktów normalizacji stosunków między Izraelem a ZEA.

To nie trofea zapewniły rozgłos Beitarowi Jerozolima, bo o tym klubie mowa, ale trybuny. Od dziesięcioleci na Teddy Stadium praktycznie na każdym meczu rozbrzmiewają rasistowskie pieśni: „Mahomet nie żyje” i „Śmierć Arabom”. Do tej pory klub nie pozwolił żadnemu arabskiemu graczowi założyć czarno-żółtej koszulki z siedmioramiennym świecznikiem. Ale od ponad miesiąca szefem klubu jest szejik Hamad ibn Chalifa.

Decyzja o sprzedaży akcji klubu Arabowi wywołała oburzenie radykalnych kibiców, znanych jako La Familia. Kilka godzin po ogłoszeniu transakcji na murach stadionu pojawiły się obraźliwe hasła: „Śmierć Arabom”, „J... Dubaj” czy „Nie możecie nas kupić”. Najbardziej zagorzali kibole wdarli się nawet na trening.

Mimo to właściciel klubu, izraelski biznesmen powiązany z branżą IT, Mosze Hogeg, pogratulował sobie symbolicznego porozumienia: „Szejik Hamad i ja chcemy pokazać światu, że Żydzi i muzułmanie mogą razem robić wielkie rzeczy i inspirować młodsze pokolenia. Uwielbiam piłkę nożną i pomyślałem, że kupno Beitaru to okazja do rozwiązania problemu rasizmu, który szkodzi reputacji zespołu. I że da się zrobić coś większego niż piłka nożna”.



Kilka dni po ogłoszeniu sprzedaży akcji klubu najbardziej radykalni kibole wdarli się na trening. Jerozolima, 11 grudnia 2020 r.

Zawsze czyści

Klub został założony w 1936 r. przez Shmuela Kirschsteina i Davida Horna, którzy przewodniczyli ruchowi syjonistycznemu Betar w Jerozolimie. Kilku członków zespołu należało także do zdelegalizowanych milicji Irgun i Lehi, blisko związanych z prawicowym ruchem rewizjonistycznego syjonizmu, które przeprowadzały ataki na cele arabskie i brytyjskie. Dewizą klubu było „Zawsze czyści”, co miało oznaczać, że w jego barwach nigdy nie zagra Arab ani inny muzułmanin.

Piłka nożna często bywała polem gry politycznej – nie inaczej było w Izraelu. Wiele tutejszych klubów ma ideologię wpisaną w nazwę. Kluby robotnicze, bliższe lewicy, nazywają się zazwyczaj Hapoel, czyli robotnik. Beitar natomiast zachował silne powiązania z prawicą. Uchodzi za najbardziej żydowski z żydowskich klubów. „Beitar wykracza daleko poza futbol – mówi Amitzia, który kibicuje klubowi od dzieciństwa. – Reprezentuje tradycję i Jerozolimę. To związek

z żydowską tożsamością”. I chociaż wielu fanów i graczy Beitaru wychowało się w Jerozolimie, klub cieszy się szerokim poparciem w całym kraju, szczególnie wśród Mizrachijczyków, czyli mieszkających na peryferiach Izraela arabskich Żydów, którzy masowo wyemigrowali z krajów arabskich i muzułmańskich. Tacy imigranci, zwłaszcza z Afryki Północnej, często byli traktowani z pogardą, dyskryminowani i spychani na sam dół drabiny społecznej. W tym czasie u władzy była lewicowa partia Mapai, więc za swój status społeczny Mizrachijczycy winili rządzącą lewicę. Beitar uchodził za klub nie tylko prawicowy, ale i mocno opozycyjny. Podczas gdy w ostatnich latach podziały polityczne w klubach wygasły, drużyna ze „świętego miasta” pozostawała bastionem politycznej prawicy, a grupa zwolenników założonej w 2005 r. La Familii otwarcie obrażała mniejszość arabską w Izraelu. Ultras mają bliskie powiązania ze skrajnie prawicowymi politykami i otwarcie identyfikują się z wyjętym spod prawa ruchem Kach,

dążącym do ustanowienia teokracji i wypędzenia wszystkich Arabów z kraju oraz terytoriów, które Izrael zaanektował w 1967 r.

Wizytówka Likudu

Rasizm istnieje nie tylko na trybunach, ale także na boisku. W 2007 r., kiedy Beitar zdobył Puchar Izraela, zawodnicy odmówili podania ręki ministrowi sportu Ralebowi Madżadelemu, ponieważ był Arabem. Beitar to jedyny profesjonalny klub izraelski, który nigdy nie miał w składzie arabskiego zawodnika, choć żydowscy i arabscy piłkarze regularnie występują razem, a kapitanem reprezentacji jest muzułmanin Bibras Natcho.

Hamad ibn Chalifa zobowiązał się do zainwestowania w zespół 76 mln euro.

Kiedy w 2013 r. ówczesny rosyjski właściciel klubu podpisał kontrakt z dwoma muzułmańskimi Czeczenami, byli oni opluwani i obrażani przez fanów Beitaru, tak że po sezonie zostali niemal zmuszeni do opuszczenia zespołu. Ultrasi podpalili nawet biura klubu. Kiedy jeden z Czeczenów strzelił swojego pierwszego gola, ze stadionu wyszło wielu kibiców.

„Antyarabska grupa La Familia jest tak brutalna, bo pozwalają na to przywódcy Izraela – mówiła w wywiadzie dla gazety „Ha-Arec” doktorantka Uniwersytetu Ben Guriona, Sophia Solomon, która bada problem ultrasów Beitaru. – Przemoc grupy przynosi korzyści zarówno zespołowi, jak i politykom”. Faktem jest, że prawicowi politycy, m.in. premier Benjamin Netanjahu i prezydent Reuven Rivlin, często przychodzą na mecze klubu, zwłaszcza w trakcie kampanii wyborczych. Beitar to poniekąd jedna z wizytówek rządzącego Likudu.

Gdy w 2015 r. część opozycji i organizacji społecznych zaproponowała, aby zdelegalizować La Familię, spotkało się to z oporem izraelskiej prawicy, a konkretnie ówczesnej minister sportu i obecnej minister transportu Miri Regev z Likudu. „Powinniśmy dążyć do współpracy z La Familią w celu potępienia przemocy, a nie jej zakazania”, powiedziała Regev na posiedzeniu Komisji Ustawodawczej, na którym omawiano wniosek. Podczas masowych protestów przeciw

rządowi Netanjahu w 2020 r. członkowie La Familii wychodzili na ulice naprzeciw demonstrantom, a nawet ich przepędzali.

Petrodolarzy podciągną w tabeli?

Jak na ironię to właśnie polityka Netanjahu pośrednio doprowadziła do wykupu klubu przez arabskiego szejka. „Premier przybił kosztowną pieczęć na umowie między Beitairem i Hamadem ibn Chalifą, a jego fani, nawet La Familia, nie wystąpią przeciwko Netanjahu”, twierdzi Raanan Rein, profesor historii na Uniwersytecie w Tel Awiwie. „Chociaż La Familia zorganizowała kilka demonstracji i prawdopodobnie nadal będzie

protestowała, ostatecznie pójdzie za wskazówką partii Likud, dopóki Netanjahu – populistyczny przywódca, którego autorytarny styl popiera wielu fanów Beitaru – pozostanie na jej czele”, mówi Rein lewicowemu portalowi Magazine937.

Warto odnotować, że właściciel klubu Mosze Hogeg spotkał się z rabinem Chaimem Kaniewskim, duchowym przywódcą ultraortodoksyjnej społeczności Izraela, i dostał błogosławieństwo dla swoich działań. Hogeg, odkąd w 2018 r. przejął klub, regularnie próbuje zwalczać rasizm na stadionie. Pojawienie się inwestora z Emiratów może zrewolucjonizować klub piłkarski, znany dotychczas z rasistowskich i antyarabskich ekscesów swoich kibiców.

Według izraelskich mediów La Familia stanowi ok. 20% fanów Beitaru. Mimo to potrafią oni narzucić swoją narrację większości. Ale poparcie dla nich spada. Mainstreamowi zwolennicy coraz częściej mają już dość patrzenia, jak ich klub marnieje, są coraz bardziej skłonni do konfrontacji z radykałami. „Większość kibiców powoli zrozumiała, że jak długo klub jest powiązany z rasizmem i przemocą, nigdy więcej nie wygra mistrzostw”, mówi Mosze Ziat, prowadzący podcast piłkarski Tzion 3. Kibice antyarasistowscy wydają się lepiej organizowani niż jeszcze parę lat temu.

Wielu fanów w mediach społecznościowych pogratulowało klubowi

zawarcia umowy z szejkiem, mając nadzieję, że przyniesie ona sukces sportowy. Część komentarzy nawoływała do rozprawienia się z La Familią. Dla kibica Netanela Avrahama to szansa dla tego grona fanów na odzyskanie władzy nad narracją i wizerunkiem klubu. „Ludzie powinni zobaczyć, że Beitar Jerozolima nie jest zespołem rasistów – podkreśla. – Mam nadzieję, że nowy współwłaściciel wprowadzi konkretne zmiany. Z powodu tego, co działo się na meczach, nie byłem na stadionie od 2015 r. Ale kiedy będę mógł, chętnie znów zobaczę na żywo grę Beitaru. Myślę, że nadszedł również czas, aby większość nierasistowskich, pokojowo nastawionych fanów odzyskała stadion”.

Sześciokrotny mistrz Izraela ostatnio znajduje się w środku tabeli ligowej. Hogeg liczy, że za sprawą petrodolarów nie tylko zmieni oblicze na trybunach, ale także pójdzie śladami PSG i Manchesteru City, które dzięki arabskim pieniądзом wskoczyły na najwyższy poziom w Europie. Hamad ibn Chalifa zobowiązał się do zainwestowania w zespół 76 mln euro – w skali izraelskiej piłki nożnej to bardzo duże pieniądze.

„Przejęcie Beitaru przez arabskiego szejka można uznać za punkt zwrotny dla klubu – zauważa Afif Abu Much, felietonista portalu Al-Monitor – ale jest to także dowód na to, że pieniądze kupują wszystko, nawet rasistów!”.

Nowy numer tygodnika „NIE”:
Zbrodnia typowa dla pisowskiego państwa.



Umysł lubi zaskoczenia

Gry skracają czas reakcji, poprawiają pamięć krótkotrwałą, umiejętność planowania i podejmowania decyzji

Paula Leśniewska

Im dłużej trwa pandemia i *lock-down*, tym więcej osób narzeka na marazm, problemy z koncentracją, obniżenie nastroju. – Do tej pory funkcjonowaliśmy w wyraźnie określonych obszarach: w domu mieszkaliśmy, w pracy pracowaliśmy, uczyliśmy się w szkole – mówi Marta Malejczyk, terapeutka współpracująca z Fundacją Doliczony Czas. – Każdy miał też własne sposoby spędzania wolnego czasu i radzenia sobie ze stresem: spacer, siłownia, basen, joga, zakupy, kino, teatr, koncert, restauracja... Tymczasem od wielu miesięcy cały nasz świat zamyka się w czterech ścianach. Zatarły się wszystkie dotychczasowe granice.

W dużej mierze od stanu umysłu zależy nasze samopoczucie. Jak więc odświeżyć umysł? Jest na to wiele sposobów. – Gra w szachy i warcaby, gra w karty, rozwiązywanie krzyżówek i łamigłówek, nauka piosenki lub wiersza na pamięć, zapamiętywanie np. listy zakupów – wylicza na portalu Psychiatria.pl dr Magdalena Kacperska. – Inne sposoby to uprawianie sportów, joga, mycie zębów lub czesanie włosów inną ręką niż zwykle. Konieczne są czytanie książek, gazet, nauka języka obcego, nauka gry na instrumencie lub wykonywanie obliczeń matematycznych bez użycia kalkulatora – radzi dr Kacperska.

Można spróbować ruszyć głową przy grach. Jak podaje strona internetowa Harvard Medical School,

(polską wersję „Architektów Zachodniego Królestwa” wydała firma Portal Games), gracze wcielają się w nadwornych architektów z końca imperium Karolingów. W trakcie gry trzeba decydować, co i jak zbudować, kogo zatrudnić, a poza tym czy podłożyć innemu graczowi świnię i zwyciężyć. Tak wciągające gry planszowe nie tylko ćwiczą myślenie, ale również integrują ludzi i świetnie sprawdzają się jako rozrywka w zimowe wieczory.

Dla ukojenia nerwów można sięgnąć po inną grę nagrodzoną przez Mensę – „Photosynthesis” od Blue Orange Games (też wydaną w polskiej wersji przez Portal Games). Celem jest tu uprawa drzew. Należy zaplanować ich rozmieszczenie i pielęgnować rośliny od ziarenka. Gra jest spokojna i estetyczna, idealna dla zestresowanych.

Portal Planszowa Gra Roku (planszowagraroku.pl) przyznaje nagrody najlepszym grom w języku polskim. Autorem roku został Adam Kwapiński, twórca „Hard City” i „Nemesis”. W świecie „Hard City” gracze stają się funkcjonariuszami miejskiej policji. Oprawa graficzna, inspirowana



Musimy odnaleźć się w zupełnie nowej scenerii i nie jest to łatwe. Poza tym na spadek koncentracji mogą wpływać emocje, które nam towarzyszą w związku z pandemią: niepokój, strach, niepewność. Osoby, z którymi rozmawiam, często opowiadają o natłoku niespokojnych myśli. Do tego dochodzą trudności ze spaniem. Czytałam badania, które wskazują, że od czasu pandemii nawet 40% osób cierpi na bezsenność. Trudno wtedy o koncentrację.

gry umysłowe skracają czas reakcji, poprawiają pamięć krótkotrwałą, umiejętność planowania i podejmowania decyzji, stymulują umysł i trenują koncentrację. Aby trening był efektywny, trzeba umysł zaskakiwać nowymi zadaniami. Każdego roku na swojej stronie internetowej Mensa prezentuje najciekawsze gry planszowe. W 2019 r. wygrały przede wszystkim gry strategiczne. W jednej z nich, „Architects of the West Kingdom” od Renegade Games Studios

estetyką filmów sensacyjnych lat 80., przypadnie do gustu retromaniakom. Z kolei „Nemesis” wciągnie fanów horrorów i filmów „Obcy”. Gracze wcielają się w członków załogi kosmicznego transportowca, jednak rejs nie idzie zgodnie z planem i pasażerowie muszą walczyć o przetrwanie. Obie gry Adama Kwapińskiego mają bardzo dobre recenzje.

Świetny wybór gier oferuje Wydawnictwo Nasza Księgarnia. Bestsellerowy „Sen” to prosta gra karciana

o pięknej szacie graficznej, którą zaprojektował Marcin Minor. Spodoba się młodszemu i starszemu – każdemu, kto lubi pofantazjować. Karty to osobne krainy, w których mieszkają kruki. Niektóre krainy są mroczne i straszliwe, inne piękne i przyjemne. W rozgrywce chodzi o to, by w swojej puli kart, czyli w swoim śnie, mieć jak najmniej kruków. Gra kończy się, gdy ktoś zbierze sto kruków.

Dla tych, którzy mają smykałkę artystyczną, dobrym pomysłem są gry figurkowe. Najpopularniejsze wydaje Games Workshop – to „Warhammer Age of Sigmar”, „Warhammer 40.000” i „Władca Pierścieni”. Kodeksy tych gier są w większości po angielsku, ale istnieje polska społeczność entuzjastów gier figurkowych, więc o podstawowych zasadach można się dowiedzieć z internetu. Do rozgrywki niezbędna jest armia, którą trzeba składać i malować. Samo jej przygotowanie trwa wiele godzin. Gry figurkowe rozwijają nie tylko myślenie logiczne, ale również kreatywność i umiejętności plastyczne.

Stres i nadmiar bodźców można złagodzić przez systematyczne

emocje. Marta Malejczyk proponuje proste ćwiczenie: świadome oddychanie. – Oddychanie składa się z czterech faz: wdech, chwilowe zatrzymanie powietrza, wydech i krótki bezdech – wyjaśnia terapeutka. – Licząc do czterech, wciągnij powietrze, zatrzymaj powietrze, policz do czterech, wypuść powietrze. Znow licząc do czterech, pozostań w bezruchu. Oddychaj tak kilka razy. Koncentrując

Jeżeli opanujemy sztukę oddychania, możemy wpływać na swoje emocje.

uwagę na oddechu i liczeniu, odwracamy myśli od tego, co aktualnie się dzieje, a nieprzyjemne emocje słabną.

Innym sposobem na odprężenie ciała i umysłu jest trening autogenny Schultza. – To ćwiczenie bardzo często robiłam z grupą, wykorzystując w tle bardzo spokojną muzykę, dźwięki przyrody – kontynuuje terapeutka. – Proszę, aby osoba położyła się wygodnie, zamknęła oczy, rozluźniła wszystkie mięśnie. Następnie, by oddychała lekko, równo i spokojnie. Kolejne wskazówki padają w pierwszej

Z kolei trening Jacobsona pomaga w stanach lękowych i korzystnie wpływa na jakość snu. Marta Malejczyk: – Edmund Jacobson uważał, że „zaniepokoiony umysł nie może istnieć w zrelaksowanym ciele”. Zgodnie z jego teorią zmniejszenie napięcia mięśni powoduje odprężenie ciała. Ćwiczenia zaczyna się od rozluźnienia całego ciała. Następnie napinamy i rozluźniamy konkretne mięśnie:

weź wdech, zaciśnij dłonie, wytrzymaj pięć sekund, wypuść powietrze, jednocześnie rozluźniając dłonie. Powtarzaj z różnymi partiami mięśni, napinając kolejno mięśnie twarzy, ramiona, klatkę piersiową, brzuch, uda... Wdech, napięcie pięć sekund, wydech, rozluźnienie. W czasie napięcia konkretnych mięśni staraj się rozluźniać resztę ciała. Widzę, że początkowo ludzie potrafią wykonywać to ćwiczenie, wyłącznie leżąc. Później stosują tę technikę nawet w czasie jazdy tramwajem.

Nie tylko ćwiczenia mentalne odświeżają umysł. Także dobrze skomponowana dieta, oparta na sezonowych warzywach i bogata w oleje omega-3. Warto jeść orzechy, nasiona chia i ryby, szczególnie łosось pacyficznego, śledzia atlantyckiego, pstrąga tęczowego i makrełę atlantycką. Dobrym nawykiem jest zachowanie aktywności fizycznej, choćby pójście na spacer. – Gdy się ruszamy, w dobrze dotlenionym mózgu wzrasta stężenie neuroprzekazników i wydzielają się endorfiny, zwane hormonami szczęścia. Zmniejszają one odczuwanie bólu, poprawiają nastrój i sprawiają, że chce się żyć – mówi psycholog Krzysztof Minge.

Umysł potrzebuje doświadczenia piękna i natury. Jak mawiał Richard Jefferies, angielski pisarz z XIX w., „godziny, gdy nasz umysł pochłonięty jest pięknem, to jedyny czas, gdy naprawdę żyjemy”. Dlatego nie zapomnijmy o wykorzystywaniu możliwości, które mamy – szczególnie internetu. Można zwiedzić niemal cały świat, nie wychodząc z domu. I chociaż to zaledwie namiastka podróży, warto spróbować. Być może odkryjemy coś niezwykłego.

p.lesniewska@tygodnikprzeklad.pl



ćwiczenia relaksacyjne. – Pierwszym krokiem może być uważne przyjrzenie się swojemu oddechowi – mówi Marta Malejczyk. – Ten naturalny proces często jest zakłócony przez stres, napięcie psychiczne i fizyczne, a nawet zbyt ciasne ubranie. Emocje, szczególnie bardzo intensywne, znajdują odbicie w sposobie oddychania – tłumaczy. Kluczowa jest spokojna obserwacja oddechu w wygodnej pozycji. Jeżeli opanujemy sztukę oddychania, możemy wpływać na swoje



osobie: rozluźniam prawą rękę, moja ręka staje się ciężka, tak ciężka, że nie mogę już nią poruszyć, moja lewa ręka rozluźnia się... i tak powoli przechodzimy przez wszystkie kończyny, wszystkie części ciała, aż na końcu: odczuwam głęboki spokój, ten spokój zostanie we mnie, daje mi on siłę i pewność siebie, otwieram oczy, mam uczucie odświeżenia i rzeźkości, jest mi lekko i dobrze. To niezwykle ćwiczenie jest naprawdę głęboko relaksujące.

Konrad Malec

Polacy uważają, że ryby to nie zwierzęta, co zapewne wynika z religii i przyzwolenia na jedzenie ryb w czasie postu. Pieczarka to nie grzyb, choć właśnie od pieczarek pochodzi „rosnąć jak grzyby po deszczu”. I jeszcze drób to nie ptaki (takie przekonanie wyrażają czasem nawet nauczyciele biologii). Szerzej, ptaki to nie zwierzęta. A właściwie zwierzęta, ale „takie inne”, jak mnie poinstruowano w dzieciństwie. Zapewne dlatego ptaki mają króla niezależnego od lwa. Zapraszam na opowieść o ptasim władcy.

Jak to w baśni, rzecz działa się dawno temu. Ptaki zebrały się na sejmiku, by wybrać władcę, bo każdy chce mieć króla. Dziś to dziwne, ale kiedyś powszechnie chciano, zapewne monarcha był ostoją względnej stabilności. Uważały, że królem powinien być orzeł, ponoć taki był zamysł samego stwórcy, ale władca przed koronacją winien się wykazać pewnymi przymiotami.

Mysikróliki najłatwiej dostrzec właśnie teraz – zimą. Wystarczy pójść do lasu, a nawet do parku, byle były drzewa iglaste.

Ptaki uradziły, że królem zostanie zwycięzca turnieju. W szranki mieli stanąć wszyscy pierzaści obywatele, a władcą miał zostać ten, który najwyżej wzleci w przestworza. Nikt nie miał wątpliwości, że orzeł wzniesie się najwyżej. Małeńki mysikrólik z goryczą myślał o swoich szansach, jednak tuż przed startem wpadł na koncept i szybko wskoczył orłowi pod pachę. Gdy wszystkie ptaki bujały na maksymalnym pułapie swoich możliwości i gdy zaczęto wiwatować na cześć orła, mysikrólik wyskoczył spod orlej pachy i ktoś nagle wykrzyknął: „Patrzcie, ten mały jest jeszcze wyżej”. (Ponoć to była sroka, ale nie ma co do tego pewności). W ten sposób najmniejszy europejski ptak został władcą wszelkiego pierzastego stworzenia.

Z lektury podań ludowych wnioskuję, że ludzie od zawsze usiłovali zrozumieć przyrodę. Ta klechda nie tylko wyjaśniała cechy szczególne mysikrólika, ale też dawała nadzieję, że nawet najniżej urodzony ma



Ptasi król

Gniazdo mysikrólika jest świetnie ukryte, można je znaleźć jedynie przypadkiem

szansę się wybić dzięki sprytowi. Ludzkie nadzieje niemal zawsze są złudne, ale mysikrólik władcze przymioty bez wątpienia posiada. Choć osiąga długość ledwie 9 cm, a waży zaledwie 7 g, ma na głowie żółty pasek, kojarzony z koroną. Skojarzenie to było znane nie tylko polskiemu ludowi, łacińskie imię ptaszyny, czyli nazwa naukowa, to *Regulus regulus*, co wywodzi się od *rex*, czyli króla. Choć zdaje się, że samo *regulus* to zdrobnienie, ledwie królewicz. Po prawdzie to i nasza rodzima nazwa zawiera zdrobnienie – królik, czyli król, a mysi, bo mały.

Mimo niewielkich rozmiarów ptak nie odlatuje na zimę, co zapewne wywierało ogromne wrażenie. Zresztą nie tylko na dawnym ludzie, sam nie mogę się nadszwić. Ogrzewanie jest niezwykle energochłonne, wie o tym każdy, kto ogrzewa mieszkanie prądem. Podobnie jest z wydatkami energetycznymi żywych organizmów.

Przykładowo żaby nie ponoszą wielu kosztów związanych z ogrzewaniem ciała – ich temperatura jest zależna od temperatury otoczenia. Zimą hibernują. Tymczasem małeńki mysikrólik przez cały rok utrzymuje temperaturę 40 st.! Zimowe noce są nie tylko długie (w szczytowym momencie trwają 16 godzin), ale też bywają mroźne, ot, jak choćby niedawne, gdy wpadła w odwiedziny bestyjka ze wschodu – na Kurpiach mieliśmy 25 st. poniżej zera. To oznacza, że ten małeńki ptak musi w dzień zbierać tyle energii, by utrzymać własną temperaturę i nie zamrznąć. W jego przypadku musi to być niczym taniec na cienkiej nitce, im mniejsza masa ciała, tym bardziej niekorzystny stosunek masy do powierzchni, a to oznacza większe straty ciepła. Przy wspomnianych mrozach nie było mi przesadnie ciepło mimo kilku warstw odzienia, ognia w piecu i solidnych porcji jedzenia również po zmroku. Tymczasem mysikróliki

o świcie pojawiały się na okolicznych świerkach i wesoło poćwierkiwały, wyszukując pokarm.

I tu przechodzimy do kolejnego elementu, który budzi podziw. O ile latem nie dziwię się, że cienkim dzióbkiem chwytają owady, tudzież wygrzebuje je z różnych zakamarków gałązek drzew iglastych, o tyle zimą jestem zaskoczony umiejętnością wyszukania stosownej ilości pożywienia. Pokarmem zimowym mysikrólików są w znacznej mierze jaja niewielkich owadów, których larwy wiosną żerują na igliwiu sosen i świerków. Niektóre źródła podają, że to połowa strawy, inne, że niemal wyłączna dieta zimowa. Ja skłaniam się ku pierwszej tezie, u nasady igieł, szczególnie w bardzo gęstych końcówkach gałązek, gdzie mysikróliki szczególnie ochoczo urzędują, znajduje się sporo owadzych oprzędów i poczwerek. Aby przeżyć mroźną i długą noc, mysikrólik zapewne zjada ok. 15 g pokarmu. Usiłowałem sprawdzić wagę jaj owadów, ale słabo mi poszło, zadzwoniłem więc do prof. Macieja Bartosa, nauczyciela akademickiego, który w czasie moich studiów zastąpił budowę pierwszego, i najpewniej jedynego, kina dla pajaków. Kiedyś o tym napiszę, to były bardzo ciekawe badania, w każdym razie jemu właśnie zawdzięczam informację, że jajo czerwonończyka płomieńca, średniej wielkości motyla, waży 0,086 mg. Przy subiektywnym założeniu, że

których dostaję radę, by zainwestować w aparat słuchowy. Zawsze odpowiadam, że go nie potrzebuję, ponieważ bez problemu słyszę śpiew mysikrólika. Mysikróliki odzywają się bardzo wysokimi głosami, a nasze uszy z wiekiem tracą zdolność słyszenia tych tonów. Jeden z dawnych przyrodników skarżył się w liście do przyjaciela, że jego spacer po lesie zubożały, bo nie słyszy już śpiewu mysikrólika. Kiedy i ja zacznę mieć problemy z ich

Mysikrólik osiąga długość ledwie 9 cm, a waży 7 g, na głowie ma żółty pasek, kojarzony z koroną.

usłyszeniem, na pewno zainwestuję w aparat słuchowy. A może do tego czasu nasze państwo na tyle się ucywilizuje, że będzie on się należał bez kilkuletniej kolejki i we właściwej jakości?

O ile usłyszeć mysikrólika można zawsze, o tyle piosenkę słyszymy najczęściej w sezonie godowym. Rzecz jasna, podstawową rolę pieśni jest oznaczenie terytorium, zwabienie partnerki i wspólne uwić gniazda. Przykro mi, że nigdy nie spotkałem gniazda mysikrólika i znam je tylko z opisów i zdjęć. Mój ulubiony ornitopisarz, Jan Sokołowski, autor fundamentalnych „Ptaków ziem polskich”, wspominał, że gniazdo mysikrólika jest świetnie ukrytym, prawdziwym arcydziełem,

Z wagą i pozostawianiem na zimę nie wszystko jest tak proste jak w klechdach. Na dalekiej północy dzień jest stanowczo za krótki, by zgromadzić pokarm na przetrwanie długiej, skandynawskiej nocy. Z tego powodu tamtejsze ptaki przylatują do nas na zimę, a nasze, przynajmniej częściowo, wędrują nieco na południe. Część ptaków zimuje w Afryce Północnej, choć nie wiadomo z których rejonów Europy. Wbrew pozorom tą wędrówką

również dają one wyraz wielkości skrytej w mikrym ciełe, ponieważ przelatują nad otwartym morzem. Wiele znacznie większych ptaków, np. orliki, tej sztuki nie potrafi. Wynika to z przystosowań do odmiennych typów lotu i z gabarytów, orliki głównie szybują, mysikróliki lecą aktywnie – tak małe organizmy nie mają odpowiedniej powierzchni skrzydeł, by móc szybować. Niemniej jednak to wielkie wyzwanie. Z danych prowadzonych podczas obrączkowania ptaków przez Akcję Bałtycką na polskim Wybrzeżu wynika, że przebycie Morza Śródziemnego Północy kosztuje te ptaki 3 g tłuszczu. W momencie startu ważą 7 g, przelatując nad Bałtykiem, tracą więc prawie połowę masy ciała. Majestatyczny wyczyn.

Mysikróliki najłatwiej dostrzec właśnie teraz – zimą. Wystarczy pójść na spacer do lasu, po wsi, a nawet do miejskiego parku, byle były drzewa iglaste. Przy odrobinie uwagi na pewno dostrzeżecie małe, krępe ptaszki z żółtym irokezem, które niekiedy w dziwnych pozach zwisają z końcówek gałązek albo zawisają przy nich w powietrzu i wydziobują smaczne kąski z ich zakamarków. Tuż koło domu pokazałem niespełna dwuletniej córce żerujące mysikróliki. Teraz, gdy przechodzimy w tym miejscu, wyciąga rączkę w kierunku świerków i krzyczy „nen!”, co w jej języku oznacza wszelkie elementy przyrody z osobna i wszystkie razem zarazem. Życzę państwu udanych spacerów i wielu nen!

Niewielkich rozmiarów ptak nie odlatuje na zimę i przez cały rok utrzymuje temperaturę 40 st.

to przeciętna masa jaj owadów i że mysikrólik zjada dziennie 7 g, daje to nam dobrze ponad 81 tys. jaj! Co sprawia, że owo maleństwo jest największym sprzymierzeńcem leśników i innych plantatorów drzew iglastych. Aż dziw bierze, że nie wystawili mu ani jednego pomnika. Dla porządku tylko dodam, że akurat jaja samego czerwonończyka płomieńca raczej nie wchodzi w skład mysikróliczej diety, ich gąsienice nie żywią się bowiem iglakami.

Zdradzę czytelnikom sekret rodzinny – otóż dość często nie mogę zrozumieć, co mówi do mnie żona. Bywa to przedmiotem napięć, po

które można znaleźć jedynie przypadkiem. Zwykle ukryte jest wysoko, zawieszone pod gęstą, świerkową gałęzią, co znacznie utrudnia jego wypatrzenie. Tym, co w owym gnieździe zaskakuje, nie jest nawet jego miękkość i rozciągliwość, ani że jest kulą ściętą od góry, lecz jego zawartość – jaja ważą 120% wagi samicy! To rekord wśród naszych ptaków śpiewających, a spoza tej grupy niewiele innych je przebija. Jaja wysiaduje samica, partner w tym czasie intensywnie poluje, by wyżywić ją i siebie, w końcu musi schwycić czterokrotność własnej masy. Imponujący wyczyn.



Słodcyholicy

Cukier to na tyle silny bodziec, że śmiało może konkurować z twardymi narkotykami

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Jaki jest sens wprowadzania w Polsce podatku cukrowego tylko od napojów?

– Faktycznie wokół tematu narosło dużo kontrowersji. Jednak na bazie doniesień z innych krajów, a ponad 30 państw ma już podobne rozwiązania, widać, że obłożenie ich podatkiem może się przyczynić do zmniejszenia spożycia cukru. A jego mniejsza ilość w diecie to też mniej ryzyko otyłości, pośrednio też chorób niezakaźnych, cywilizacyjnych, z cukrzycą na czele. Co zresztą widać już na przykładzie Berkeley w Kalifornii, gdzie dzięki podatkowi cukrowemu i odpowiedniej edukacji spożycie tego typu napojów w ciągu trzech lat spadło o 52%.

Dlaczego w takim razie podatkiem cukrowym objęto także napoje z substancjami słodzącymi innymi niż cukier?

– To również ma charakter prozdrowotny. Celem jest ograniczenie konsumpcji napojów energetycznych z dodatkiem słodzików, tauryny i kofeiny, które bez problemu mogą dostać nawet najmłodsi. Dodatkowo ważne jest pokazanie braku

społecznej akceptacji dla faktu, że napój słodzony równa się woda. Jeżeli kolorowe napoje są w cenie wody, wybór często pada właśnie na nie.

Zgoda, tyle że cukier (i jego pochodne) dodawany jest teraz praktycznie do wszystkiego.

– Niestety, cukier jest nawet tam, gdzie najmniej się go spodziewamy, czyli m.in. w wędlinach i konserwach, a także wszelkich sosach, w tym ketchupach i musztardach. Choć można go spotkać też w pieczywie – dodawany jest dla koloru albo lepszej trwałości, bo wtedy, jak wiadomo, towar dłużej poleży na sklepowej półce.

W puszcze gotowej zupy może być nawet pięć łyżeczek cukru, a w szklance soku pomarańczowego – sześć.

– Jeszcze gorszy może się okazać sok marchewkowo-owocowy, w którym marchewka pojawia się jedynie w nazwie, chyba dla ukrycia ilości cukru. Podobnie jest z napojami mlecznymi, np. jogurtami smakowymi, gdzie w jednym opakowaniu można znaleźć ponad 11 łyżeczek. Czasami dzieci na śniadanie dostają taki jogurt z płatkami śniadaniowymi, w których porcji znajdziemy nawet siedem łyżeczek cukru. Ale warto



MIKOŁAJ CHOROSZYŃSKI

– psychodietetyk, wykładowca akademicki i autor bestsellerowych publikacji o odżywianiu. Jest członkiem Polskiego Stowarzyszenia Pomocy Osobom z Chorobą Alzheimera i Polskiego Towarzystwa Medycyny Stylu Życia.

uważać też na inne produkty – nawet do konserwowego groszku czy kukurydzy dodaje się cukier! Podobne przykłady można zresztą mnożyć. Przy czym warto wiedzieć i to, że cukier cukrowi nierówny. Pomidory, które w rzeczywistości są jagodami, czyli owocami, umownie tylko nazywane warzywami, same w sobie również zawierają cukier. Jednak jest go niewiele – 2,6 g na 100 g, czyli objętość pół łyżeczki.

Niby są etykiety...

– ...ale kto je w ogóle czyta! Badanie przeprowadzone przez Inquiry Market Research z 2014 r. pokazało,



Ale dlaczego?!

– Ponieważ ma inny szlak metaboliczny niż glukoza, podobny zresztą do metabolizmu alkoholu. Fruktaza omija szlak insulinowy i bezpośrednio przedostaje się do wątroby. A przez to powoduje jej stłuszczenie, zwłóknienie, stany zapalne, z czasem martwicę. To coraz powszechniejszy problem, bo z uszkodzeniem wątroby do lekarzy zgłaszają się już nawet dzieci!

Ale przecież fruktoza to jeden ze składników owoców.

– Nazwa fruktoza pochodzi z łacińskiego *fructus*, czyli owoc. Tak! Ale fruktoza w owocach nie jest szkodliwa, bo jest powiązana z błonnikiem.

Producenci mają już ok. 60 określeń cukru na etykietach.

że ok. 21,7% Polaków. Mało! Wśród moich pacjentów nie więcej niż jedna trzecia.

A gdyby nawet, to kto je tam rozumie!

– Pełna zgoda, ale problem jest bardziej złożony. Po pierwsze, jest nim sama klasyfikacja etykiet – co do zasady polega na tym, że wyliczamy składniki w zależności od procentu ich zawartości w produkcie. Na samym początku to, czego jest najwięcej. Ale jeżeli właśnie cukru jest najwięcej, a producent nie chce do tego do końca się przyznać, da jako pierwszy składnik mąkę czy mleko. Niech stanowi dajmy na to 50% produktu. Po czym dorzuci trzy różne rodzaje cukru, każdy po 20%, tak że łącznie będzie go 60%, i w ten sposób fakt ten ukryje. Po drugie, producenci mają już ok. 60 określeń cukru na etykietach. Cukier, cukier puder, cukier brązowy, miód, agar, sacharoza, glukoza, fruktoza, syrop glukozowy, glukozowo-fruktozowy, melasa trzcinowa, buraczana, karmel, ekstrakt siodu jęczmiennego, choć mogą to być też maltoza, ksyliza, dekstroza oraz dekstryny i maltodekstryny. Wystarczy poczytać skład płatków śniadaniowych bądź innych słodczy. Najzdrowsze i zarazem najdroższe wydają się stewia, ksylitol, erytrytol, mannitol i sorbitol.

A który jest najbardziej zgubny?

– Fruktaza, która pojawia się we wszystkich produktach z dodatkiem cukru, bo cukier stołowy to w połowie glukoza, a w połowie fruktoza.

Kiedy dociera do jelit, żywi najpierw bakterie jelitowe, które są dla nas bardzo korzystne. A dopiero potem przedostaje się do krwiobiegu. Jeżeli z kolei wypijemy cukier – najgorsza forma – to szybko trafi on do wątroby, omijając bakterie jelitowe.

Innym problemem jest to, że fruktoza, by zostać zmetabolizowana, musi najpierw pobrać energię, co spowalnia naszą przemianę materii. A to oznacza, że w mniejszym stopniu pobudza hormony sytości, w tym leptynę. Czyli produktów, które mają jej w składzie dużo, możemy zjeść

– Trudno się dziwić, w końcu fruktoza jest siedem razy słodsza od tradycyjnego cukru.

Ale to nadal nie tłumaczy, dlaczego smak słodki jest przez nas tak pożądany – jakie mechanizmy tu działają?

– Cukier silnie wpływa na system nagrody i motywacji. Bardziej stymuluje układ przyjemności, kiedy uwalniany jest koktajl hormonów szczęścia – dopaminy, serotoniny i endorfin. Potwierdzają to badania rezonansem magnetycznym – pokazują, że obszary mózgu odpowiedzialne za odczuwanie przyjemności są po zjedzeniu czegoś słodkiego bardziej pobudzone niż po zażyciu twardych narkotyków!

Zresztą także inne eksperymenty dowiodły, że cukier to na tyle silny bodziec, że może śmiało konkurować z twardymi narkotykami – szczury, które były uzależnione od kokainy, częściej wybierały wodę z cukrem niż tę z rozpuszczonym narkotykiem. **To może tłumaczyć ochotę na cukier, ale dlaczego z czasem potrzebujemy go coraz więcej?**

– Kiedy system przyjemności jest pobudzany regularnie, to stopniowo, nieodwracalnie obumierają receptory dopaminowe. Podnosi się zakres tolerancji na słodkie. Żeby więc osiągnąć podobny stopień pobudzenia, organizm potrzebuje coraz silniejszego bodźca i domaga się większych dawek cukru.

Statystyczny Polak zjada nawet 51,1 kg cukru rocznie! Dzieci w Polsce jedzą najwięcej cukru w Europie.

więcej, a przez to większy jest przyrost tkanki tłuszczowej.

Tyle ciało, a jak fruktoza wpływa na pracę mózgu?

– Powoduje upośledzenie funkcji poznawczych i pamięci. Do tego stopnia, że szczury na diecie z większą ilością cukru mają problemy z nauką i większe trudności z pokonaniem labiryntu, w porównaniu ze szczurami na regularnej diecie. Podobne badania są zresztą prowadzone na ludziach; ich efekty są zbliżone. Ostatnie analizy pokazały, że regularne wypijanie napojów zawierających fruktozę powoduje wzrost ryzyka depresji – o ok. 25%.

Pech w tym, że to jednocześnie cukier, który najbardziej lubimy.

Dlaczego w ogóle faworyzujemy tak niezdrowy nawyk?

– To atawizm. Słodki smak jest utożsamiany z bezpieczeństwem. Przecież jeśli noworodkom podać wodę z dodatkiem glukozy, od razu przestają płakać. Poza tym mamy zakodowane w genach, że jedzenia może zabraknąć, więc chodzi i o to, by zmaksymalizować liczbę zjadanych kalorii. W końcu nie wiadomo, kiedy pożywienie będzie ponownie dostępne.

Tyle że coraz częściej mówi się już nie tylko o gęstości kalorycznej, ale i o gęstości sensorycznej.

– W tym przypadku liczy się już nie tyle zaspokajanie głodu, ile dostarczenie zmysłom odpowiedniej

► dawki przyjemności. Najlepszym tego przykładem jest tuż po sytym obiedzie ochota np. na serniczek. „**Mimo uczucia sytości zmysły do- magają się odrobiny ekscytacji**”, tak pisze pan w książce.

– A to dlatego, że w psychodietetyce rozróżniamy dwa style jedzenia. Wisceralne: jemy po to, by się najeść, napęłnić żołądek, tak jedzą zwierzęta. I sensoryczne, kiedy pobudzamy przyjemność na różnych obszarach. W takim wypadku nie wystarczy zjeść cokolwiek gdziekolwiek.

Cukier jest nawet tam, gdzie najmniej się go spodziewamy: w wędlinach i konserwach, w sosach, w tym ketchupach i musztardach.

Ale do słodkiego ciągnie nas o wiele więcej.

– To również automatyzm, tym bardziej że ponad 95% naszych zachowań jest nawykowe, a słodczyce – co pokazują liczne analizy – często pojawiają się w sytuacjach, które są powtarzalne. Szczególnie wieczorem, kiedy nie mamy już energii, żeby cokolwiek kontrolować.

Idąc dalej tym tropem, można się uzależnić od cukru?

– Tak, choć wcześniej uważano, że to tylko termin kulturowy. Teraz są już na to naukowe dowody. Około 15% społeczeństwa uważa się za uzależnione od jakiegoś rodzaju żywności, najczęściej tej z dodatkiem cukru. Badania pokazują, że wpływ na to mogą mieć obciążenia genetyczne i zmiany biochemiczne, ale także czynniki społeczne.

Kiedy w takim razie mówimy o uzależnieniu od cukru?

– Gdy powtarzamy daną czynność mimo świadomości jej negatywnego wpływu na zdrowie. Kiedy pojawia się nieodparta chęć, wręcz przymus, a czynność ta szybko staje się nawykowa, co upośledza życie zarówno fizyczne, jak i psychiczne oraz społeczne.

A jak odróżnić, czy to jeszcze zachcianka lub nawyk, czy może już uzależnienie?

– Bardzo prosto. Kiedy mam zachciankę, od czasu do czasu, to kiedy ją zaspokoję, czuję przyjemność, ekscytację, spokój, relaks, ukojenie. Natomiast jeśli jest to nawyk, to po słodczyce sięgam często, z przyzwyczajenia, bez wyraźnej potrzeby. Po

ich zjedzeniu, w przeciwieństwie do zachcianki, pojawiają się negatywne odczucia. Coraz mniej wiary w siebie, bo przecież często obiecuję sobie, że to już więcej się nie powtórzy... Z czasem przechodzi to w uzależnienie – mimo świadomości, że ma to na mnie zgubny wpływ, nie mogę przestać. W tym momencie dobrze jest poszukać pomocy specjalisty.

A cukier sam w sobie jest niebezpieczny?

– Nie, wszystko zależy od jego ilości. Bo przecież jest on niezbędnym

paliwem dla organizmu. Potrzebnym przede wszystkim do prawidłowej pracy mózgu. Jest tak konieczny, że jesteśmy w stanie go wytrzymać nawet z białka i tłuszczów w przypadku niedoborów z diety.

To ile cukru nam potrzeba?

– Według WHO do 10% kaloryczności diety, czyli 50 g dziennie. To równowartość czterech łyżek cukru lub dwóch łyżek miodu. Choć naukowcy z Wielkiej Brytanii zalecają nawet mniej, do 5%.

A średnio ile go zjadamy?

– Statystyczny Polak nawet 51,1 kg rocznie! Co gorsza, dzieci w Polsce

Słodki smak jest utożsamiany z bezpieczeństwem.

jedzą najwięcej cukru w Europie. Te poniżej 10. roku życia aż 95 g dziennie, czyli 19 łyżeczek. Gorzej jest tylko w Stanach Zjednoczonych: 170 g dziennie, czyli 34 łyżeczki cukru.

Nic dziwnego, że dietetycy biją na alarm. Jak w takim razie leczyć cukroholików?

– Nie wystarczy przestać jeść cukier czy pójść na detoks. W autorskim modelu zmiany nawyków żywieniowych FitMind proces zmiany podzieliłem na pięć kroków.

Na początku chcę zatrzymać proces – jak toniemy, musimy złapać się tratwy, cegółokówek. Potem odzyskać kontrolę nad zachowaniem – wejść na tratwę, uspokoić oddech. Następnie zmienić zachowanie – szukamy łódki zamiast tratwy. I dopiero wtedy przychodzi czas na wejście w indywidualny model żywieniowy.

Skupienie na diecie i większej aktywności fizycznej. Po przejściu tych czterech kroków płyniemy już w stronę brzegu. Następuje krok piąty, najważniejszy – utrzymanie nawyku, bo przecież mieszkamy nadal na terenie zalewowym. Budujemy wały przeciwpowodziowe, montujemy system alarmowy.

Czyli?

– Stale nad sobą pracujemy. Bo zanim nowe zachowanie wejdzie w krew, to – według niektórych badań – potrzeba około miesiąca na każdy rok złego nawyku. Czyli jeśli ktoś 10 lat był słodyczoholikiem, to po przejściu czterech kroków będzie potrzebował jeszcze ok.

10 miesięcy, by utrwalić inny sposób myślenia i działania.

A może w tej sytuacji skuteczniej byłoby ograniczyć godziny sprzedaży słodczych, a dzieciom w ogóle ich zakazać, jak proponuje prof. Robert Lustig, amerykański specjalista od walki z otyłością?

– Jestem za. Przy czym dodatkowo większy nacisk położyłbym na edukację, bo wiele osób chce rzucić słodczyce, ale nie wie, gdzie szukać pomocy. Inna rzecz, że brakuje specjalistów terapii uzależnień od żywności czy np. odpowiednich placówek.

Skoro problem jest tak poważny, to może w ogóle wprowadzić regulację jak w przypadku alkoholu i nikotyny?

– To już za daleko idące rozwiązanie, w końcu mówimy o żywności.

Szkodliwej!

– Zgoda. Ale ta granica jest bardzo cienka. Także dlatego, że dużo zależy od tego, o jakiej grupie myślimy. Jeżeli ktoś jest aktywny fizycznie, to ma większą tolerancję na cukier. Może sobie pozwolić na batonik albo coś słodkiego, aby zasiłić mięśnie do pracy. Nie mówię tu o statystycznym Polaku, który ma problem z tym, żeby zrobić 5 tys. kroków dziennie. O ile w ogóle wychodzi z domu w ciągu dnia. Przecież aż jedna trzecia z nas ma otyłość, a ponad połowa nadwagę.

Dorota Bartosewicz

Jarek – to brzmi groźnie

Furorę zrobiła w kołach związanych z MSZ anegdota o ambasador w Rydze Monice Michaliszyn i jej wizycie u ministra Raua. Dla mniej zorientowanych – Monika Michaliszyn należy do grupy tzw. nowych ambasadorów, którzy przyszli do MSZ z zewnątrz w czasach ministra Waszczykowskiego.

Wcześniej nie miała doświadczenia w pracy w dyplomacji – jest specjalistką od lettonistyki, tłumaczem przysięgłym języka łotewskiego, w Zakładzie Bałtystyki Uniwersytetu Warszawskiego prowadziła zajęcia z literatury i kultury Łotwy oraz lektora języka łotewskiego.

To piękny dorobek, ale niekoniecznie stanowiący przepustkę do pracy w dyplomacji. Tą przepustką, możemy mniemać, jest działalność społeczna pani ambasador. Bo dużo wcześniej zaangażowana była w działania prawicy, a zwłaszcza w akcję antyparytetową. Na łamach pism katolickich i prawicowych krytykowała Kongres Kobiet, Magdalenę Środę czy Kazimierę Szczukę za działania związane z postulatem wprowadzenia parytetu płci.

Tak więc jako kobieta prawicy i specjalistka od krajów bałtyckich Monika Michaliszyn w 2018 r. pojechała do Rygi. A teraz zaczęła się niepokoić, że i ją może spotkać zły los, że osiągną ją macki dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. Gdy zatem była w Warszawie, obezła różne ważne miejsca. Wieść niesie, że zajrzała na Nowogrodzką. I okazała się na tyle skuteczna, że nawet dzwonił stamtąd w jej sprawie do MSZ. Udała się też na rozmowę z ministrem Rauem.

Podczas tej rozmowy wielokrotnie wspominała, jak to o różnych sprawach dyskutowała z „Jarkiem”. I o tym „Jarku” dość często wspominała. Zrobiło to wielkie wrażenie na ministrze, uznał Monikę Michaliszyn za osobę

znakomicie ustosunkowaną i absolutnie nie do ruszenia. Natychmiast poszła fama, że w ten sposób pani ambasador się uratowała. Dodajmy jedno – otóż ów „Jarek” to jej dobry znajomy, bynajmniej nie prezes PiS, z którym łączy go tylko imię. No ale Zbigniew Rau o to nie dopytał, szybko natomiast wyciągnął wnioski...

Przypadek Moniki Michaliszyn pokazuje znakomicie, na czym polega polityka kadrowa w MSZ. Uzupełnia to zresztą inne wydarzenie, opisane w „Fakcie”. Otóż na Facebooku pojawiło się takie oto ogłoszenie: „Poszukiwani ludzie do MSZ. Stanowiska różne w zależności od doświadczenia, nabór nie jest otwarty, raczej kularowy”.

To nie żart, ogłoszenie, w zamkniętej grupie Instytutu Wolności, zamieścił Eliaż Grubiński, do niedawna doradca ds. cyberbezpieczeństwa wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. A od listopada 2020 r. zastępca dyrektora Departamentu Analiz Przygotowań Obronnych Administracji w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Instytut Wolności to z kolei *think tank*, finansowany m.in. przez PKO BP i BGK, którego prezesem jest Igor Janke, zajmujący się prowadzeniem szkół liderów.

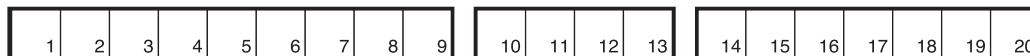
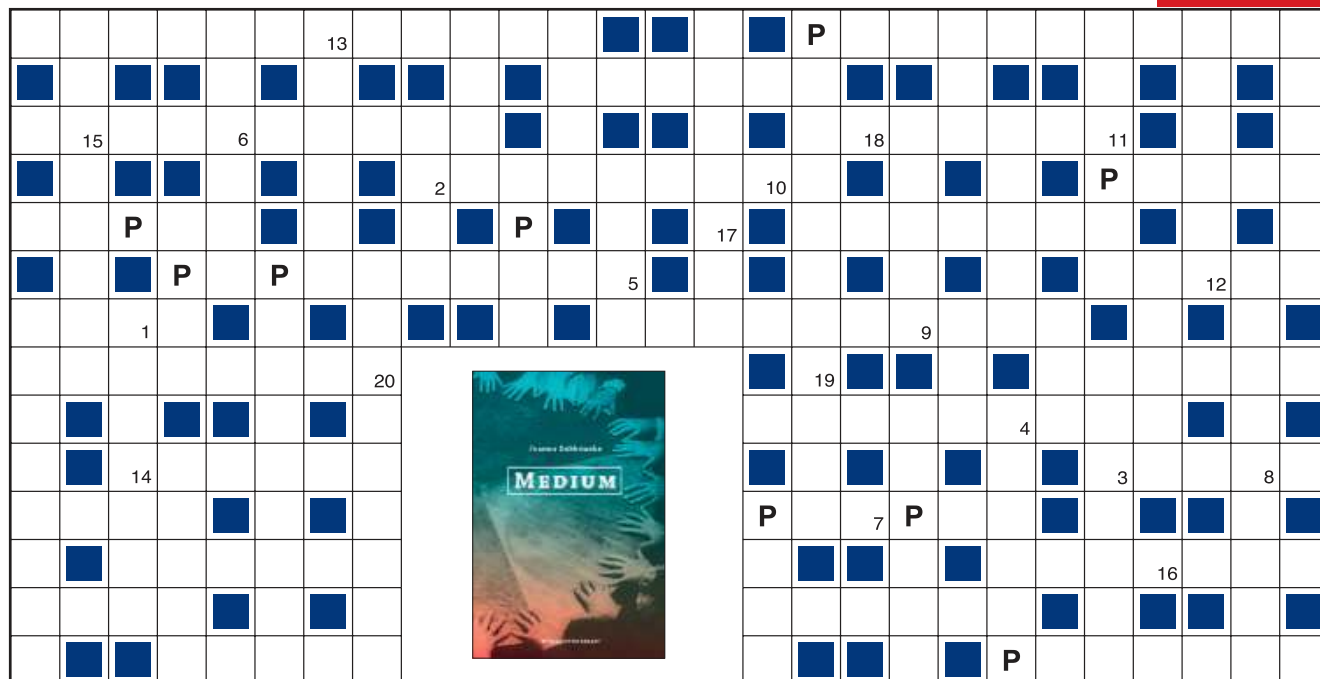
Tak oto PiS buduje własne kadry, nie bacząc ani na prawo, ani na dobry obyczaj. Wystarczy, że kandydatów rekrutuje wicedyrektor w kancelarii premiera, prosząc, by zgłaszali się do niego bezpośrednio, na jego prywatne konto na Facebooku. Kto je ma, ten na rekrutację się załapie. Kto nie ma – temu dziękujemy.

Jeśli ktoś był ciekaw, czy w Polsce są rozmaite szklane sufity, szybkie ścieżki dla jednych, a bariery dla drugih – to już wie.

Attaché



Makar Sankranti to jedno z niewielu świąt obchodzonych według kalendarza słonecznego. Zwiastuje nadejście dłuższych dni. Np. hinduscy święci mężowie u ujścia Gangesu do Zatoki Bengalskiej.



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 tworzą końcowe hasło.

- zaliczka
- w niej „rudy kasztan ci dałam i serce”, śpiewała Żyńska
- ...spalin – do pomiaru ilości i jakości produktów spalania
- pole do popisu dla diwy
- buraczkowy dodatek do mięsa
- posiadłość lub inne doczesne
- elektroda tranzystora
- Fabijański, dekorator teatralny, malował widoki Krakowa
- Szumańska, autorka „Z pamiętnika młodej lekarki”
- potrzebne jest w dwóch poprzednich objaśnieniach
- wyższa adresatem apelacji
- „...i wilcy” Krasickiego
- kamizelka chroniąca przed utonięciem
- chciał poślubić Calineczkę
- kątownik, teownik lub zetownik
- można wyglądać jak zmokła
- broń Wilhelma Tella
- brzęczą pszczołki nad nią w wierszu Konopnickiej
- „...św. Maurycego”

- np. siatkarka na pl. Konstytucji w Warszawie
- cena towaru bez opakowania
- chrzęst, chłupot lub stukot
- imponujące rozmiary albo wystawność
- i kamień ozdobny, i tkanina
- zaliczano do nich widlaki, skrzypy, psylofity
- ...na rycerza
- długie, zwisające, wijące się pasmo włosów
- kwalifikowany elektroniczny
- dziedzina związana z pracą strażaków
- smuga ze źródła światła
- cechuje przewidyujących
- kwiatowy badany przez palinologię
- nie buja w obłokach
- zasilany przez Mozele

- T-shirt – krótki
- na drutach, szydełkiem lub haft
- tempo utworu swobodnie regulowane przez wykonawcę
- żółto kwitnąca roślina na olej
- Powszechny Rolny 2020
- dział huty z piecami do wytopu
- towarzyszy wysiłkowi lub z bólu
- obyczajowe powieści, dalszy plan
- przyrumieni kromkę
- cukrowa albo szuwały
- nieznany obżartuchowi
- jak ...gminna niesie
- z opierunkiem
- skalny albo przed publicznością
- z rzeczywistością lub na szosie
- bardziej kategoryczne niż postulat

KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

imie i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś „Przeglądki”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-998”. Do rozlosowania książki „Medium” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 lutego 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-995” z nr. 3: *Lepiej zrozumieć mało, niż źle.*
Nagrody otrzymują: Jolanta Nowak z Bełchatowa, Barbara Szarawara z Częstochowy, Jadwiga Zawadzka z Pabianic.

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Co zrobili dziennikarze po nacjonalizacji Polska Press? Powiedzieli o tym w newsach. A o ograniczaniu wolności słowa w kraju rozmawiali nie z obywatelami, którzy tracą niezależne media, ale z politykami, z którymi robią wywiady na co dzień. Nie napisali nawet wspólnego listu protestacyjnego. Gdyby tak się zachowywali sędziowie, Sąd Najwyższy już by w Polsce nie istniał. To prawda, nie możemy wymagać od nikogo heroizmu. Ale trochę przyzwyczajenie od samych siebie można.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

KLEMENTYNA
SUCHANOW,
LIDERKA STRAJKU
Kobiet, PISARKA

Ordo luris ma pieniądze i dostęp do rządzących, ale nie ma dużego poparcia ludzi. Jest desantem ideologicznym, który nie ma nic wspólnego z tym, jak naród polski widzi swoją przyszłość, swoje życie. Będzie funkcjonować, dopóki rządzący będą puszczać do nich oko i się kolegować.

KRAKÓW

MARCIN ŚWIETLIKI,
POETA, PISARZ, MUZYK

Rewolucję trzeba wspierać. Wszystko, co może doprowadzić do upadku tej władzy, wszystko, co ma szansę unieważnić tę żalostną opozycję, jest niezmiernie cenne. Ale zawsze było tak samo. Zawsze była jakaś opresja u góry i niechęć do opresji u dołu. I tyle. To się nie zmieniło. Zawsze tak było. Komorowski był tak samo straszny jak Duda. Pisałem o każdym prezydencie. Żadnej łaskowości dla żadnego nie miałem.

STYL

MAGDALENA
POPLAWSKA,
AKTORKA

Nie chciałabym być przyjaciółką Agnieszki. Jako aktorkę interesują mnie osoby destrukcyjne, połamane, które dokonują nieoczywistych wyborów, walczą, szarpią się, gonią i uciekają. Osiecka była więc dla mnie aktorskim marzeniem. Ale gdybym zobaczyła ją pijaną w barze Sax? Może odwróciłabym się i nie przeczytałabym jednego jej wiersza...



Kto zapewni lepsze doznania podróżnicze niż rząd PiS? Seniorzy chcący się zaszczepić często muszą przemierzyć dziesiątki kilometrów, by dostać zastrzyk. Nz. pikietą pod KPRM, Warszawa, 26 stycznia 2021 r.

Aby język giętki...

STANISŁAW TYM
O ANDRZEJU DUDZIE

Od sześciu lat ma święty spokój. Luzik mu wrócił i zadowolenie z siebie.

CEZARY KUCHARSKI
O ROBERCIE LEWANDOWSKIM

Zawsze miał szlaban na to, by się jednoznacznie określać po którejś stronie barykady.

JAN NOWICKI O JERZYM BRZĘCZKU

Nigdy fizycznie nie przypominał mi trenera. Trudno mi było go pokochać.

STEFAN CHWIN
O PROPAGANDZIE WŁADZY

Głędzenie do bólu zgrane, ale wciąż o jadowitej sile rażenia.

KRZYSZTOF VARGA
O SERIALU „OSIECKA”

Pełna zadęcia taniocza i fenomenalne zmarnowanie tak podniecającej historii.

KRYSTYNA JANDA O PROTESTACH

Kiedy wybuchły manifestacje, wszystkie moje dzieci i wnuki były codziennie na ulicy.

KATARZYNA BONDA O SOBIE

Zawsze byłam przemądrzała. Niezależności nie nabywa się z wiekiem, po prostu ma się ją albo nie.

ANDRZEJ GRABOWSKI O AKTORACH

Widzę aktorów pawianów, co panoszą się na scenie.

ELŻBIETA DZIKOWSKA
O TONYM HALIKU

Piękny nie był, ale nadrobił urokiem i poczuciem humoru. Przy nim świat był kolorowy, nieprzewidywalny.

ADAM MAŁYSZ O PRACY DYREKTORA

Nie siedzę przy biurku. Jestem z kadrą, kiedy tylko mogę. Czasem noszę chłopakom torby z ubraniami.

KAROLINA GRUSZKA O EKOLOGII

Od 30 lat nie jem mięsa, głównie z potrzeby niekrzywdzenia zwierząt, ale także, aby dbać o naszą planetę.

Potrzeba tulenia matką wynalazków

We włoskich domach opieki i domach spokojnej starości pojawiły się mobilne pokoje przytulania, umożliwiające seniorom bezpieczny kontakt z bliskimi. Mowa o swego rodzaju namiotach dla pensjonariuszy, wykonanych z przezroczystego tworzywa i wyposażonych w specjalnie zabezpieczone otwory. Dzięki nim członkowie rodziny i przyjaciele mogą nie tylko zobaczyć, ale i wyściskać lokatora tymczasowej izolatki bez strachu przed zarażeniem go koronawirusem. Rzecz jasna, po każdym spotkaniu pomieszczenia są dezynfekowane.

Snobi temu winni

Z piwnicy hotelu Kronenschlösschen w heskim Eltville skradziono ok. 500 butelek wina i szampana. Nie był to jednak spontaniczny skok na zapasy procentów, znany z powiatowych kronik kryminalnych, lecz dobrze zaplanowana operacja zlecona przez wyrafinowanych bachantów. Rabusie bowiem przywłaszczyli sobie wyłącznie alkohol najlepszych marek z najlepszych roczników. – Zostawili Château d'Yquem za 9 tys. euro, ponieważ miało uszkodzoną etykietę. To nie byli nowicjusze – podsumowała Johanna Bächstädt, szefowa złupionego przybytku. Jak oszacowano, straty mogły sięgnąć 500 tys. euro.

Wysokie loty ananasa

Malezyjscy badacze opracowali technologię, która pozwala zmieniać odpady z upraw ananasa w materiał do



budowy dronów. Biokompozyty z włókien obecnych w liściach rzeczonej rośliny nie tylko są tańsze, ale także mają lepsze parametry techniczne. Są też przyjazne środowisku: jeśli dron zostanie zniszczony, jego ramę można po prostu zakopać w ziemi, gdzie w ciągu dwóch tygodni ulegnie degradacji. Owocowe drony, intensywnie testowane, mają wesprzeć rolników w pracy, a jednocześnie dać im zarobić na sprzedaży zbędnych produktów ubocznych ich działalności. Naukowcom z Malezji gratulujemy – oby więcej takich ananasów!

Ban na amory

Firma Match Group, światowy gigant branży aplikacji randkowych, podjęła decyzję o wyrzuceniu ze swoich społeczności fanatycznych miłośników Donalda Trumpa. Algorytmy Tindera czy OkCupid wykorzystują zdjęcia zrobione podczas zamieszek w Waszyngtonie do identyfikacji użytkowników, którzy zdaniem przedsiębiorstwa nie zasługują na możliwość randkowania. Co więcej, aplikacje analizują publikowane treści, by wyszukiwać osoby popierające akty przemocy. Czyżby Kupidyn mścił się za atak na Kapitol?

Sezon na Sasquatcha

Republikański polityk z Oklahomy, Justin Humphrey, zaproponował objęcie prawem łowieckim legendarnego włochatego człekokształtnego, Wielkiej Stopy. Takie rozwiązanie miało być korzystne dla tajemniczej istoty, oczywiście o ile istnieje, gdyż polowanie na nią

MEMY BEZ ŚCIEMY





To jest wojna! Świat opiera się na walce o dominację i terytoria. Hipopotamy nad rzeką Chobe w Botswanie i starcie sępów z szakalami w rezerwacie dzikich zwierząt Zimanga w RPA.

wymagałoby posiadania odpowiedniej licencji, istniałaby możliwość wprowadzania okresów ochronnych itd. Humphrey nie ukrywa przy tym, że jego inicjatywa ma przyciągnąć do południowo-wschodniej części stanu dodatkowych turystów. Pewnie będzie wśród nich nasz Tomek Wilmowski, pod warunkiem że skończył już tropić yeti.

Pośrednia wina waginy

Świeca pachnąca jak intymne części ciała znanej hollywoodzkiej aktorki Gwyneth Paltrow zafundowała niejakej Jody Thompson chwile prawdziwej grozy. Brytyjka, która wygrała gadżet w internetowym quizie, poinformowała media, że w pewnym momencie zaczął się palić bardzo mocno – ogień osiągnął wysokość ok. 50 cm – a na koniec rozpadł się na kawałki. – Mogło nam spalić dom. To było przerażające, ale też całkiem zabawne, bo świeczka eksplodowała w moim salonie – skomentowała cudownie ocalona. Nie chcemy sobie nawet wyobrażać, co mogłoby się wydarzyć podczas seansu spirytystycznego z wykorzystaniem takiej świecy.



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, A-MEM, CHARL STOLS/SOLENT NEWS/EAST NEWS, CHARLAINE GERBER/SOLENT NEWS/EAST NEWS

eprasa.pl e9323f87dd



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osinski (Berlin),
Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyński, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorothea Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtusza 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Sisters, 2019

Małgorzata **Mirga-Tas**

Tegoroczną laureatką Paszportów „Polityki” w kategorii sztuki wizualnej jest Małgorzata Mirga-Tas. Jak czytamy w uzasadnieniu, „za sztukę, która efektownie, niebanalnie i mądrze opowiada o tożsamości i dziedzictwie. Za szukanie w tradycji Romów ciągle aktualnych wartości i uniwersaliów”.



Trzy siostry, 2017

Artystka urodziła się w 1978 r., pochodzi z wioski Czarna Góra u podnóża Tatr, tam też mieszka. Wywodzi się z grupy Bergitka Roma, mieszkającej w osadach o najdłuższych tradycjach na polskich ziemiach. Jest absolwentką krakowskiej ASP. Jej styl charakteryzuje się wyrazistymi kolorami, mnogością ornamentów i dekoracyjnością czerpiącą z kultury Romów. Przedstawiane sceny nie są idealizowane ani romantyzowane, jednak obrazy ozdabiają wzorzystymi tkaninami, aplikacjami z cekinów, piór czy kart do gry. Płaskie, budowane wyrazistymi konturami sceny zyskują w ten sposób głębię, mienia się, niemal wibrują.



Roma News, 2018



Family Visit, 2018

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zakrywaj usta!

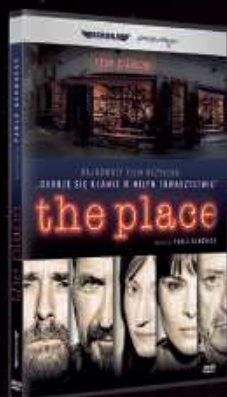


Ale nie milcz,
gdy widzisz **przemoc!**

Konsekwencje epidemii COVID-19 związane z przemocą i wykorzystywaniem seksualnym uderzają przede wszystkim w dzieci. Uwięzione w jednym domu ze sprawcą, nie mogą liczyć na niczyją pomoc. W Centrach Pomocy Dzieciom Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę krzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci otrzymują bezpłatną pomoc.

Nie bądź obojętny!
Zadzwoń pod

112 



NAJLEPSZE FILMY AURORA FILMS NA DVD



FILMY MOŻNA KUPIĆ NA:

aurorafilms.pl

allegro.pl/uzytkownik/AVAHRO